



SAMUEL R.

DELANY

NOVA

Samuel R. Delany

Nova

Przekład:
Jolanta Pers

WYDAWNICTWO
SOLARIS

PODZIĘKOWANIA

Autor niniejszym pragnie podziękować Helen Adam i Russelowi FitzGeraldowi za ich nieocenioną pomoc dotyczącą Graala i tarota. Bez ich pomocy „Nova” świeciłaby znacznie mniej jasnym światłem.

ROZDZIAŁ 1

Drako, Tryton, Piekło³, 3172

- Hej, Mysz! Zagraj nam coś! - zawołał jeden z mechaników siedzących przy barze.

- Nie zaciągnąłeś się jeszcze na żaden statek? - zbeształ go drugi. - Gniazdo rdzeniowe ci zardzewieje. No dalej, pokaż nam jakiś numer.

Mysz przestał przeciągać palcem po krawędzi szklanki. Chciał odpowiedzieć „nie”, ale usta ułożyły mu się w „tak”. Zmarszczył czoło.

Mechanicy także.

Był starym człowiekiem.

Był silny.

Gdy Mysz przesunął dłoń na brzeg stołu, włóczęga szarpnął się do przodu. Uderzył biodrem o ladę. Długie palce u nóg natrafiły na nogę krzesła; mebel zatańczył na kamiennych płytach.

Stary. Silny. I Mysz dostrzegł trzecią cechę: ślepy.

Zachwiał się, stojąc przy krześle Myszy. Jego ręka zakolysała się w powietrzu; żółte paznokcie uderzyły go w policzek. (Stopy pająka?).

- Ty, chłopcze...

Mysz patrzył na perły ukryte pod szorstkimi, mrugającymi powiekami.

- Ty, chłopcze. Wiesz, jak to jest?

Musi być ślepy, pomyślał Mysz. Porusza się jak ślepiec. Wysuwa głowę do przodu. A jego oczy...

Staruszek machnął ręką, chwycił krzesło i gwałtownym szarpnięciem przyciągnął je do siebie.

- Wiesz, jak to wyglądało, jak pachniało, jakie było w dotyku? Wiesz?

Mysz potrząsnął głową; staruszek postukał go palcami w

szczękę.

- Lecieliśmy tam chłopcze, a po lewej trzysta słońc Plejad świeciło jak kałuża upstrzonego klejnotami mleka; z prawej otaczała nas ciemność. Statek był mną; ja byłem statkiem. Przez to gniazdo - stuknął wkładką na nadgarstku o stół: *klik* - byłem podłączony do projektora skrzydła. I nagle... - zarost na jego twarzy jeżył się i opadał w miarę, jak staruszek mówił - w ciemność wystrzeliło światło! Wyciągnęło rękę, chwyciło nasze oczy, gdy tak leżeliśmy w komorach projekcyjnych, i nie chciało ich puścić. Jakby wszechświat został rozdarty i szalał przez cały dzień. Nie mogłem odłączyć sensorycznych danych wejściowych. Nie potrafiłem odwrócić wzroku. Były tam wszystkie kolory, o jakich można było zamarzyć; plamiły noc. A w końcu nadeszła fala uderzeniowa: ściany zaśpiewały! Indukcyjność magnetyczna wprawiła statek w drgania i o mało nie rozerwała nas na strzępy. Ale już było za późno. Straciłem wzrok - rozparł się na krześle. - Jestem ślepy, chłopcze. Ale moja ślepotą jest trochę zabawna: widzę cię. Jestem głuchy: ale gdy do mnie mówiłeś, rozumiałem większość twoich słów. Nerwy węchowe zostały ucięte równo z mózgiem. To samo z nerwami prowadzącym do moich kubków smakowych - przesunął płasko ręką po policzku Myszy. - Nie czuję tekstury twojej twarzy. Większość nerwów dotykowych także została zniszczona. Czy masz gładką twarz, czy jesteś szorstki i zarośnięty jak ja? - zaśmiał się, pokazując żółte zęby na bardzo czerwonych dziąsłach. - Stary Dan jest ślepy w zabawny sposób - jego dłoń przesunęła się po kamizelce Myszy i ujęła za sznurowadła. - Tak, w zabawny sposób. Większość ślepych ludzi widzi tylko ciemność. Ja mam ogień w oczach. Mam w głowie całe zapadające się słońce, cała pokrywa optyczna mózgu skrócona i szeroko otwarta, podskakująca, podrygująca, migocząca. Jakby światło sieknęło pręciki i czopki siatkówki i nieustannie je stymulowało, wypieprzyło tęczę i wypchało do pełna każde gniazdo. Właśnie coś takiego teraz widzę. I nagle zobaczyłem ciebie, zarysowanego tutaj, nakreślonego tutaj, jak solaryzowany duch daleko ode mnie. Kim ty jesteś?

- Pontichos - odparł Mysz. Jego głos przywodził na myśl

welnę z piaskiem, szlifowanie. - Pontichos Provechi.

Dan skrzywił się.

- Nazywasz się... Co powiedziałeś? Mam wrażenie, że moja głowa trzęsie się tak bardzo, że zaraz się rozpadnie. W moich uszach przycupnął chór, krzyczy do mojej czaszki dwadzieścia sześć godzin na dobę. Synapsy na końcu mózgu nadają szum, śmiertelny brzęk umierającego ciągle słońca. Przez to wszystko ledwie słyszę twój głos, jak echo głosu kogoś, kto stoi setki jardów ode mnie. - Dan zakaszał i rozparł się na krześle. - Skąd jesteś? - Wytarł usta.

- Stąd, z Drako - odparł Mysz. - A w ogóle z Ziemi.

- Z Ziemi? Skąd dokładnie? Z Ameryki? Mieszkałeś w małym, białym domku przy ulicy wysadzonej drzewami, z rowerkiem w garażu?

Och, tak, pomyślał Mysz. Ślepy i głuchy. Mysz mówił całkiem dobrze, ale nigdy nie zdołał wyzbyć się akcentu.

- A ja? Jestem z Australii. Z białego domku. Mieszkałem blisko Melbourne. Drzewa. Miałem rowerek. Ale to było dawno temu. Dawno, dawno temu, prawda, chłopcze? Znasz Australię, na Ziemi?

- Byłem przejazdem - Mysz wiercił się na krześle i zastanawiał się, jak stamtąd uciec.

- Tak. Tak było. Ale ty tego nie wiesz, chłopcze! Nie możesz wiedzieć, jak to jest, iść przez resztę życia, chwiejąc się na nogach, z Nową wrytą w mózgu, pamiętając o Melbourne, pamiętając o rowerku. Możesz powtórzyć, jak się nazywasz?

Mysz wyjrzał przez okno po prawej stronie.

- Bo nie pamiętam. Słońce zasłania mi wszystko.

Mechanicy, którzy aż do tej chwili przysłuchiwali się rozmowie, wrócili do baru.

- Nie pamiętam już nic!

Przy sąsiednim stoliku czarnowłosa kobieta wróciła do gry w karty z blond przyjacielem.

- Och, odwiedzałem lekarzy! Powiedzieli, że mogą wyciąć mi nerwy wzrokowe i słuchowe, odciąć je od mózgu, i wtedy ten ryk, to światło - może ustana! *Może?* - uniósł ręce do twarzy. - A cienie świata, które się wdzierają, może też się ich pozbędę.

Jak się nazywasz? Powiedz, jak się nazywasz?

Mysz poczuł, jak słowa narastają mu w ustach, z jakąś wymówką: *hm, przepraszam, muszę już iść.*

Stary Dan zakaszłał i chwycił się za uszy.

- Aaaaach! To była świńska podróż, psia podróż, podróż dla much! Ten statek to „Roc”, a ja byłem wszczępieńcem kapitana Lorq Von Raya. Zabrał nas - Dan pochylił się nad stołem - na taką odległość - potarł kciukiem palec wskazujący - na taką odległość od piekła. Niech będzie za to przeklęty, i niech będzie przeklęty ilirion, chłopcze, kimkolwiek jesteś. Skądkolwiek jesteś! - Dan warknął i odrzucił do tyłu głowę; jego ręce podskakiwały na stole.

Barman spojrział w ich stronę. Ktoś dał mu znak, że chce drinka. Barman ściągnął usta, ale odwrócił się, potrząsając głową.

- Ból - Dan opuścił podbródek. - Kiedy już żyjesz z nim wystarczająco długo, przestaje być bólem. Jest czymś innym. Lorq Von Ray jest szalony! Zabrał nas na skraj umierania, tak blisko, jak tylko się dało. A teraz mnie zostawił, w dziewięciu dziesiątych jako trupa, tu, na skraju Układu Słonecznego. A skoro on odleciał... - Dan oddychał z trudem. Coś trzepotało mu w płucach. - Dokąd ślepy Dan ma teraz pójść?

Nagle zacisnął dłonie na brzegach stołu.

- Dokąd ślepy Dan ma iść?!

Szklanka Myszy przewróciła się i roztrzaskała o kamienną podłogę.

- Powiedz mi!

Znów potrząsnął stołem.

Barman szedł w ich stronę.

Dan wstał, przewracając swoje krzesło, i potarł knykciami oczy. Wykonał dwa niepewne kroki w stronę promienia światła, który kładł się na podłodze. I jeszcze dwa. Po ostatnim zostały kasztanowe ślady.

Brunetka wstrzymała oddech. Blondyn złożył karty.

Jeden z mechaników ruszył, ale drugi dotknął jego ramienia.

Pięści Dana załomotały o drzwi wahadłowe i już go nie było.

Mysz rozejrzał się. Szklanka na podłodze, rozbita. Barman

pstryknął przełącznikiem zamiatarki na nadgarstku i maszyna zaczęła wciągać kurz i krwiste resztki.

- Chcesz jeszcze jednego drinka?

- Nie - wyszeptał Mysz przez swoją uszkodzoną krtań. - Nie. Już skończyłem. Kto to był?

- Był kiedyś wszczepieńcem na pokładzie „Roca”. Kręci się tu i robi awantury od tygodnia. Z wielu knajp go wyrzucają, gdy tylko pojawi się w drzwiach. Jakim cudem masz takie kłopoty z zaciągnięciem się?

- Nigdy nie byłem na rejsie międzygwiazdowym - odparł Mysz chrapliwym szeptem. - Certyfikat dostałem dwa lata temu. Odtąd latałem z małą firmą przewozową w Układzie Słonecznym, na trasie o kształcie trójkąta.

- Mógłbym ci coś doradzić - barman odpiął zamiatarkę od gniazda na nadgarstku. - Ale może jednak się powstrzymam. Ashton Clark z tobą - uśmiechnął się i wrócił za bar.

Mysz poczuł się nieswojo. Założył ciemny kciuk za skórzany pasek na ramieniu, wstał i ruszył w stronę drzwi.

- Hej, Mysz, no co ty. Zagraj coś dla...

Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Skurczone słońce rzucało złoto na wystrzępione góry. Neptun, wiszący wysoko na niebie, zalewał równinę cętkowanym światłem. Statki międzygwiazdne sterczały w dokach remontowych, pół mili stąd.

Mysz ruszył wzdłuż ciągu barów, tanich hoteli i jadalni. Bezrobotny i przygnębiony, wałęsał się od jednego lokalu do drugiego, grał w zamian za jedzenie, spał kątem gdzieś u kogoś, kto zatrudnił go, by zabawiał gości przez całą noc. To nie jego certyfikat decydował o tym, co robi. Po prostu nie tego chciał.

Ruszył chodnikiem na skraju Piekła³.

By powierzchnia satelity nadawała się do zamieszkania, Komisja Draco zainstalowała piece ilirionowe, które topiły jądro księżyca. Gdy powierzchnia osiągnęła temperaturę przypominającą tę, jaka panowała łagodną jesienią, atmosfera wytworzyła się samorzutnie ze skał. Powstała sztuczna jonosfera. Innymi zjawiskami świadczącymi o istnieniu świeżo stopionego jądra były Piekła, od ¹ do ⁵², wulkaniczne szczeliny w

skorupie księżycy. Piekło³ było szerokie prawie na sto jardów i dwukrotnie głębsze (ognisty robak gotował się na jego dnie), i długie na prawie siedem mil. *Cañón* błyszczał i dymił w bladym świetle.

Mysz maszerował nad przepaścią, a gorące powietrze pieściło jego policzki. Myślał o ślepym Danie. Myślał o nocy za Plutonem, za skrajem gwiazd zwanym Drako. I bał się. Dotknął skórzanej sakwy u boku.

Drako, Ziemia, Stambuł, 3164

Mysz ukradł tę sakwę, kiedy miał dziesięć lat. Było w niej wszystko, co kochał.

Przerażony, uciekał między kramami muzycznymi, pod białymi sklepieniami, a potem biegł między cuchnącymi kramami z zamszem. Przycisnął sakwę do brzucha, przeskoczył nad pudłem z fajkami z morskiej pianki; otworzyło się i kilka sztuk wysypało się na zakurzoną kamienną posadzkę. Przebiegł pod jeszcze jednym lukiem i przez jakieś dwadzieścia metrów przedzierał się przez tłum wypełniający Złotą Aleję, gdzie wyłożone aksamitem witryny ożywały od światła i złota. Uchylił się przed chłopcem deptającym mu po piętach i machającym zawieszoną na trzech łańcuchach tacą ze szklaneczkami pełnymi herbaty i filiżankami z kawą; Mysz uskoczył, taca podskoczyła, naczynia z kawą i herbatą zadygotały, ale nie wylała się ani kropelka. Mysz pędził dalej.

Kolejny zakręt zaprowadził go za stertę haftowanych pantofli.

Błoto chlapnęło na wszystkie strony, gdy podeszwy jego butów uderzyły o splekaną podłogę. Zatrzymał się, dysząc, i rozejrzył się dookoła.

Żadnych piwnic. Między budynkami siąpił lekki deszczyk. Mysz chwycił mocniej sakwę, przetarł mokrą twarz wierzchem dłoni i ruszył wijącą się ulicą.

Rozlatująca się, poczerniała, żebrowana, spalona wieża Konstantyna sterczała nad parkingiem. Gdy dotarł do głównej ulicy, otoczyli go spieszący się ludzie, rozpryskujący cienką

warstwę błota pokrywającego kamienie. Zamsz na jego skórze zwilgotniał.

Gdyby pogoda była lepsza, przemknąłby na skróty, bocznymi uliczkami. W tej sytuacji musiał jednak trzymać się głównych traktów, schować się w okolicy kolejki jednoszynowej. Przepychał się między biznesmenami, studentami, bagażowymi.

Powóz załomotał na kamieniach. Mysz skorzystał z okazji i wskoczył na żółty próg. Woźnica uśmiechnął się - upstrzony złotem półksiężyc w brązowej twarzy - i nie wyrzucił go.

Dziesięć minut później, z sercem nadal walącym jak młotem, Mysz zeskoczył i pobiegł dziedzińcem przy Nowym Meczezie. W siąpiącym deszczu kilku mężczyzn obmywało stopy w kamiennej misie pod ścianą. Dwie kobiety wynurzyły się z drzwi wahadłowych, zabrały buty i ruszyły w dół, spiesząc się w deszczu.

Kiedyś Mysz spytał Leo, kiedy zbudowano Nowy Meczet. Rybak z Federacji Plejad - który zawsze chodził z jedną nogą boso - podrapał się po gęstych blond włosach, gdy wpatrywali się w przydymione ściany podpierające kopuły i strzeliste minarety.

- Chyba jakiś tysiąc lat temu. Ale tak tylko zgaduję.

Mysz szukał teraz Leo.

Wybiegł z dziedzińca i kluczył między ciężarówkami, samochodami, *dolmuszami* i wózkami tłoczącymi się w pobliżu wjazdu na most. Na chodniku, pod uliczną lampą, skrzył w żelazną bramę i pobiegł schodami w dół. Małe łódki uderzały o siebie burtami w mule. Za łódkami musztardowe wody Złotego Rogu dźgały palisady i doki wodolotów. Za wylotem Złotego Rogu, po drugiej stronie Bosforu, rozdarły się chmury.

Promień światła przedarł się i uderzył w kilwater promu płynącego z mozołem na inny kontynent. Mysz zatrzymał się na schodach, by spojrzeć na błyszczącą cieśninę, na którą z każdą chwilą padało coraz więcej światła.

Rozbłysły okna po azjatyckiej stronie, w ścianach barwy piasku. Rozpoczęło się zjawisko, które sprawiło, że już Grecy, dwa tysiące lat temu, nazwali azjatycką stronę miasta Chrysopolis, Złotym Miastem. Teraz nazywało się Uskudar.

- Hej, Mysz! - zawołał do niego Leo z kołyszącego się pokładu czerwonej łodzi. Leo zbudował na swojej łodzi markizę, ustawił tam drewniane stoły i kilka beczek, które miały służyć za taborety. Czarny olej wrzał w kadzi, podgrzewanej starym generatorem, oblepionym smarem. Obok, na żółtym sztormiaku, leżał stosik ryb. Ich skrzela były rozdarte haczykami aż do dolnej szczęki i każda z ryb wyglądała, jakby miała przy głowie szkarłatny kwiat.

- Hej, Mysz, co tam masz?

Przy lepszej pogodzie jadal tu rybacy, dokerzy i bagażowi. Mysz przeskoczył przez barierkę, a Leo wrzucił na olej dwie ryby. Frytura wybuchła żółtą pianą.

- Mam to... o czym mówiłeś. Mam to... to znaczy tę rzecz, o której mówiłeś.

Słowa wypływały mu z ust, zdyszane, pełne wahania, i znów zdyszane.

Leo, który zawdzięczał imię, kolor włosów i krępe ciało niemieckim dziadkom (a sposób mówienia dzieciństwu, które spędził na połowie ryb na wybrzeżach planet, gdzie nocą widać było dziesięć razy tyle gwiazd, co z Ziemi), zrobił niepewną minę. Niepewność przeszła w zdziwienie, gdy Mysz wyciągnął skórzaną sakwę.

Leo ujął ją piegowatymi dłońmi.

- Jesteś pewien? Gdzie ty...

Dwóch robotników weszło na pokład łodzi. Leo dostrzegł przerażenie w oczach Myszy i przeszedł z tureckiego na grecki.

- Gdzie to znalazłeś?

Konstrukcja zdania była taka sama we wszystkich językach.

- Ukradłem.

Choć słowo to wydostało się z falą powietrza przez kiepsko osadzone struny głosowe, w wieku dziesięciu lat osierocony Cygan mówił już kilkunastoma językami regionu Morza Śródziemnego i przychodziło mu to łatwiej niż takim ludziom jak Leo, którzy uczyli się języków z pomocą hipnonauczyciela.

Budowlańcy, usmoleni od swoich elektrycznych łopat (i - jak Leo i Mysz mieli nadzieję - władający wyłącznie tureckim) usiedli przy stole, zaczęli masować sobie nadgarstki i pocierać

krzyże, gdzie znajdowały się gniazda, przez które podłączano wielkie maszyny do ich ciał. Poprosili o rybę.

Leo pochylił się i wrzucił rybę. Srebro błysnęło w powietrzu. Olej zasyczał.

Leo przechylił się przez poręcz i rozciągnął sznurek.

- Tak - mówił powoli. - Nie ma na Ziemi, jeszcze mniej tutaj, nie wiedziałem, że jest. Skąd to?

- Mam to z bazaru - wyjaśnił Mysz. - Jeśli coś istnieje na Ziemi, to jest na Wielkim Bazarze - zacytował przysłowie, które ściągnęło do Królowej Miast całe miliony ludzi.

- Też tak słyszałem - odparł Leo, po czym przeszedł znów na turecki: - Podaj gościom lunch.

Mysz ujął chochelkę i wyłowił rybę na plastikowe talerze. To, co zanurzyło się jako srebro, wynurzyło się jako złoto. Mężczyźni wyjęli chleb z koszyków pod stołem i zaczęli jeść rękami.

Wyłowił dwie ryby z oleju i zaniósł je Leo, który nadal siedział na poręczy i uśmiechał się do sakwy.

- Czy to coś zapewni mi spójny wizerunek? Nie wiem. Odkąd łowiłem metanowe kałamarnice w Zewnętrznych Koloniach, nie miałem w rękach czegoś takiego. Wtedy jeszcze, cóż, chyba mógłbym na czymś takim grać - sakwa opadła, a Leo wypuścił powietrze przez zęby. - Piękna, zaprawdę!

Na jego kolanach, w worku ze zmiętej skóry, leżało coś, co mogło być fletnią, lecz równie dobrze komputerem. Miało powierzchnie umożliwiające zmiany indukcyjności jak theremin, progi jak gitara, a z jednej strony, z dołu - krótkie piszczałki jak sitar. Z drugiej widać było dłuższe piszczałki basowe. Niektóre części wyrzeźbiono z drzewa różanego. Inne odlano ze stali nierdzewnej. Miało wstawki z czarnego plastiku i poduszki z pluszu.

Leo obrócił instrument.

Chmury rozchyliły się jeszcze bardziej.

Promień słońca padł na wypolerowane słoje, odbił się w stali.

Przy stole robotnicy spojrzeli na nich spod zmrużonych powiek, stukając monetami o blat. Leo skinął na nich. Położyli monety na zatłuszczonych deskach i opuścili pokład łodzi,

zdziwieni.

Leo zrobił coś z przełącznikami i rozległo się wyraźne dzwonięcie. Powietrze zadygotało i paskudny odór mokrych cum i smoły został zastąpiony zapachem... orchidei? Dawno temu, może w wieku pięciu czy sześciu lat, Mysz wąchał dzikie orchidee na polach przy drodze. (Była tam wielka kobieta w spódnicy z drukowanej tkaniny, która musiała być babką i trzech bosych mężczyzn z wielkimi wąsami; do jednego z nich kazano mu mówić „papa”. Ale to było w jakimś innym kraju...). Tak, orchidee.

Dłoń Leo drgnęła; dygotanie przeszło w migotanie. Światłość opadła z powietrza, połączyła się w błękitne światło, którego źródło było gdzieś między nimi. Zapach przypominał wilgotne róże.

- To działa! - wychrypiął Mysz.

Leo skinął głową.

- Lepiej niż ta, którą kiedyś miałem. Ilirionowa bateria jest prawie nowa. Grałem kiedyś na tych, które mam na łodzi, chyba nadal potrafię - zmarszczył czoło. - Ech, chyba nic z tego nie będzie. Wyszedłem z wprawy - zakłopotanie ułożyło jego rysy w wyraz, którego Mysz nigdy dotąd nie widział. Leo zacisnął dłoń na pokrętle do strojenia.

Gdy światło wypełniło przestrzeń, ułożyło się w postać kobiety. Obróciła się i spojrzała na nich przez ramię.

Mysz zamrugał.

Była przezroczysta, ale wydawała się tak bardzo przejrzysta z powodu skupienia, jakie musiał zmobilizować, by zdefiniować jej podbródek, jej ramiona, jej stopę, jej twarz, aż zawirowała, śmiejąc się, i zaskoczyła go, ciskając w niego kwiatami. Mysz uchylił się przed chmurą płatków i zamknął oczy. Oddychał normalnie, ale czując ten zapach, nie był w stanie się powstrzymać: otworzył usta, by chłonąć tę woń, przedłużał wdech, aż jego przepona nacisnęła boleśnie dół żeber. Potem ból przebił się łukowato pod mostkiem i Mysz musiał wypuścić powietrze. Szybko. Potem zaczął znów powoli wracać...

Otworzył oczy.

Olej, żółte wody Złotego Rogu, szlam; kwiatów w powietrzu

już nie było. Jego but spoczywał na dolnym szczeblu balustrady, a Leo bawił się pokrętem.

Ona znikła.

- Ale... - Mysz wykonał jeden krok, zatrzymał się, zakołysał się na czubkach palców i odchrząknął. - Jak to...?

Leo uniósł wzrok.

- Ech, już wyszedłem z wprawy! A kiedyś byłem naprawdę dobry. Dawno. Dawno temu. Kiedyś naprawdę umiałem na tym grać...

- Leo... mógłbyś? To znaczy, powiedziałaś... Nie wiedziałem... nie sądziłem...

- Co?

- Uczyć mnie! Mógłbyś mnie... nauczyć?

Leo spojrzał na osłupiałego cygańskiego chłopca, z którym zaprzyjaźnił się tutaj, w dokach, dzięki opowieściom o portach i oceanach na tuzinach światów. Był szczerze zaskoczony.

Mysz przebierał palcami.

- Pokaż mi, Leo! Musisz mi to pokazać! - umysł Myszy objął się między aleksandryjskim a berberyjskim arabskim, aż trafił na właściwe słowo we włoskim. - *Bellissimo, Leo! Bellissimo!*

- Cóż... - Leo pomyślał, że może powinien bać się zapaku tego chłopca, gdyby tylko Leo był bardziej oswojony ze strachem.

Mysz spojrzał na skradziony przedmiot z podziwem i przerażeniem.

- Pokażesz mi, jak się na tym gra?

I nagle zrobił coś naprawdę odważnego. Sięgnął po instrument, i zabrał go delikatnie z kolan Leo. Bo strach był uczuciem, z którym Mysz żył ciągle, przez całe swoje dotychczasowe krótkie życie.

Sięgając po przedmiot, rozpoczął jednak złożony proces stawania się sobą. Pograżony w zadumie obracał fletnię sensoryczną w dłoniach.

Na początku błotnistej ulicy, która wiała się na zboczu wzgórza za żelazną bramą, Mysz pracował nocami: nosił tace z kawą i salepem z herbaciarni, przedzierając się przez tłumy mężczyzn wchodzących i wychodzących wąskimi szklanymi drzwiami, przykucając, by przyjrzeć się kobietom czekającym na

zewnątrz.

Teraz Mysz przychodził do pracy później. Starał się spędzać na łodzi jak najwięcej czasu. Światła portu migwały w dokach ciągnących się na milę, a Azja błyskała przez mgłę; Leo pokazywał, gdzie w wypolerowanej fletni krył się każdy zapach, kształt, tekstura i ruch, jakie tylko można było uzyskać. Oczy i ręce Myszy zaczęły się otwierać.

Dwa lata później Leo oznajmił, że sprzedał łódź i zamierza polecieć na tamtą stronę Drako, a może na Nowego Marsa, łović pyłowe płaszczyki. Mysz umiał już wtedy pokazywać rzeczy znacznie przewyższające jarmarczną iluzję, jaką zaprezentował mu kiedyś Leo.

Miesiąc później Mysz także opuścił Stambuł. Czekał pod spadającymi kamieniami Edemakapi, aż kierowca ciężarówki zaproponował mu podwiezienie do granicznego miasta Ipsala. Przekroczył granicę z Grecją, dołączył do czerwonego wozu pełnego Cyganów i podczas podróży przypomniał sobie, jak się mówi po romsku, w jego ojczystym języku. W Turcji spędził trzy lata. Wyjeżdżając, zabrał ze sobą - poza ubraniami - tylko szeroki pierścień łamigłówkę, za gruby na jego palce - i fletnię.

Dwa i pół roku po wyjeździe z Grecji nadal miał ten pierścień. Wyhodował sobie jeden z paznokci, długi na trzy czwarte cala, jak inni chłopcy, którzy pracowali na brudnych uliczkach za pchlim targiem Monasteraiki, sprzedając dywany, świecidełka z brązu, czy co tam lubili kupować turyści, tuż obok kopuły geodezyjnej, która zakrywała milę kwadratową bazaru Athenas - i miał ze sobą fletnię.

Statek wycieczkowy, na który Mysz zaciągnął się jako marynarz pokładowy, wyruszył z Pireusu do Port Saidu, przeciął Kanał Sueski i popłynął dalej, do macierzystego portu, Melbourne.

Gdy wracali, tym razem przez Bombaj, Mysz pracował już jako artysta estradowy w klubie nocnym na statku: Pontichos Provechi przedstawi państwu wspaniałe dzieła sztuki, muzyczne i graficzne, z towarzyszeniem utworów zapachowych. W Bombaju Mysz zszedł ze statku, solidnie się upił (miał wtedy szesnaście lat) i włączył się nocą po brudnych

pirsach, chory i rozdygotany. Zaklinał się, że już nigdy nie będzie występował dla pieniędzy. („No, dalej, mały! Pokaż nam znów mozaikę na suficie Hagia Sofia, zanim zrobisz fryz Partenonu - i niech się huścą!”). Wrócił do Australii, znów jako marynarz. Wyszedł na brzeg z pierścieniem łamigłówką, długim paznokciem i złotym kolczykiem w lewym uchu. Marynarze, którzy przekroczyli równik na Oceanie Indyjskim, mogli nosić taki kolczyk przez piętnaście lat. Steward przekłuł mu ucho, używając lodu i igły do żagli. Mysz nadal miał fletnię.

Znalazł się znów w Melbourne i grał na ulicach. Spędził dużo czasu w kawiarni, gdzie bywali studenci z Akademii Astronautycznej im. Coopera. Dwudziestoletnia dziewczyna, z którą mieszkał, zaproponowała, żeby wziął udział w niektórych zajęciach.

- No, daj spokój, zrób sobie gniazda. I tak w końcu będziesz musiał gdzieś je zrobić, a może się czegoś nauczysz i znajdziesz jakąś pracę lepszą niż w fabryce. Lubisz podróżować. Może będziesz wolał polecieć do gwiazd niż obsługiwać zgniatarkę do śmieci.

W końcu rozstał się z tą dziewczyną i wyjechał z Australii; miał już wszczepkę, z certyfikatem na statki wewnątrz- i pozaukładowe. Nadal miał złoty kolczyk, długi paznokieć, pierścień łamigłówkę - i fletnię.

Nawet posiadaczom certyfikatu trudno było zaciągnąć się na Ziemi na statki latające do gwiazd. Przez kilka lat pracował dla małej linii handlowej, która latała w Zmiennym Trójkacie - z Ziemi na Marsa, z Marsa na Ganimedesa, z Ganimedesa na Ziemię. Wtedy jednak w jego czarnych oczach błyszczały już gwiazdy. Kilka dni po osiemnastych urodzinach (przynajmniej po dniu, kiedy to - jak ustalili z dziewczyną w Melbourne - przypadają jego urodziny), Mysz wyruszył w kierunku największego księżycy Neptuna, skąd latały wielkie statki handlowe do rozmaitych miejsc, jak Drako, Federacja Plejad, a nawet Kolonie Zewnętrzne.

Pierścień łamigłówka teraz idealnie pasował na jego palec.

Drako, Tryton, Piekło³, 3172

Mysz maszerował wzdłuż Piekła³; stukając obcasem swego jedyne go buta; jego druga, bosa stopa nie wydawała żadnego dźwięku (tak chadzał Leo w innym mieście, na innej planecie). Była to jego najnowsza zdobycz podróżna. Ludzie, którzy pracowali na statkach pozbawionych grawitacji, latających między planetami, wykształcali sobie chwytne palce u co najmniej jednej stopy; były one prawie tak sprawne, jak ręce początkujących żeglarzy. Czasem postępowali tak z oboma stopami. Na komercyjnych międzygwiazdnych statkach handlowych była sztuczna grawitacja, co zniechęcało do takich pomysłów.

Gdy przechadzał się pod drzewem, liście zaszumiły na ciepłym wietrze. I wtedy poczuł uderzenie w ramię. Potknął się; ktoś go chwycił i obrócił.

- Ty niezgrabny, szczeromordzi...

Jakaś dłoń zacisnęła się na jego rękę i odepchnęła go na długość ramienia. Mysz uniósł wzrok i spojrział w górę na mężczyznę, który przyglądał mu się, mrugając.

Wyglądał, jakby ktoś kiedyś próbował rozciąć mu twarz. Blizna sięgała od podbródka, zbliżała się do krzywizny ust i przecinała mięśnie policzka; przebiegała kolo lewego oka, zdumiewająco żywego, i przecinała lewą brew. Tam zniknęła pośród krótkich, kręconych włosów, płomień wypalanej, jedwabistej żółci. Ciało zbiegało się przy bliźnie jak kuta miedź przy brązowej żyłce.

- Chłopcze, dokąd to?

- Przepraszam...

Na kamizelce mężczyzny widniał złoty dysk oficerski.

- Chyba się zagapiłem...

Mięśnie na czole mężczyzny zmieniły położenie. Spód szczęki stał się jakiś cieńszy. Gdzieś za twarzą zrodził się dźwięk i rozbiegł się. Był to śmiech, szczery i ociekający pogardą.

Mysz uśmiechnął się. Nienawidził tego odgłosu.

- Chyba się zagapiłem i nie widziałem, dokąd idę.

- Chyba tak.

Ręka opadła dwukrotnie na jego ramię. Kapitan potrząsnął głową i odszedł.

Zawstydzony, lecz czujny, Mysz ruszył dalej.

Nagle zatrzymał się i obejrzał. Na złotym dysku na lewym ramieniu kamizelki kapitana widniało imię i nazwisko: „Lorq Von Ray”. Dłoń Myszy powędrowała do sakwy pod ramieniem.

Odgarnął czarne włosy, które opadły mu na czoło, rozejrzał się, po czym wspiął się na balustradę. Zahaczył butem i stopą o dolny szczebel i wyjął fletnię.

Jego kamizelka nie była zasnurowana do końca; przycisnął instrument do małych, wyraźnie zarysowanych mięśni klatki piersiowej. Opuścił twarz i zamrugał długimi rzęsami. Jego dłoń, upierścieniona, z ostrzem paznokcia, opadła w stronę powierzchni indukcyjnych.

Powietrze wypełniło się rozdygotanymi obrazami.

ROZDZIAŁ 2

Drako, Tryton, Piekło³, 3172

Katin, wysoki i olśniewający, szedł wzdłuż Piekła³, powłócząc nogami, ze wzrokiem utkwionym w ziemi, bujając myślami wśród wiszących w górze księżyców.

- Hej, chłopcze?

- Co?

Nieogolony włóczęga opierał się o ogrodzenie, zaciskając luszczące się dłonie na poręczy.

- Skąd jesteś? - oczy włóczęgi były zasnutę mgłą.

- Z Luny - odparł Katin.

- Z małego, białego domku przy wysadzonej drzewami ulicy, z rowerkiem w garażu? Miałem kiedyś taki.

- Mój dom był zielony - rzekł Katin. - I stał pod kopułą powietrzną. Ale rzeczywiście miałem rowerek.

Włóczęga huśtał się, trzymając się barierki.

- Tego nie wiesz, chłopcze. Tego nie wiesz.

Świrów trzeba słuchać, pomyślał Katin. Jest ich coraz mniej. Odnotował w pamięci, by to zapisać.

- Tak dawno... tak dawno temu! - staruszek szarpnął się gwałtownie.

Katin potrząsnął głową i znów ruszył.

Był niezgrabny i absurdalnie wysoki: mierzył ponad dwa metry wzrostu. Osiągnął te rozmiary w wieku szesnastu lat. Nigdy tak naprawdę nie uwierzył, że jest tak wysoki; dziesięć lat później nadal się garbił. Wielkie ręce zatknął za pasek od szortów. Przechadzał się, odsuwając łokcie od ciała.

A myślami był wśród księżyców.

Katin, urodzony na Księżycu, uwielbiał księżyce. Zawsze mieszkał na jakimś satelicie, z wyjątkiem studiów: przekonał swoich rodziców, stenografów sądu na Drako, by pozwolili mu studiować na Ziemi, w ośrodku myśli uniwersyteckiej

enigmatycznego Zachodu, na Uniwersytecie Harvarda, który nadal był uczelnią dla bogaczy, ekscentryków i geniuszy - a był co najmniej dwoma ostatnimi z wymienionych.

Zróznicowane warunki na powierzchni planety, od himalajskiego mrozu po rozżarzone wydmy Sahary, znał tylko ze słyszenia. Mroźne lasy z porostów na marsjańskich czapach polarnych czy rozszalałe rzeki pyłów na równiku czerwonej planety, merkuriańskie noce zestawione z merkuriańskimi dniami - te poznał tylko dzięki podróżniczym symulacjom.

Nie tylko poznał - Katin je pokochał.

Księżyce?

Księżyce są małe. Piękno księżycy tkwi w odmianach identyczności.

Opuściwszy Harvard, Katin wrócił na Lunę, a stamtąd poleciał na stację na Fobosie, gdzie zanurzył się w istnym lesie modułów rejestrujących, komputerów o niskiej mocy obliczeniowej i adresografów - uwznioślony urzędniczyna. W wolnym czasie wdziewał skafander traktor z polaryzowanymi soczewkami i zwiedzał Fobosa, zaś Dejmos, jasny kawał skały o długości dziesięciu mil, zwiślał nad drażniąco bliskim horyzontem. W końcu udało mu się zebrać grupę; wylądowali na Dejmosie i zbadali to niewielkie ciało niebieskie tak dokładnie, jak tylko można zbadać coś tak niewielkiego. Potem zaczął podróżować po księżycach Jowisza: Io, Europa, Ganimedes, Kallisto wirowały przed jego lśniącymi, brązowymi oczami. Księżyce Saturna, oświetlone rozproszoną poświatą pierścieni, tańczyły tylko dla niego, gdy opuszczał lądownik, w którym mieszkał. Badał szare kratery, szare góry, doliny i kaniony całe noce i dni, z oślepiającą intensywnością. Czy wszystkie księżyce naprawdę są takie same?

Gdyby Katin nagle znalazł się na którymś z nich z zawiązanymi oczami, i gdyby zdjęto mu opaskę, struktury geologiczne, formacje kryształów i ogólna topografia natychmiast zdradziłyby mu tożsamość księżycy. Wysoki Katin nauczył się wyławiać subtelne różnice w krajobrazie i otoczeniu. Znał namiętności, jakie wiązały się z obcowaniem z kompletnymi światami, czy całymi ludźmi - ale nimi pogardzał.

Radził sobie z tą niechęcią na dwa sposoby.

W przypadku symptomów wewnętrznych - pisał powieść.

Ozdobiony klejnotami rejestrator, który podarowali mu rodzice, gdy zdobył stypendium, wisiał na łańcuszku na jego piersi. Zawierał już około stu tysięcy słów notatek - lecz Katin nawet jeszcze nie zaczął tworzyć pierwszego rozdziału.

Sposobem na objawy zewnętrzne było samotne życie i kariera zawodowa znacznie poniżej jego możliwości intelektualnych, czy wręcz niedostosowana do jego temperamentu. Oddalał się powoli od ośrodka ludzkich działań, którym dla niego nadal była planeta zwana Ziemią. Ukończył kurs używania wszczepki zaledwie miesiąc temu. Przybył na ten księżyc Neptuna - ostatni księżyc w Układzie Słonecznym, który miał przyzwoite rozmiary - dziś rano.

Jego brązowe włosy lśniły jedwabiście; były niesforne i na tyle długie, że podczas walki można było owinać je wokół pięści (oczywiście napastnik musiałby być odpowiednio wysoki). Ręce, wsunięte pod pasek, ugniatały płaski brzuch. Katin dotarł do chodnika i zatrzymał się. Ktoś siedział na poręczy i grał na fletni czuciowej.

Kilka osób zatrzymało się, by popatrzeć.

Kolory tryskały w powietrzu wzorami przypominającymi fugę; kształty podciągały bryzę i opadały, by zmieniać się dalej; od jasnego szmaragdu po ciemniejszy ametyst. Powietrze przesyciło wonie octu, śniegu, oceanu, imbiru, maków, rumu. Jesień, ocean, imbir, ocean, jesień; ocean, ocean, znów fala oceanu; światło pieniało się w gasnącym błękicie, który podświetlał twarz Myszy. Elektryczne arpeggia neoragi płynęły strumieniem.

Przycupnięty na poręczy Mysz przyglądał się obrazom, implozjom na jeszcze jaśniejszej implozji, swym brązowym palcom tańczącym na progach, gdy światło padające z instrumentu płynęło po wierzchach jego dłoni. Jego palce opadały. Obrazy wyskakiwały z zagłębień jego dłoni.

Zebrało się już kilkanaście osób. Mrugali i kręcili głowami.

Światło iluzji tańczyło na sklepieniach ich oczodołów, opływało liniami ich usta, wypełniało bruzdy na czołach. Jakaś kobieta potarła ucho i zakaszła. Jakiś mężczyzna wbił pięści w kieszenie.

Katin spojrział w dół na ich głowy.

Ktoś przepychał się do przodu. Mysz uniósł wzrok, nie przerywając gry.

Ślepy Dan przepchnął się przez widzów, zatrzymał, zataczając się, w ogniu płynącym z fletni.

- Hej, no jak tak można, odsuń się...

- Dalej, staruszk, przesuń się...

- Nie widzimy, co ten dzieciak robi...

Zatopiony w kreacji Myszy Dan chwiał się, kręcąc głową.

Mysz zaśmiał się; jego brązowa dłoń zacisnęła się na wystającym trzonku i światło, dźwięki i zapachy skupiły się w jednym kształcie: był to wspaniały demon, który stał przed Danem, nadymając się, strojąc miny, bijąc pokrytymi łuską skrzydłami, które zmieniały kolor z każdym uderzeniem. Demon wydał odgłos przypominający trąbkę, skrzywił się tak, że jego pysk zaczął przypominać twarz Dana, ale z trzecim, wirującym okiem.

Ludzie zaczęli się śmiać.

Widmo podskoczyło i przypadło do palców Myszy. Cygan uśmiechnął się złośliwie.

Dan zatoczył się do przodu, młócąc jedną ręką powietrze.

Demon zawył, obrócił się i pochylił. Rozległ się odgłos przypominający dźwięk szybko otwieranego i zamykanego zaworu i widzowie - których liczba zwiększyła się o kolejny tuzin - aż ryknęli, czując odór.

Katin, który opierał się o balustradę tuż obok Myszy, poczuł jak ze wstydu piecze go kark.

Demon hasał.

Katin wyciągnął dłoń i położył ją na polu indukcyjności wizualnej; obraz stracił ostrość.

Mysz poderwał głowę i spojrział na niego.

- Ej!

- Nie powinienes tego robić - rzekł Katin i położył wielką dłoń

na ramieniu Myszy.

- On jest ślepy - odparł Mysz. - Nie słyszy, nie czuje zapachów. W ogóle nie wie, co się dzieje... - jego brązowe brwi opadły. Przestał jednak grać.

Dan stał samotnie pośrodku tłumu, nieświadom tego, co się dzieje. Nagle krzyknął. Raz i drugi. Wrzask aż zadudnił mu w płucach. Ludzie cofnęli się. Mysz i Katin znów spojrzeli na tnące powietrze ramię Dana.

Złoty dysk zaślnił na granatowej kamizelce i zza poświęty wynurzyła się blizna jak płomień; kapitan Lorq Van Ray wystąpił przed szereg.

Dan poznał go, mimo ślepoty. Odwrócił się i wyszedł z kręgu, kuśtykając. Odsunął na bok jakiegoś mężczyznę, uderzył wierzchem dłoni ramię jakiejś kobiety i znikł w tłumie.

Dana już nie było, a fletnia umilkła. Uwaga wszystkich skupiła się teraz na kapitanie. Von Ray klepnął się w udo, zagłębienie dłoni uderzyło o tkaninę czarnych spodni z trzaskiem.

- Opanujcie się! Przestańcie wrzeszczeć!

Miał potężny głos.

- Przybyłem tu, by wybrać załogę złożoną z ludzi wyposażonych we wszczepki, na długi rejs, może wewnętrznym ramieniem galaktyki. - Jego żółte oczy były tak żywe. Na rysach wokół poskręcanej blizny, pod czupryną rdzawych włosów, pojawił się uśmiezek. Zidentyfikowanie wyrazu zniekształconych ust i brwi zajmowało jednak parę sekund. - No dobrze, kto z was chce się wpiąć w połowie drogi do skraju nocy? Macie nogi z piasku czy zjedliście zęby na podróżach wśród gwiazd? Ty! - Wskazał gestem Mysz, siedzącego na balustradzie. - Chcesz lecieć ze mną?

Mysz opuścił nogi.

- Ja?

- Ty i twoja piekielna katarynka! Jeśli tylko uważasz, że potrafisz patrzeć, dokąd idziesz, chcę mieć kogoś, kto będzie przede mną zonglował powietrzem i łaskotał moje płatki uszne. Przyjmij tę ofertę pracy.

Gdzieś za zębami Myszy zrodził się uśmiech, który w końcu

wykwitł na wargach.

- Jasne - odparł i jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Polecę - młody Cygan wyszeptał te słowa, jakby był przepitym whisky staruszkciem. - Pewnie, że polecę, kapitanie.

Mysz skinął głową i złoty kolczyk błysnął nad wulkaniczną rozpadliną. Gorący wiatr nad balustradą rozwiał pukle jego czarnych włosów.

- Może masz towarzysza, który chciałby polecieć z nami? Potrzebuję załogi.

Mysz, który nie przepadał jakoś szczególnie za nikim w tym porcie, spojrział na niewiarygodnie wysokiego młodego człowieka, który przeszkodził mu w znęcaniu się nad Danem.

- Może mały się nada? - wskazał kciukiem zaskoczonego Katina. - Nie znam go, ale na pewno dobry z niego towarzysz.

- Doskonale. Zatem mamy... - kapitan Von Ray zmrużył na sekundę oczy, przyglądając się opadającym ramionom Katina, jego wąskiej klatce piersiowej, wyrazistym policzkom, brązowym tęczęwkom z plamkami barwy miedzi i wilgotnym oczom, niewyraźnym pierścieniom za soczewkami kontaktowymi. - Dwóch.

Katin poczuł, że palą go uszy.

- Kto jeszcze? O co chodzi? Boicie się opuścić tę małą studzienkę grawitacji tunelującą do słońca o objętości pół kwarty? - wskazał brodą podświetlone góry. - Kto poleci ze mną w miejsce, gdzie noc oznacza wieczność, a poranek jest tylko wspomnieniem?

Jakiś mężczyzna zrobił krok do przodu. Miał skórę barwy czerwonych winogron, długą głowę i wyraźne rysy.

- Wchodzę w to.

Gdy mówił, widać było, jak prężą się mu mięśnie szczęki i na skórze głowy o wyrazistych kształtach.

- Masz towarzysza?

Z szeregu wystąpił drugi mężczyzna. Jego skóra przypominała przezroczyste mydło, a włosy wyglądały jak biała wełna. Dopiero po chwili podobieństwo rysów dało się wyraźnie zauważyć. Miał takie same, ostro zarysowane zmarszczki w kąciku grubych ust, taki sam trapez pod nozdrzami, taki sam

kształt kości policzkowych: byli bliźniętami. Drugi mężczyzna odwrócił głowę i Mysz zobaczył mrugające oczy, osłonięte srebrem.

Albinos opuścił szeroką dłoń - wyglądała jak woreczek z knycki i zniszczonych pracą paznokci, przywiązany do przedramienia grubymi, ruchliwymi żyłami - i położył ją na ciemnym ramieniu brata.

- Lecimy razem.

Nawet ich głosy, z kolonialnym zaśpiewem, brzmiały identycznie.

- Ktoś jeszcze? - Kapitan Von Ray rozejrzał się po zebranych.

Wystąpił jakiś mężczyzna.

- Kapitanie, czy zabierzesz i mnie?

Coś trzepotało na jego ramieniu.

Jego żółte włosy rozwiewał wiatr, który nie wiał od rozpadliny. Wilgotne skrzydła marszczyły się, rozciągały, jak onyks, jak karuk. Mężczyzna dotknął miejsca, gdzie czarne pazury tworzyły epolet na jego gruzłowatym ramieniu i pogładził błony między palcami łopatkowatym keiukiem.

- Masz jeszcze jakiegoś towarzysza, innego niż twoje zwierzę?

Wystąpiła z tłumu, wkładając swą małą rękę w jego dłoń, i stanęła za nim na długość dwóch ramion.

Gałęzie wierzby? Ptasie skrzydła? Wiatr w wiosennym sitowiu? Mysz szukał w pamięci wrażeń, które przywodziłyby na myślą taką samą łagodność jak jej twarz, i nie udało mu się.

Miała oczy koloru stali. Małe piersi wypychały sznurówki kamizelki, w rytm oddechu. Stał zalśniła nagle; dziewczyna uniosła wzrok. (To silna kobieta, pomyślał Katin, który dostrzegął takie subtelności).

Kapitan Von Ray założył ręce na piersiach.

- Was dwoje i ta bestia na twoim ramieniu?

- Sześcioro zwierząt mamy, kapitanie - odparła.

- Dopóki będą przywiązane na statku, nie mam nic przeciwko. Ale wyrzucę za burtę pierwszego trzepoczącego drania, o którego się potknę.

- Doskonale, kapitanie - rzekł mężczyzna. W skośnych oczach na rumianej twarzy pojawił się uśmiech. Wolną dłonią chwycił

biceps drugiej ręki i przesunął wierzchem kłykci po blond włosach, które opadały na przedramię sfilcowaną falą, aż dotknął dłoni kobiety. To była para, która grała w karty w barze. - Kiedy na pokład mamy wejść?

- Godzinę przed świtem. Mój statek popędzi na spotkanie słońca. To „Roc” w doku siedemnastym. Jak cię zwą przyjaciele?

- Sebastian.

Bestia na jego złotym ramieniu machnęła skrzydłami.

- Tyÿ.

Jakiś cień przemknął po jej twarzy.

Kapitan Von Ray pochylił głowę i patrzył swymi tygrysimi oczami, spod rdzawych brwi.

- A wrogowie?

Mężczyzna roześmiał się.

- Przekłęty Sebastian i jego trzepocząca nagonka.

Von Ray spojrział na kobietę.

- A ciebie?

- Tyÿ - odparła i dodała cicho: - Także.

- Wasza dwójka - Von Ray zwrócił się do bliźniaków. - Jak was zwą?

- On to Idas - powiedział albinos i znów położył dłoń na ramieniu brata.

- ...a on to Lynkeos.

- A co powiedzieliby twoi wrogowie, gdybym spytał ich, kim jesteście?

Ciemnoskóry bliźniak wzruszył ramionami.

- Tylko tyle, że jesteś Lynkeos...

- I Idas.

- A ty? - Von Ray skinął głową w stronę Myszy.

- Jeśli jesteś moim przyjacielem, możesz zwać mnie Myszą. Jeśli jesteś moim wrogiem, nigdy nie poznasz mojego imienia.

Powieki Von Raya opadły do połowy, zasłaniając żółte gałki oczne. Przyglądał się wysokiemu chłopakowi.

- Katin Crawford - Katin zaskoczył samego siebie tym, że się zgodził. - Kiedy moi wrogowi wymyślą dla mnie jakieś miano, powiem ci o tym, kapitanie.

- Czekają nas długi podróże - oznajmił kapitan. - I będziecie musieli stawić czoła wrogom, o których nawet dotąd nie słyszeliście. Ścigamy się z Prince'em i Ruby Redami. Lecimy pustym towarowcem, a wracamy - jeśli kółka w maszynie będą się kręcić, jak trzeba - z pełną ładownią. Chcę, byście wiedzieli, że ta wyprawa wyruszyła już dwukrotnie. Za pierwszym razem ledwo się rozpoczęła. Za drugim miałem już cel w zasięgu wzroku. Ale moja załoga nie wytrzymała tego widoku. Tym razem chcę polecieć, napełnić ładownię i wrócić.

- Lecimy dokąd? - spytał Sebastian. Stworzenie na jego ramieniu przeniosło ciężar ciała z jednej nogi na drugą i machnęło skrzydłami, by złapać równowagę. Rozpiętość jego skrzydeł wynosiła prawie siedem stóp. - Co jest tam, kapitanie?

Von Ray odrzucił głowę do tyłu, jakby już dostrzegł swój cel, po czym opuścił wzrok.

- Tam...

Mysz poczuł coś dziwnego na karku, jakby jego szyja była pokryta tkaniną i ktoś szarpnął za luźne końce i rozdarł ją.

- Gdzieś tam - mówił dalej Von Ray - jest Nova.

Strach?

Przez chwilę Mysz szperał w pamięci za tym, co wie o gwiazdach, i przypomniał sobie o uszkodzonych oczach Dana.

Katin okręcił się na pięcie, nad szczeliną, nad którą wisiało wiele księżyców, wytrzeszczając oczy za szybką skafandra, a gdzieś tam, w trzewiach kosmosu, zapadało się słońce.

- Zapolujemy na Nową.

Więc to *naprawdę* jest strach, pomyślał Mysz. Coś więcej niż bestia trzepocząca skrzydłami w piersi, wpijająca się w zębra.

To początek miliona podróży, rozmyślał Katin, z nogami uwięzionymi w tym samym miejscu.

- Musimy polecieć na sam rozpalony skraj tego implodującego słońca. Całe kontinuum w pobliżu Novej to przestrzeń, która uległa skróceniu. Musimy dotrzeć do brzegu chaosu i przywieźć z powrotem garść ognia, i po drodze zatrzymać się jak najrzadziej. Tam, dokąd się udajemy, żadne prawa nie działają.

- Jakie prawa masz na myśli? - spytał Katin. - Prawa ludzkie

czy naturalne prawa fizyki, psychiki i chemii?

Von Ray zamilkł na chwilę.

- Wszystkie naraz.

Mysz przełożył skórzany pasek przez ramię i włożył fletnię do sakwy.

- To wyścig - oznajmił Von Ray. - I przypominam: naszymi przeciwnikami są Prince i Ruby Redowie. Nie ma żadnych ludzkich praw, które zdołałyby ich powstrzymać. A gdy będziemy zbliżać się do Novej, pozostałe prawa też przestaną działać.

Mysz strząsnął z czoła burzę włosów.

- To będzie naprawdę podróż w nieznane, prawda, kapitanie?

- Mięśnie jego brunatnej twarzy podskoczyły, zadrżały, aż wreszcie ustaliły się w formie rozdygotanego uśmiechu. Jego dłoń, wsunięta do worka, pogładziła intarsję fletni. - Naprawdę podróż w nieznane. - Jego ciepły głos zdradzał, że aż się oblizuje na myśl o niebezpieczeństwie. - To wygląda na podróż, o której będę mógł śpiewać - aż się oblizał.

- A jeśli chodzi o tę... garść ognia, którą mamy przywieźć z powrotem... - zaczął Lynkeos.

- Pełną ładownię - poprawił go Von Ray. - Czyli siedem ton. Siedem talentów, każdy ważący tonę.

- Nie da się tu przywieźć siedmiu ton ognia... - wtrącił Idas.

- ...więc jaki naprawdę będzie ładunek, kapitanie? - dokończył Lynkeos.

Załoga czekała. Ci, którzy stali najbliżej załogi, czekali.

Von Ray sięgnął i zaczął ugniatać swoje prawe ramię.

- Ilirion - odparł. - I pozyskamy go prosto u źródła. - Opuścił rękę. - Podajcie mi swoje numery klasyfikacyjne. A potem chcę was widzieć na pokładzie „Roca” godzinę przed świtem.

- Napij się.

Mysz odepchnął dłoń i tańczył dalej. Muzyka rozbijała się o metalowe dzwony, a czerwone światła ścigały się dookoła baru.

- Pij...

Biodra Myszy podrygiwały w takt muzyki. Tyj podskakiwała

przy nim, przerzucając ciemne włosy nad połyskującym ramieniem. Miała zamknięte oczy, a jej wargi drżały.

Ktoś mówił do kogoś innego:

- Masz, nie chcę tego już. Możesz dopić.

Zatrzepotała rękami i ruszyła w jego stronę. I wtedy Mysz mrugnął.

Tyż zaczęła migotać.

Mrugnął jeszcze raz.

I wtedy zobaczył, że Lynkeos trzyma fletnię w swych białych dłoniach. Brat stał obok niego. Śmiali się. Prawdziwa Tyż siedziała w kącie przy stole i tasowała karty.

- Hej - rzekł Mysz i szybkim krokiem podszedł do nich. - Nie baw się moim toporem. Potrafisz na tym grać, świetnie. Ale zapytaj mnie najpierw.

- Dobrze - odparł Lynkeos. - Tylko ty to widziałeś.

- To był promień kierunkowy - wyjaśnił Idas. - Przepraszamy.

- W porządku - mruknął Mysz, zabierając mu fletnię. Był pijany i zmęczony. Wyszedł z baru, pokręcił się nad rozżarzoną skrajem Piekła³ i wreszcie przeszedł przez most, który prowadził do doku siedemnaście. Niebo było czarne. Gdy przesunął ręką po balustradzie, na jego palce i ramię padł pomarańczowy blask z rozpadliny.

Ktoś opierał się o balustradę przed nim.

Mysz zwolnił.

Katin patrzył na otchłań z miną marzyciela; poświata nadawała jego twarzy demoniczny wygląd.

Z początku Myszy wydało się, że Katin mówi do siebie, ale po chwili zauważył zdobione klejnotami urządzenie w jego dłoni.

- Wetnij się w ludzki mózg - mówił Katin do rejestratora. - Pośrodku, między mózgiem a rdzeniem przedłużonym znajdziesz skupisko nerwów, które przypomina ludzką postać, choć mierzy zaledwie kilka centymetrów. Łączy ono wrażenia czuciowe, które powstają poza mózgiem z abstrakcjami, które tworzą się w mózgu. Równoważy ono postrzeganie świata zewnętrznego z wiedzą o świecie, jaki istnieje wewnątrz. Przetnij tę luźną płataninę intryg, które wiążą świat ze światem...

- Hej, Katin.

Katin spojrział na niego i uderzył w nich bijący od lawy strumień gorącego powietrza.

- ...łączy jedne układy gwiazdne z innymi, łączy sektor Drako, skupiony wokół Sol, Federację Plejad i Kolonie Zewnętrzne w jeden organizm; znajdziesz tam istny tłum dyplomatów, wybranych lub samozwańczych oficjeli, uczciwych lub skorumpowanych, w zależności od tego, czego wymaga sytuacja - krótko mówiąc, strukturę rządową, która przybiera różne formy, w zależności od światów, jakie reprezentuje. Jej funkcja polega na reagowaniu i równoważeniu społecznych, ekonomicznych i kulturowych nacisków, które zmieniają się i obejmują całe imperium.

- A gdyby przebić się bezpośrednio przez gwiazdę, umieszczoną pośrodku torusa z płonącego gazu, z czystej materii jądrowej, skondensowanej i lotnej, zmiażdżonej do tego stanu przez otaczającą ją materię, sferycznej lub spłaszczonej, jak kształt samego słońca. Podczas zakłóceń słonecznych ten środek przenosi ich wibracje bezpośrednio przez masę gwiazdy, by znieść te wibracje w formę zmian pływowych na powierzchni słońca.

- Czasem coś się psuje z małutkimi ciałami równoważącymi naciski zmysłowe ludzkiego mózgu.

- Bywa, że struktura rządowa i dyplomatyczna nie jest w stanie poradzić sobie z naciskami występującymi na ciałach niebieskich, którymi rządzi.

- A gdy coś pójdzie nie tak, jak powinno z mechanizmem równoważącym we wnętrzu słońca, rozproszenie potężnej mocy gwiazdnej wypada z fazy i powstają tytaniczne siły, które sprawiają, iż słońce...

- Katin?

Katin wyłączył rejestrator i spojrział na Mysz.

- Co robisz?

- Notatki do mojej powieści.

- Czego?

- Archaicznej formy, którą wyparła psychorama. Cóż, była w stanie oddać nieznaną już subtelności, duchowe i artystyczne, i

bardziej bezpośrednia forma nie jest w stanie jej dorównać. Jestem anachronizmem, Mysz - uśmiechnął się krzywo Katin. - Dzięki, że załatwiłeś mi pracę.

Mysz wzruszył ramionami.

- O czym ty mówisz?

- Psychologia - Katin włożył rejestrator z powrotem do kieszeni. - Polityka i fizyka. Dwa razy „p” i raz „f”.

- Psychologia? - zdziwił się Mysz. - Polityka?

- Umiesz czytać i pisać? - spytał Katin.

- Po turecku, grecku i arabsku. Ale angielski znam średnio. Litery nie mają nic wspólnego z dźwiękami, które trzeba wydawać.

Katin skinął głową. Też był trochę pijany.

- W rzeczy samej. Dlatego właśnie angielski tak świetnie nadaje się do powieści. Ale chyba nadmiernie upraszczam.

- A o co chodzi z tą psychologią i polityką? Fizykę znam.

- Zasadniczo - rzekł Katin do płynącego, żarzącego się strumienia wilgotnej magmy, który wił się dwieście metrów niżej - chodzi mi o psychologię i politykę naszego kapitana. Intrygują mnie.

- A co takiego?

- Jego psychologia w tej chwili jest jedynie przedmiotem zainteresowania, ponieważ pozostaje nieznana. W miarę postępów wyprawy będę miał okazję ją obserwować. Ale za to polityka jest wręcz nabrzmiała możliwościami.

- Taa? Co masz na myśli?

Katin splótł palce i oparł podbródek na knykcium.

- Pobierałem nauki w instytucji szkolnictwa wyższego, która znajduje się w miejscu, gdzie rozciągają się ruiny kiedyś wielkiego kraju. Po drugiej stronie czworokątnego dziedzińca był budynek, w którym mieściło się Laboratorium Psychonauki imienia Von Raya. Przypuszczam, że nazwano je tak niedawno, jakieś sto czterdzieści lat temu.

- Kapitana Von Raya?

- Przypuszczam, że chodziło raczej o jego dziadka. Budynek nazwano jego imieniem dla uczczenia trzydziestej rocznicy zdobycia niepodległości przez Federację Plejad, wskutek

wyroku sądu na Drako.

- Von Ray jest z Plejad? Nie mówi, jak ludzie stamtąd. Sebastian i Tyż tak, to słysząc. Jesteś pewien?

- Na pewno tam są jego rodowe posiadłości. On pewnie włóczy się po całym kosmosie, podróżując w stylu, do którego jest przyzwyczajony. Założę się, że ma własny transportowiec.

- Nie pracuje dla jakiejś korporacji?

- Nie, chyba że to firma należąca do jego rodziny. Von Rayowie to chyba najbardziej wpływowa rodzina w Federacji Plejad. Nie wiem, czy nasz kapitan jest bliskim kuzynem, który ma na tyle szczęścia, żeby nosić to samo nazwisko, ani czy jest ich bezpośrednim spadkobiercą i potomkiem. Ale wiem, że to nazwisko należy łączyć z rządami i kontrolą nad całą Federacją Plejad; to rodzina z gatunku tych, które mają letnią rezydencję w Zewnętrznych Koloniach i kamienicę albo i dwie w jakimś mieście na Ziemi.

- Więc to jakiś ważniak - rzekł ochryplym głosem Mysz.

- Istotnie.

- O co chodzi z tym Prince'em i Ruby Redami, o których mówił?

- Jesteś tępy z natury, czy po prostu jesteś produktem systemu trzydziestego drugiego stulecia, wymagającego nadmiernej specjalizacji? - spytał Katin. - Czasem marzę o powrocie wielkich osobistości epoki dwudziestowiecznego renesansu: Bertranda Russela, Susanne Langer, Pejta Davlina - obrzucił Mysz spojrzeniem. - Kto produkuje wszystkie systemy napędu, jakie istnieją, międzyplanetarne czy międzygwiazdne?

- Red Shift Limited - Mysz zamilkł na gło. - To *ten* Red?

- Gdyby nasz kapitan nie nazywał się Von Ray, sądziłbym, że mówi o jakiejś innej rodzinie. A ponieważ tak się nazywa, zakładam, że ma na myśli tych Redów.

- Cholera - mruknął Mysz. Red Shift to była marka, która pojawiała się tak często, że człowiek nawet jej nie zauważał. Red Shift produkowała komponenty do wszystkich istniejących napędów kosmicznych, narzędzia do ich demontażu, maszyny do serwisowania i części zamienne.

- Redowie to rodzina przemysłowców, której korzenie sięgają

do czasów pierwszych podróży kosmicznych. Charakteryzuje się silnymi związkami z Ziemią, i całym Drako. Von Rayowie nie mają aż tak bogatej historii, ale to potężny ród z Federacji Plejad. A teraz biorą udział w wyścigu o siedem ton ilirionu. Czy twoja wrażliwość polityczna nie zaczyna dygotać z niecierpliwości w oczekiwaniu na jego wynik?

- Dlaczego miałyby?

- Jedno jest pewne - rzekł Katin. - Artysta, któremu leży na sercu dobro wyrażania samego siebie i projekcji jego wewnętrznego świata, powinien być przede wszystkim apolityczny. Ale *naprawdę* apolityczny, Mysz.

- Katinie, o czym ty mówisz?

- Mysz, co dla ciebie oznacza ilirion?

Mysz zastanowił się.

- Moja fletnia gra dzięki baterii ilirionowej. Wiem, że to on utrzymuje wysoką temperaturę w jądrach księżyców. Czy ma też coś wspólnego z napędem nadświatlnym?

Katin przymknął oczy.

- Jesteś zarejestrowanym, przetestowanym, certyfikowanym wszcwieńcem, tak? - Przy „tak” otworzył oczy.

Mysz skinął głową.

- Och, oby odrodził się system edukacyjny, w którym zrozumienie było istotną częścią wiedzy - zaintonował Katin w stronę ciemności z przebłyskami światła. - A tak przy okazji, gdzie zostałeś poddany cyborgizacji? W Australii?

- Uhm.

- Wszystko się zgadza. Mysz, w baterii ilirionowej w twojej fletni jest znacznie mniej ilirionu, tak gdzieś dwudziesto- lub dwudziestopięciokrotnie mniej niż, powiedzmy, radu w farbie fluorescencyjnej na cyfrach tarczy radowego zegarka. Jak długo ma działać ta bateria?

- Podobno pięćdziesiąt lat. Jest droga jak diabli.

- Ilość ilirionu, która utrzymuje temperaturę jądra tego księżyca, mierzy się w gramach. Ilość potrzebna do napędzania statku kosmicznego to ten sam rząd wielkości. Ilość, jaką można by wydobyć w całym wszechświecie, to osiem albo dziewięć ton. A kapitan Von Ray ma przywieźć *siedem ton!*

- Chyba ludzie z Red Shift byliby tym zainteresowani.

Katin skinął nisko głową.

- Pewnie tak.

- Katinie, co to jest ilirion? Pytałem o to w szkole Coopera, ale mówili, że to za skomplikowane i że nie zrozumieć.

- To samo mówili mi na Harvardzie - odparł Katin. - Psychofizyka, kurs 74 i 75. Poszedłem więc do biblioteki.. Najlepszą definicję podał profesor Plovnievsky w pracy przedstawionej w Oksfordzie w roku 2338 i przed Królewskim Towarzystwem Naukowym trzy tygodnie później. Cytuję: „Zasadniczo, proszę państwa, ilirion jest czymś innym”. Można się zastanawiać, czy to szczęśliwy traf, związany z jego słabą znajomością języka, czy wręcz przeciwnie, dogłębną znajomością subtelności angielszczyzny. Definicja słownikowa, o ile pamiętam, brzmiała jakoś tak: „...ogólna nazwa grupy pierwiastków o liczbie atomowej powyżej 300, o właściwościach psychomorficznych, heterotropowe z wieloma powszechnie spotykanymi pierwiastkami, jak również serią pierwiastków urojonych, które istnieją w układzie okresowym pierwiastków dla liczb atomowych od 107 do 255”. Jak stoisz z fizyką jądrową?

- Jestem kiepskim wszczępieńcem.

Drgająca brew Katina powędrowała w górę.

- Wiesz, że jeśli znajdziesz się w układzie okresowym pierwiastków, tam, gdzie liczby atomowe są większe od 98, tamtejsze pierwiastki stają się coraz mniej stabilne, aż dojrzymy do wytworów tak śmiesznych, jak einstein, kaliforn czy ferm, których okres półtrwania wynosi setne części sekundy - a gdy będzie poruszać się dalej, setki tysięcznych sekundy. Im dalej, tym niższa stabilność. Dlatego też cały szereg o liczbie atomowej od 100 do 298 nazwano - błędnie zresztą - pierwiastkami urojonymi. Są jak najbardziej rzeczywiste. Tylko że nie istnieją zbyt długo. Przy liczbie atomowej 296 czy coś koło tego stabilność zaczyna jednak rosnać. Przy trzystu mamy okres półtrwania mierzony w dziesiątych częściach sekundy, a gdy zwiększymy liczbę atomową o pięć czy sześć, zaczyna się cały nowy szereg

pierwiastków, które mają przyzwoity okres półtrwania, liczony w milionach lat. Pierwiastki te mają potężne jądra i są *bardzo* rzadkie. Jednak jeszcze latach 50. XX wieku odkryto hiperony, cząstki elementarne większe od protonów i neutronów. Cząstki te przenoszą energię wiązania, które utrzymują w całości te superjądra, podobnie jak zwykle mezony sklejają jądra w bardziej pospolitych pierwiastkach. Tę grupę superciężkich, superstabilnych pierwiastków określa się ogólną nazwą ilirionu. I znów zacytuję znakomitego Plovnievsky'ego: „Zasadniczo, proszę państwa, ilirion jest czymś innym”. Zaś Webster informuje nas, że jest on zarówno psychomorficzny, jak i heterotropowy. Przypuszczam, że to wyszukany sposób informowania, że ilirion jest dla każdego czymś innym. - Katin obrócił się w stronę balustrady i założył ramiona na piersi. - Zastanawiam się, czym jest dla naszego kapitana.

- Co to znaczy „heterotropowy”?

- Mysz - odparł Katin - pod koniec XX wieku ludzkość doznała całkowitego rozproszenia, które wtedy było określane jako „nowoczesna nauka”. Kontinuum było wypełnione „kwazarami” i niezidentyfikowanymi radioźródłami. Istniało więcej cząstek elementarnych niż pierwiastków, które z nich powstawały. Zaś doskonale stabilne związki, które przez wiele lat były uważane za nierealne, zaczęły powstawać na prawo i lewo: KrI_4 , H_4XeO_6 , RnF_4 ; gazy szlachetne okazały się ostatecznie nie tak znowu szlachetne. Koncepcja energii, zawarta w einsteinowskiej teorii kwantowej, była równie poprawna i prowadziła do wielu sprzeczności, podobnie jak głoszona trzysta lat wcześniej teoria o uwalnianiu przez ogień cieczy zwanej flogistonem. Nauki humanistyczne - czyż to nie piękna nazwa? - dostały amoku. Doświadczenia prowadzone przez szaleńców sprawiły, że wszyscy zaczęli wątpić we wszystko i musiało minąć sto pięćdziesiąt lat, zanim uporządkowano cały ten bałagan i stworzono coś w rodzaju spójnego porządku; dokonały tego wielkie postaci nauk syntetycznych i integracyjnych, które są nam tak doskonale znane, że wymienianie ich byłoby obraźliwe dla nas obu. A ty - którego nauczono, które guziki przyciskać - chcesz, bym ja,

będący produktem liczącego wiele stuleci systemu edukacyjnego, opartego nie tylko na przekazywaniu informacji, lecz także całej teorii przystosowania społecznego, w ciągu pięciu minut wyłożył ci historię rozwoju ludzkiej wiedzy przez dziesięć ostatnich stuleci? Chcesz wiedzieć, czym jest pierwiastek heterotropowy?

- Kapitan powiedział, że mamy być na pokładzie przed świtem - zaryzykował Mysz.

- Nieważne, nieważne. Mam skłonności do takich improwizowanych, syntez. Przyjrzymy się temu. Najpierw były prace De Blaua we Francji, w roku 2000; przedstawił wtedy pierwszą, nieco niezgrabną skalę i swą zasadniczo dokładną metodę pomiaru przeniesienia psychicznego w przypadku elektrycznych...

- To mi nic nie daje - mruknął Mysz. - Chcę się dowiedzieć czegoś o Von Rayu i ilirionie.

Powietrze rozdarł szum skrzydeł. Czarny kształt opadł. Sebastian i Tyj maszerowali chodnikiem, trzymając się za ręce. Ich ulubieńcy maszerowali przy ich nogach, aż nagle wzbili się w powietrze. Tyj zepchnęła jednego z ramienia; znów wzleciał. Dwa zaczęły walczyć o miejsce na ramieniu Sebastiana. Jeden poddał się, a zwycięska bestia złożyła skrzydła i zanurzyła dziób w jasnych włosach pana.

- Hej! - wychrypiał Mysz. - Idziecie na pokład?

- Idziemy.

- Sekundę. Co wiecie o Von Rayu? Znacie to nazwisko?

Sebastian uśmiechnął się, a Tyj spojrzała na niego szarymi oczami.

- Z Federacji Plejad jesteśmy - rzekła Tyj. - Ja i te bestie, stado i przewodnik, na Mrocznej, Martwej Siostrze zostaliśmy zrodzeni.

- Mrocznej, Martwej Siostrze?

- Plejady zwano kiedyś, w dawnych czasach, Siedmioma Siostrami, bo tylko siedem widać było z Ziemi - wyjaśnił Katin Myszy, który słuchał ze zmarszczonym czołem: - Kilkaset lat p.n.e. jedna z widocznych gwiazd wybuchła i przekształciła się w supernową. Na najbardziej wewnętrznych ze zwęglonych

wtedy planet są dziś miasta. Nadal jest na tyle ciepło, by mogło istnieć tam życie, ale nie ponadto.

- A Nova? - spytał Mysz. - O co chodzi z Von Rayami?

Tyż wykonała gest, jakby coś obejmowała.

- Wszystko. To dobra, wspaniała rodzina jest.

- Znasz tego kapitana Von Raya? - spytał Katin.

Tyż wzruszyła ramionami.

- A ilirion? Wiesz coś o tym?

Sebastian przykucnął przy zwierzętach. Skrzydła kłębiły się wokół niego. Jego owłosiona ręka gładziła uspokajająco jedną głowę za drugą.

- W Federacji Plejad nie ma. W Drako też nie ma.

Zmarszczył brwi.

- Von Ray to pirat, niektórzy mówią - zaryzykowała Tyż.

Sebastian obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

- Von Ray z dobrej i wielkiej rodziny jest! Von Ray dobry! Dlatego właśnie z nim polecimy.

- Von Rayowie dobrą rodziną są - rzekła cicho Tyż; jej głos jakby krył się za delikatnymi rysami.

Mysz dostrzegł Lynkeosa maszerującego przez mostek. Dziesięć sekund później pojawił się Idas.

- Wy dwaj jesteście z Zewnętrznych Kolonii?

Bliznięta zatrzymali się, ramię przy ramieniu. Różowe oczy mrugały częściej niż brązowe.

- Z Argosu - wyjaśnił blady bliźniak.

- Z Argosu na Tubmanie B-12 - dodał ciemniejszy.

- To Dalekie Zewnętrzne Kolonie - wyjaśnił Katin.

- Co wiecie o ilirionie?

Idas oparł się o balustradę, obrócił, zmarszczył brwi, po czym podciągnął się i przysiadł.

- Ilirion? - rozsunął kolana i opuścił między nie splecione dłonie. - W Zewnętrznych Koloniach mamy ilirion.

Lynkeos także obrócił się i przysiadł obok niego.

- Tobiasz - powiedział. - Mamy brata, Tobiasza. - Lynkeos przesunął się na balustradzie bliżej ciemnego Idasa. - Mamy w Zewnętrznych Koloniach brata imieniem Tobiasz. - Spojrzał na Idasa, na jego koralowe oczy pokryte srebrną siatką. - W

Zewnętrznych Koloniach, gdzie jest ilirion. - Złożył razem nadgarstki i rozcapierzył palce jak płatki lilii o zgrubiałej skórze.

- Planety w Zewnętrznych Koloniach? - rzekł Idas. - Baltus - lód, błotne kałuże i ilirion. Kasandra - szklane pustynie wielkie jak ziemskie oceany, dżungle, gdzie rosną niezliczone rośliny, wszystkie niebieskie, pieniające się rzeki galenium i ilirionu. Salinus - przeryty ciągnącymi się na długie mile jaskiniami i kanionami, z kontynentem pokrytym śmiercionośnym czerwonym mchem, morzami i wysokimi miastami zbudowanymi na pływowym kwarcu na dnie oceanu i ilirion...

- Zewnętrzne Kolonie to planety gwiazd o wiele młodszych niż gwiazdy Drako, znacznie młodszych niż gwiazdy Plejad - wtrącił Lynkeos.

- Tobiasz pracuje... w jednej z kopalń ilirionu na Tubmanie - dodał Idas.

W ich głosach pojawiło się napięcie. Spuścili wzrok; czasem zerkali na siebie. Gdy ciemne dłonie otwierały się, białe - zaciskały.

- Idas, Lynkeos i Tobiasz - wychowaliśmy się pośród suchych, równikowych głązów Tubmana na Argosie, pod trzema słońcami i czerwonym księżycem...

- ...i w Argosie także jest ilirion. Byliśmy szaleni. A przynamniej nazywano nas szalonymi. Dwie czarne perły i jedna biała, skaczące i biorące się do bitki na ulicach Argos...

- Tobiasz, on był czarny, jak Idas. Ja byłem jedynym białym w mieście...

- ...ale równie szalonym, jak Tobiasz, z powodu tej białości. I mówili, że pewnej nocy, w tym szaleństwie, spotkamy rozkosz...

- ...złoty proszek, który zbiera się w rozpadlinach skalnych, a kiedy się go wdycha, oczy zaczynają pulsować nieznanymi kolorami, a w uszach rozbrzmiewają nowe harmonie, a umysł rozszerza się...

- ...w tym stanie rozkoszy zrobiliśmy podobiznę burmistrza Argos i przymocowaliśmy ją do latającej maszyny mechanicznej, i wypuściliśmy ją, by latała nad rynkiem miasta, wygłaszając satyryczne strofy o najważniejszych osobach w

mieście...

- ...i za to zostaliśmy wygnani z Argosu w dzikie ostępy Tubmana...

- ...a za miastem można żyć tylko na jeden sposób, czyli zejść pod wodę i pracować w niesławie w podmorskich kopalniach ilirionu...

- ...i cała nasza trójka, która dotąd nie robiła niczego. poza zażywaniem złotego proszku, bieganiem i śmianiem się, i z nikogo nie kpila...

- ...byliśmy niewinni...

- ...poszliśmy do kopalń. Pracowaliśmy w maskach tlenowych i w skafandrach w podwodnych kopalniach Argosu przez rok...

- ...rok w Argosie jest o trzy miesiące dłuższy niż rok ziemski i ma sześć pór roku zamiast czterech...

- ...a na początku naszej drugiej, barwionej algami jesieni, byliśmy gotowi, by odejść. Ale Tobiasz nie chciał odejść. Jego ręce zaczęły się poruszać w rytm pływów, ciężar rudy stał się ukojeniem dla jego dłoni...

- ...więc odlecieliśmy i zostawiliśmy naszego brata w ilirionowych kopalniach, i poleciliśmy do gwiazd, pełni strachu...

- ...rozumiecie, boimy się, że nasz brat, Tobiasz, znalazł coś, co go od nas odciąga, więc kiedyś kolejny z nas znajdzie coś, co rozdzieli pozostałych dwóch...

- ...a myśleliśmy, że naszej trójki nic nigdy nie rozdzieli. - Idas spojrział na Mysz. - I nie mamy już proszku dającego rozkosz.

Lynkeos zamrugał.

- Tym właśnie jest dla mnie ilirion.

- Parafraza - rzekł Katin z drugiej strony chodnika. - W Zewnętrznych Koloniach, które obecnie obejmują czterdzieści osiem światów i około siedmiu miliardów ludzi, praktycznie cała populacja w którymś momencie swego życia miała coś wspólnego z bezpośrednim pozyskiwaniem ilirionu. Przypuszczam, że około jednej trzeciej przez całe życie pracuje w jakimś sektorze związanym z wydobyciem lub przetwarzaniem.

- Takie są statystyki dla Dalekich Zewnętrznych Kolonii -

rzekł Idas.

Czarne skrzydła uniosły się w powietrze. Sebastian wstał i ujął Tyj za rękę.

Mysz podrapał się w głowę.

- Cóż. Spluńmy do tej rzeki i wejdźmy na pokład.

Bliźniacy zsunęli się z balustrady. Mysz przechylił się przez poręcz i splunął.

- Co ty robisz?

- Pluję do Piekła³. Cygan musi napluć trzykrotnie do każdej rzeki, którą przekracza - wyjaśnił Mysz Katinowi. - W przeciwnym razie stanie się coś złego.

- Żyjemy w trzydziestym drugim stuleciu. Jakie „coś złego” masz na myśli?

Mysz wzruszył ramionami.

- Ja nigdy nie pluję do żadnej rzeki.

- Może to dotyczy tylko Cyganów.

- To całkiem niezły pomysł, ja myślę - rzekła Tyj i przechyliła się przez balustradę obok Myszy. Sebastian pochylił się nad jej ramieniem. Jedna z bestii, która zawisała nad ich głowami, została porwana przez gorący prąd powietrza i uleciała w ciemność.

- Co to jest? - Tyj nagle zmarszczyła brwi i wskazała coś.

- Gdzie? - zmrużył oczy Mysz.

Wyciągnęła rękę w stronę ściany kanionu.

- Hej! - zawołał Katin. - To ten niewidomy!

- Ten, który popsuł twój występ!

Lynkos przepchnął się między nimi.

- On jest chory - zmrużył oczy barwy krwi. - Ten człowiek jest chory...

Oszołomiony mruganiem Dan kroczył po półce w stronę lawy.

- On się spali! - dołączył do nich Katin.

- Ale on nie czuje ciepła! - krzyknął Mysz. - On nie widzi!

Pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje!

Idas, a za nim Lynkeos, odepchnęli się od balustrady i zaczęli biec w stronę mostu.

- Jazda! - wrzasnął Mysz, biegnąc za nimi.

Sebastian i Tyj pospieszyli za nimi, zaś Katin trzymał się

nieco z tyłu.

Dziesięć metrów poniżej krawędzi Dan zatrzymał się na skale z wyciągniętymi ramionami, jakby szykował się do skoku do piekła.

Gdy dotarli do czoła mostu - bliźniacy już pokonywali balustradę - nad staruszką, u wylotu kanionu pojawiła się jakaś postać.

- Dan! - Twarz Von Raya płonęła światłem bijącym z rozpadliny. Przeskoczył przez balustradę. Łupek pryskał spod jego sandałów i opadał przed nim, gdy kapitan pędził pod górę.

- Dan, nie rób tego...

Dan to zrobił.

Jego ciało zahaczyło o występ, sześćdziesiąt stóp poniżej, po czym poleciało w dół, wirując.

Mysz chwycił się balustrady; metal wbił mu się w brzuch, gdy się przechylał.

Chwilę później Katin był przy nim, wychylając się jeszcze bardziej.

- Aaaach! - szepnął Mysz, odwrócił się i ukrył twarz w dłoniach.

Kapitan Von Ray dotarł do skały, z której skoczył Dan. Przykłąkł na jedno kolano, oparł się pięściami o skałę i patrzył, przechylając się przez krawędź. Jakieś kształty opadły go (to ulubieńcy Sebastiana), potem uniosły się w powietrze, nie rzucając cienia. Bliźniacy zatrzymali się; półki skalne zwieszały się nad nimi.

Kapitan wstał i spojrział na swą załogę. Oddychał z trudem. Obrócił się i zaczął iść pod górę.

- Co się stało? - spytał Katin, gdy wszyscy znów znaleźli się na chodniku. - Dlaczego on...

- Rozmawiałem z nim zaledwie kilka minut wcześniej - wyjaśnił Von Ray. - Służył mi przez wiele lat. Ale podczas ostatniej podróży został... oślepiiony.

Wielki kapitan. Kapitan pokryty bliznami. Ciekawe, ile on ma lat, zastanawiał się Mysz. Dotąd Mysz dawał mu jakieś czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat. Ale te emocje odjęły mu jakieś dziesięć czy piętnaście lat. Kapitan wyglądał staro, ale

stary nie był.

- Właśnie mu powiedziałem, że załatwiłem wszystko, żeby mógł wrócić do domu, do Australii. Obrócił się, żeby przejść przez most do swojej kwatery, wynająłem mu tam pokój. Obejrzałem się... i nie było go na moście. - Kapitan rozejrzał się po twarzach pozostałych. - Chodźcie na pokład „Roca”.

- Chyba powinniśmy to zgłosić patrolowi - zasugerował Katin.

Von Ray prowadził ich w stronę bramy lądowiska, gdzie Drako wił się w górę i w dół w ciemności stumetrową kolumną.

- Przy przyczółku mostu jest telefon...

Von Ray przerwał Katinowi.

- Chcę już odlecieć z tej skały. Jeśli kogokolwiek zawiadomimy, będziemy musieli czekać, aż każdy opowie swoją wersję po trzy razy.

- Przecież możemy ich zawiadomić ze statku - zaproponował Katin. - Jak już odlecimy.

Przez chwilę Mysz znów zwątpił w swoją ocenę wieku kapitana.

- Dla tego żalostnego głupca nic już nie można zrobić.

Mysz rzucił niepewne spojrzenie w stronę rozpadliny, po czym podreptał za Katinem.

Tam, gdzie nie sięgały gorące powiewy, noc była chłodna, a mgła otaczała koronami fluorescencyjne lampy, które wytyczały kształt lądowiska.

Katin i Mysz pozostali w tyle grupy.

- Zastanawiam się, co ilirion oznacza dla tych wszystkich tutaj - rzekł cicho Mysz.

Katin prychnął i wetknął dłonie za pasek, po czym po chwili spytał:

- Powiedz, Mysz, co miałaś na myśli, mówiąc o tym staruszk, że został pozbawiony zmysłów?

- Gdy ostatnim razem próbowali dotrzeć do Novej - wyjaśnił Mysz - Dan spojrzał na gwiazdę na chwilę wystarczająco długi, by sygnał na wejściu czuciowym wypalił mu końcówki nerwów. A właściwie nie tyle wypalił, co pobudził do nieustannej stymulacji. - Wzruszył ramionami. - Prawie żadna różnica. Prawie.

- Och - mruknął Katin i wbił wzrok w chodnik.

Dookoła nich stały międzygwiazdne towarowce. Między nimi zaparkowano mniejsze, mierzące ze sto metrów wahadłowce.

Katin zastanowił się przez chwilę i rzekł:

- Mysz, czy przyszło ci kiedyś do głowy, ile możesz stracić, wyruszając w tę podróż?

- Tak.

- I nie boisz się?

Mysz chwycił Katina za ramię szorstkimi palcami.

- Boję się jak diabli - wysapał. Zgarnął włosy z czoła i spojrzał na wysokiego towarzysza podróży. - Wiesz co? Nie lubię takich historii, jak ta z Danem. Boję się.

ROZDZIAŁ 3

Drako, Tryton, Piekło³, 3172

Ktoś z wszczepieńców wziął czarną kredkę i nabazgrał słowo „Olga” na płycie czołowej projektora przeziernego.

- No, dobrze - zwrócił się do maszyny Mysz. - Jesteś Olga.

Mruczenie i migotanie, trzy zielone światełka, cztery czerwone. Mysz zaczął mozolne sprawdzanie rozkładu ciśnienia i odczytów fazy.

Aby przemieścić statek od gwiazdy do gwiazdy z prędkością większą od prędkości światła, wykorzystuje się zagięcia przestrzeni, rzeczywiste zaburzenia, jakie materia tworzy w samym kontinuum. Mówienie o prędkości światła jako o maksymalnej prędkości obiektu to jak mówienie o tym, że dwanaście albo trzynaście mil na godzinę to prędkość maksymalna pływaka na morzu: gdyby skorzystał z prądów morskich, jak żeglarz korzysta z wiatru, ograniczenie znika. Statek międzygwiazdny ma siedem skrzydeł energetycznych, które działają trochę jak żagiel. Sześć projektorów sterowanych komputerowo obracało skrzydłami w pustce. Zaś każdym komputerem sterował wszczepieniec. Kapitan sterował siódmym. Skrzydła energetyczne trzeba było dostrajać do zmieniających się częstotliwości ciśnienia stazy; sam statek był zaś napędzany energią ilirionu znajdującego się w jądrze. Do tego właśnie służyła Olga i jej kuzyni. Sterowanie kształtem i nachyleniem skrzydeł lepiej jednak było pozostawić ludzkim mózgom i na tym polegała praca Myszy - zgodnie z rozkazami kapitana. Kapitan miał też dostęp do ogólnych funkcji sterowania właściwościami mniejszych skrzydeł.

Ściany kabiny były pokryte graffiti, wykonanym przez poprzednie załogi. Była tam też koja dopasowana do kształtu ciała. Mysz wyregulował opóźnienie indukcyjności szeregu kondensatorów cewkowych o pojemności siedemdziesięciu

mikrofaradów, wsunął tacę do ściany i czekał.

Dotknął miejsca na plecach pod kamizelką i wyczuł gniazdo. W Akademii im. Coopera wszczepiono mu gniazdo u podstawy rdzenia kręgowego. Mysz sięgnął po pierwszy kabel odruchowy, który wił się pętlami po podłodze, by zniknąć w płycie czołowej komputera i wsuwał go, aż dwanaście wypustek trafiło na swoje miejsca w gnieździe i zaskoczyło. Wtedy ujął mniejszy kabel z sześcioma wypustkami i wsunął go do gniazda na spodniej stronie lewego nadgarstka; podobny został podłączony do prawej ręki. Oba nerwy promieniste były podłączone do Olgi. Z tyłu pleców Myszy znajdowało się jeszcze jedno gniazdo. Wsunął ostatnią wtyczkę - kabel był ciężki i uwierał go w szyję - i zobaczył iskry. Ten kabel przesyłał impulsy bezpośrednio do jego mózgu i mógł wyłączyć wrażenia słuchowe i wzrokowe. Rozległ się słaby szum. Mysz sięgnął do pokrętki na płycie czołowej Olgi, pokręcił nią i szum ucichł. Sufit, ścierny i podłoga pomieszczenia były pokryte urządzeniami sterującymi. Pomieszczenie było na tyle małe, że do każdego z nich można było sięgnąć z koi. Gdy jednak statek wystartuje, Mysz nie będzie już dotykać żadnego z nich; będzie sterować skrzydłami bezpośrednio, używając impulsów nerwowych z ciała.

- Zawsze mam wrażenie, że szykuję się do wielkiego powrotu - w uchu Myszy rozległ się głos Katina. Na całym statku wszyscy wszczepieńcy podłączali się do systemu i nawiązywali kontakt z resztą. - Podstawa rdzenia kręgowego zawsze była dla mnie nienaturalnym miejscem podłączania pępowiny. To powinno być ciekawe przedstawienie marionetkowe. Naprawdę wiesz, jak się tym posługiwać?

- Jeśli dotąd nie wiesz - rzekł Mysz - to bardzo niedobrze.

- To ukazuje coś ważnego o ilirionie - wtrącił Idas.

- ...ilirionie i Novej - to Lynkeos.

- Sebastianie, co zrobiłeś ze swoimi zwierzętami?

- Spodek z mlekiem im dałem i jedzą.

- Ze środkami uspokajającymi - to głos Tyj. - Zaraz usną.

Światła przygasły.

Kapitan podłączył się. Graffiti i rysy na ścianach znikły.

Zostały tylko czerwone światełka goniące się po suficie.

- Trochę jak gra w go - powiedział Katin - z użyciem opalizujących kamieni.

Mysz wsunął obcasem sakwę z fletnią pod koję i położył się. Wyprostował kabel pod plecami i pod karkiem.

- Wszyscy gotowi? - na pokładzie rozdzwonił się głos kapitana. - Uruchomić skrzydła dziobowe.

Nowe widoki zaczęły migotać przed oczami Myszy: port kosmiczny, światła nad lądowiskiem, ogromne szczeliny w skorupie, nad którymi zapadła ciemność, fioletowe migotanie na skraju widma. Powyżej horyzontu jednak „wiatry* były korzystne.

- Nachylić skrzydło boczne o siedem stopni.

Mysz poruszył czymś, co powinno być jego lewym ramieniem. Boczne skrzydło opadło jak płatek miki.

- Hej, Katinie - wyszeptał Mysz. - To jest dopiero coś, nie?

Mysz zadrżał, przykucnął w polu światła. Olga przejęła sterowanie jego oddechem i pulsem, zaś synapsy rdzenia przedłużonego kierowały bezpośrednio pracą statku.

- Pędźmy po ilirion, by przegonić Prince'a i Ruby Red! - zawołał jeden z bliźniaków.

- Cofnij skrzydło! - zarządził kapitan.

- Katinie, patrz...

- Leż spokojnie i odpręż się, Mysz - wyszeptał Katin. - A ja będę robił to samo i rozmyślał o moim dawnym życiu.

Pustka zaryczała.

- Naprawdę tak się czujesz, Katinie?

- Wszystko może wydawać się nudne, jeśli tylko odpowiednio się postarasz.

- Wy dwaj, uważajcie - to Von Ray.

Skoncentrowali się.

- Wyłączyć przełączniki stazy.

Przez chwilę światełka Olgi migotały gdzieś w jego polu widzenia, aż znikły; owiał go wicher i wirując, zaczęły się toczyć od słońca.

- Żegnaj, księżycu - wyszeptał Katin.

I księżyc schował się za Neptunem, Neptun zaszedł za

słońcem, a potem słońce zaczęło zachodzić.
Noc eksplodowała przed nimi.

Federacja Plejad, Arka, Nowa Arka, 3148

Co było najpierw?

Nazywał się Lorq Von Ray i mieszkał przy Extol Park 12, w bardzo dużym domu na wzgórzu: Nowa Arka (N.A. 73), Arka. Tak się wyjaśniało komuś na ulicy, kiedy człowiek się zgubił, i zwykle ktoś pomagał znaleźć drogę. Ulice Arki były osłonięte przezroczystymi ekranami wiatrowymi, a wieczorami w miesiącach od kwietnia do umbry płonęły kolorowymi ogniami, które wyrwały się na wolność na graniach Tongu i tańczyły na ulicach miasta. Nazywał się Lorq Von Ray i tu mieszkał... To były rzeczy, które wchłonał w dzieciństwie, rzeczy, których nauczył się jako pierwszych, rzeczy, które zostały już na zawsze. Arka była największym miastem w Federacji Plejad. Jego matka i ojciec byli ważnymi osobistościami i często wyjeżdżali. Gdy byli w domu, rozmawiali o Drako i jego planecie stolicy, Ziemi; rozmawiali o ponownym połączeniu, o perspektywach suwerenności dla Zewnętrznych Kolonii. Mieli gości, którzy byli senatorami tego czy przedstawicielami tamtego. Gdy sekretarz Morgan ożenił się z ciotką Cyaną, przyszli na kolację i sekretarz podarował mu hologramową mapę Federacji Plejad, która wyglądała jak zwykły kawałek papieru, gdy jednak patrzyło się na nią, oświetlając ją promieniem tensorowym, wyglądała jak nocne niebo oglądane przez okno, z kropeczkami światła migoczącymi w różnej odległości i wirującymi gazami mgławic.

- Mieszkaś na Arce, drugiej planecie w układzie tego słońca - wyjaśnił mu ojciec, gdy Lorq rozłożył mapę na kamiennym stole pod szklaną ścianą. Na zewnątrz pająkowate drzewa tyldowe wiły się w wieczornej zawierusze.

- Gdzie jest Ziemia?

Ojciec zaśmiał się głośno; nikt z obecnych do niego nie dołączył.

- Nie widać jej na tej mapie. Tu jest tylko Federacja Plejad.
Morgan położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Następnym razem przyniosę ci mapę Drako.

Sekretarz o migdałowych oczach uśmiechał się.

Lorq zwrócił się do ojca. - Chcę polecieć na Drako! - a potem rzekł do sekretarza Morgana: - Na Drako polecieć chcę!

Sekretarz Morgan mówił, jak wielu ludzi w jego szkole w Causby; jak ludzie na ulicy, którzy pomogli mu znaleźć drogę do domu, gdy się zgubił, jak miał cztery lata (ale inaczej niż ojciec czy ciotka Cyana), a mama i tata tak bardzo się martwili. („Zamartwialiśmy się na śmierć! Myśleliśmy, że cię porwano! Nie wolno ci zbliżać się na ulicy do karciarzy, nawet jeśli mówią, że zaprowadzą cię do domu!”). Rodzice uśmiechali się, kiedy tak do nich mówił, ale teraz się nie uśmiechali, bo sekretarz Morgan był gościem.

Ojciec wydał odgłos dezaprobaty.

- Mapa Drako? Doprawdy, tego mu jeszcze potrzeba. Och, tak, Drako!

Ciotka Cyana zaśmiała się, a matka i sekretarz Morgan również się uśmiechnęli.

Mieszkali na Arce, ale często latali wielkimi statkami na inne planety. Mieszkali w kajutach, gdzie przesuwano się ręką przed kolorowym panelem i dostawało się wszystko do jedzenia, na co tylko miało się ochotę. Można też było iść na pokład obserwacyjny i patrzeć, jak wiatry pustki przekładają się na widoczne wzory światła na przypominającym bąbel suficie, miotające się wiązki kolorów między przepływającymi gwiazdami - i wiedzieli, że lecą najszybciej, jak to możliwe.

Czasem rodzice latali do Drako, na Ziemię, do miast, które nazywały się Nowy Jork i Pekin. Zastanawiał się, kiedy zabiorą go ze sobą.

Co roku jednak, w ostatnim tygodniu miesiąca o nazwie nyczeń, wsiadali na pokład któregoś z tych wielkich statków i lecieli na planetę, której nie było na jego mapie. Nazywała się Nowa Brazylia i znajdowała się w Koloniach Zewnętrznych. On czasem też mieszkał na Nowej Brazylii, na wyspie São Orini, bo rodzice mieli tam dom w pobliżu kopalni.

Kolonie Zewnętrzne, Nowa Brazylia, São Orini, 3149

Po raz pierwszy usłyszał o Prinsie i Ruby Redach w domu w São Orini. Leżał w ciemnościach i płakał, tęskniąc do światła.

Jego matka w końcu przyszła, odsuwając moskitierę. (Nie była konieczna, bo dom był wyposażony w urządzenia ultradźwiękowe, które odstraszały malutkie czerwone owady; czasem ukąsiły kogoś na zewnątrz i przez parę godzin czuł się dziwnie, ale matka wołała, żeby było naprawdę bezpiecznie).

Podniosła go.

- Ciiii! Ciii! Nic się nie dzieje. Nie chcesz spać? Jutro będzie przyjęcie. Prince i Ruby przyjadą. Nie chcesz się bawić z Prince'em i Ruby?

Nosiła go po pokoju dziecinnym, zatrzymując się tylko na chwilę, by wcisnąć przełącznik ścienny przy drzwiach. Sufit zaczął się kręcić, aż pojawiła się polaryzująca płaszczyzna. Przez stukające o dach palmowe liście widać było dwa księżyce, broczące pomarańczowym światłem. Położyła go z powrotem do łóżka i gładziła po rudych, rozczochranych włosach. Po chwili ruszyła do drzwi.

- Nie wyłączaj tego, mamó!

Cofnęła rękę od wyłącznika i uśmiechnęła się. Poczul ciepło i obrócił się, by patrzeć na księżyce przez palmowe liście.

Prince i Ruby Red pochodzili z Ziemi. Wiedział, że rodzice byli na Ziemi, w kraju, który nazywał się Senegal. Prapradziadkowie ze strony ojca także byli z Ziemi, z Norwegii. Von Rayowie, blond fanfaroni, zajmowali się w Plejadach handlem od stuleci. Nie wiedział, czym dokładnie handlowali, ale widać było, że odnieśli sukces. Jego rodzina posiadała kopalnię ilirionu, niedaleko północnego krańca półwyspu, na którym znajdował się dom na São Orini. Ojciec czasem żartował, że kiedyś zrobi z niego majstra w kopalni. Pewnie na tym polegał „handel”. Księżyce odpływały; poczul senność.

Nie pamiętał, kiedy przedstawiono go błękitnookiemu, czarnowłosemu chłopcu z protezą zamiast prawej ręki, i jego

chudej jak patyk siostrze. Pamiętał jednak, jak popołudniu następnego dnia on, Prince i Ruby bawili się razem w zachodnim ogrodzie.

Pokazał im miejsce za szpalerem bambusów, gdzie można było wspiąć się do miejsca, gdzie w skale była wyrzeźbiona paszcza.

- Co to jest? - spytał Prince.

- To są smoki - wyjaśnił Lorq.

- To nie są żadne smoki - odparła Ruby.

- To są smoki. Tata tak mówi.

- Och - Prince chwycił swoją sztuczną ręką występ w kamieniu i podciągnął się. - Do czego to służy?

- Można się na nie wspinać. A potem można zejść. Tata mówi, że wyrzeźbili je ludzie, którzy tu żyli przed nami.

- Którzy tu żyli przed nami? - zdziwiła się Ruby. - I po co im były takie smoki? Pomóż mi, Prince.

- To chyba głupie.

Prince i Ruby stali teraz na kamiennych kłach nad nim. (Później Lorq dowie się, że „ludzie, którzy tu żyli przed nimi” byli rasą, która żyła w Zewnętrznych Koloniach i wymarła dwadzieścia tysięcy lat temu; przetrwały tylko ich rzeźby i na fundamentach ich zrujnowanych siedzib Von Ray zbudował jedno ze swoich dworzyszczy).

Lorq sięgnął do szczęki, chwycił za dolną wargę i zaczął się wspinać.

- Pomożesz mi?

- Chwileczkę - odparł Prince, po czym wolnym ruchem postawił stopę na palcach Lorq'a i nadepnął z całej siły.

Lorq wydal stłumiony okrzyk i spadł na ziemię, chwytając palce drugą ręką.

Ruby chichotała.

- Hej!

Pulsowanie oburzenia, napływ dezorientacji. Atak bólu w palcach.

- Nie powinieneś był się nabijać z jego ręki - rzekła Ruby. - On tego nie znosi.

- Co? - zdziwił się Lorq i po raz pierwszy spojrział prosto na

pazur z metalu i plastyku. - Wcale się z niego nie nabijałem!

- Nabijałeś się - odparł spokojnie Prince. - Nie znoszę ludzi, którzy się ze mnie nabijają.

- Ale ja... - siedmioletni umysł Lorqa próbował ogarnąć tę nieracjonalną sytuację. Chłopiec wstał. - Co się stało z twoją ręką?

Prince opadł na kolana, zahaczył ręką o występ i zawisł na wysokości głowy Lorqa.

- Patrz! - rzucił się do tyłu. Mechaniczna dłoń poruszała się tak szybko, że aż świszczało.

- Nie wolno ci więcej mówić o mojej ręce! Nic mi się nie stało. Zupełnie nic.

- Jeśli przestaniesz się z niego nabijać - wtrąciła Ruby, patrząc na fałdy na podniebieniu kamiennej paszczy - to zostaniecie przyjaciółmi.

- No, dobrze - odparł Lorq ostrożnie.

Prince uśmiechnął się.

- W takim razie zostaniemy przyjaciółmi.

Miał bardzo bladą skórę i małe zęby.

- Dobrze - rzekł Lorq. Uznał, że nie przepada za Prince'em.

- Jeśli powiesz coś w stylu „może się na niej pohuśtajmy”, to on cię spierze. I jest w tym dobry, chociaż ty jesteś od niego większy.

Ruby też była większa.

- Wejdz na górę.

Lorq wspiał się do paszczy i stanął między dwójką dzieci.

- Co teraz robimy? - spytała Ruby. - Schodzimy?

- Można stąd popatrzeć na ogród - odparł Lorq. - I na przyjęcie.

- Kto by tam chciał oglądać takie nudne przyjęcie - mruknęła Ruby.

- Ja bym chciał - rzekł Prince.

- Och - zachnęła się. - Chciałbyś. Doskonale.

Za szpalerem bambusów ludzie spacerowali między kamieniami, wśród pnączy i drzew. Śmiali się cicho, rozmawiali o najnowszej psychoramie i polityce, pili z wysokich kieliszków. Ojciec Lorqa stał przy fontannie i

omawiał z kilkoma osobami swoje opinie dotyczące proponowanej niezależności Kolonii Zewnętrznych - w końcu miał tam dom i trzymał rękę na pulsie. Było to w tym roku, kiedy sekretarz Morgan został zamordowany. Choć Underwooda schwytano, nadal krążyły różne teorie co do tego, która frakcja była za to odpowiedzialna.

Kobieta o srebrnych włosach flirtowała z parą młodych ludzi; przyszedł z ambasadorem Selvinem, który także był z nimi spokrewniony. Aaron Red, korpulentny, elegancki dżentelmen, zapędził do rogu trzy młode damy i wygłaszał kazanie o moralnym zepsuciu młodzieży. Matka krążyła wśród gości; rąbek jej czerwonej sukni ocierał o trawę; za nią jechał z brzęczeniem bufet. Zatrzymywała się tu i tam, proponując kanapki, drinki i własne opinie o propozycji nowych zmian. Teraz, po roku ogromnych sukcesów wśród ludu, inteligencja wreszcie zaakceptowała „Tohu-bohus” jako prawdziwą muzykę. Ich irytujące rytmy niosły się po trawniku. Lekka rzeźba w rogu wiła się, migotała, nabrzmiwała tonami.

Ojciec wybuchł śmiechem, przez co wszystkie oczy skierowały się na niego.

- Posłuchajcie tylko! Posłuchajcie, co właśnie powiedział mi Lusuna! - trzymał za rękę studenta, który przyszedł z parą młodych ludzi. Przechwałki Von Raya najwyraźniej skłoniły młodego człowieka do kontrargumentacji. Ojciec nakazał mu gestem, by powtórzył.

- Powiedziałem tylko, że żyjemy w czasach, gdy zmiany gospodarcze, polityczne i technologiczne niweczą tradycję kulturową.

- Boże mój - zaśmiała się kobieta ze srebrnymi włosami - i to *wszystko*?

- Nie, nie! - ojciec machnął ręką. - Musimy posłuchać, co ma do powiedzenia młode pokolenie. Proszę, mów dalej, młody człowieku.

- Nie istnieją żadne zasoby solidarności narodowej, czy planetarnej, nawet na Ziemi, która jest stolicą Drako. Za życia ostatnich sześciu pokoleń nastąpiły takie migracje ludności z planety na planetę, że nic takiego nie może istnieć. To

pseudomiędzyplanetarne społeczeństwo, które wyparło wszelką tradycję, wygląda atrakcyjnie, ale jest całkowicie puste i jest jedynie fasadą dla niewiarygodnego skupiska dekadencji, knucia, korupcji i...

- Naprawdę, drogi Lusuna - rzekła młoda żona - widać, nad czym pracujesz na stypendium.

Zachęcona przez kobietę o srebrnych włosach sięgnęła po kolejnego drinka

- ...piractwa.

(Gdy padło to ostatnie słowo, nawet trójka dzieci przycupniętych w paszczy rzeźbionego jaszczura domyśliła się, patrząc na wyraz twarzy gości, że Lusuna posunął się za daleko).

Matka znów przemierzyła trawnik; dół jej czerwonej sukni wysunął się z dłoni zdobionych złożonymi paznokciami.

- Proszę, chodźmy i kontynuujmy tę dyskusję przy kolacji. Zapraszam na całkowicie zepsute *mango-bongoou* z nietradycyjnym *loso ye mbiji a meza* oraz zjadliwie dekadentckim *mati a nsengo* - na przyjęciach matka zawsze podawała potrawy kuchni senegalskiej. - A jeśli kuchnia wykaże się wolą współpracy, zakończymy straszliwie pseudomiędzyplanetarnym *tiba yoka flambé*.

Student rozejrzał się, zrozumiał, że powinien się uśmiechnąć poradził sobie jeszcze lepiej: roześmiał się. Matka ujęła studenta pod ramię i zaprowadziła całe towarzystwo do stołu.

- Ktoś mi powiedział, że zdobyłeś stypendium Uniwersytetu Drako no Centaurse? Musisz być bardzo inteligentny. Z akcentu wnoszę, że jesteś z Ziemi. Senegal? Cóż, ja jestem stamtąd! Z jakiego miasta?

Ojciec, przepełniony ulgą, przecesał włosy barwy dębu i podążył za gośćmi do osłoniętego żaluzjami pawilonu jadalnego.

Przykucnięta na kamiennym języku Ruby mówiła do brata:

- Chyba me powinienes tego robić.

- Czemu? - odparł Prince.

Lorq spojrział na rodzeństwo. Prince podniósł kamień z potoczy smoka swoja mechaniczna ręką. Po drugiej stronie

trawnika stała klatka z białymi kakadu, które matka przywiozła z Ziemi podczas ostatniej podróży.

Prince wycelował. Metal i plastik zaświergotały.

W odległości czterdziestu stóp od nich ptaki zaczęły krzyczeć w klatce, po czym eksplodowały. Jeden upadł na podłogę: nawet z tej odległości Lorq dostrzegł krew na piórach.

- W tego właśnie celowałem - uśmiechnął się Prince.

- Hej - odezwał się Lorq. - Moja matka nie zamierza... - spojrzął znów na mechaniczne urządzenie przypięte do ramienia Prince'a na kikucie. - To znaczy, lepiej rzuca się...

- Patrz tylko - czarne brwi Prince'a opadły na oczy przypominające potraskane błękitne szkło. - Powiedziałem ci, żebyś się nie nabijał z mojej ręki, tak? - ręka cofnęła się i Lorq usłyszał silniki - *bzz, klik, bzz* - w nadgarstku i łokciu.

- To nie jego wina, że taki się urodził - powiedziała Ruby. - A wygłaszanie uwag pod adresem gości jest niegrzeczne. Aaron mówi, że wy wszyscy tutaj i tak jesteście barbarzyńcami, prawda, Prince?

- Zgadza się - Prince opuścił rękę

Z głośników w ogrodzie dobiegł głos.

- Dzieci, gdzie jesteście? Proszę przyjść na kolację, i to szybko. Zeszli na dół i przedarli się przez bambusy.

Lorq poszedł do łóżka nadal przejęty tym, co stało się podczas przyjęcia. Leżał pod podwójnymi cieniami palm, jakie rzucał sufit w pokoju dziecięcym, przezroczyście jak poprzedniej nocy.

- Lorq! - szepnął ktoś.

- Ciii! Nie tak głośno, Prince.

- Lorq? - jeszcze ciszej.

Odsunął moskitierę i usiadł na łóżku. Wizerunki tygrysów, słoni i małp, wbudowane w plastikową podłogę, świeciły w ciemnościach.

- Czego chcecie?

- Słyszeliśmy, jak wychodzą przez bramę - Prince stał w drzwiach pokoju dziecięcego w samych szortach. - Dokąd poszli?

- My też chcemy pójść - odezwała się Ruby z za ramienia brata.

- Dokąd poszli? - powtórzył Prince.

- Do miasta - Lorq wstał i przemaszerował pośród świetlistej menażerii. - Mama i tata zawsze zabierają przyjaciół do wioski, kiedy zapraszają ich na wakacje.

- Co tam robią? - Prince oparł się o futrynę.

- Oni... idą do miasta.

Tam, gdzie jest niewiedza, pojawia się ciekawość.

- Unieszkodliwiliśmy opiekunkę - pochwaliła się Ruby. - Kiepską macie, to było łatwe. Wszystko tutaj jest takie przestarzałe. Aaron mówi, że tylko barbarzyńcom z Plejad mogło przyjść do głowy, żeby tu mieszkać. Zamierzasz zabrać nas tam, gdzie oni pojechali?

- Ale ja...

- Chcemy tam pójść - oświadczyła Ruby.

- Nie chcesz tam pójść i zobaczyć?

- Dobrze - Lorq zamierzał odmówić. - Tylko włożę sandały.

Jednak dziecięca ciekawość, która skłaniała ich, by zobaczyć, dokąd pojechali dorośli, oznaczała fundamenty, na których miała powstać nastoletnia, a potem dorosła świadomość.

Ogród szumiał wokół bramy. Lorq zawsze za dnia otwierał bramę odciskiem dłoni, teraz jednak z zaskoczeniem odkrył, że zatrasnęła się z powrotem.

Droga niknęła w wilgotnej nocy.

Za skałami, po drugiej stronie wody, jeden nisko wiszący księżyc oświetlał kontynent tak, że wyglądał on jak jezior z kości słoniowej wcinający się w morze. Między drzewami światła wioski zapalały się i gasły jak na komputerowej tablicy. Skały, które w świetle wyższego, mniejszego księżycy wyglądały jak wapienie, strzegły brzegu drogi. Kaktusy strzelały w niebo jak spiczaste wiosła.

Gdy dotarli do pierwszej z miejskich kafejek, Lorq przywitał się z jednym z górników, który siedział przy stoliku obok wejścia.

- Mały senhor - górnik odwzajemnił ukłon.

- Nie wiesz, gdzie są moi rodzice? - spytał Lorq.

- Przechodzili tędy - wzruszył ramionami górnik. - Panie w pięknych ubraniach, panowie w kamizelkach i ciemnych koszulach. Przechodzili tędy jakieś pół godziny albo godzinę temu.

- W jakim języku on mówi? - dopytywał się Prince.

Ruby chichotała.

- Ty to rozumiesz?

Lorq uświadomił sobie jeszcze jedno: on i jego rodzice zwracali się do ludzi z São Orini używając zupełnie innych słów niż wtedy, gdy rozmawiali z gośćmi. Kiedyś, we wczesnym dzieciństwie nauczył się tego zniekształconego dialektu portugalskiego za pomocą hipnonauczyiciela.

- Dokąd poszli? - pytał dalej.

Górnik miał na imię Tavo. Przez miesiąc w zeszłym roku, kiedy kopalnia była zamknięta, był podłączony do jednej z tych stukających maszyn ogrodniczych, które zajmowały się parkiem za domem. Tępi dorośli i inteligentne dzieci zawierają często bardzo tolerancyjne przyjaźnie. Tavo był brudny i głupi. Lorq to akceptował. Jego matka jednak zakończyła tę znajomość, kiedy w zeszłym roku wrócił z wioski i powiedział, że widział jak Tavo zabił człowieka, który zakwestionował jego umiejętność picia.

- Daj spokój, Tavo. Powiedz mi, dokąd poszli.

Tavo wzruszył ramionami.

Owady uderzały w podświetlane litery na drzwiach kawiarni.

Bibułka z dekoracji na Święto Niepodległości spadła ze słupków podtrzymujących markizę. Była to rocznica zdobycia niepodległości przez Plejady, ale górnicy świętowali ją po swojemu, w nadziei na własną niezależność oraz na cześć matki i ojca Lorqa.

- Czy on wie, dokąd poszli? - spytał Prince.

Tavo pił z ubitego kubka kwaśne mleko i rum z kieliszka. Poklepał się po kolanie i klepnął w kolano Lorqa, po czym spojrział na Prince'a i Ruby i usiadł.

Rodzeństwo wymieniło się spojrzeniami, w których czaiła się

niepewność.

- Wy też usiądźcie - rzekł Lorq. - Na krzesłach.

Wykonali polecenie.

Tavo podsunął Lorqowi kwaśne mleko. Lorq wypił połowę, po czym przekazał kubek Prince'owi.

- Chcesz trochę?

Prince uniósł naczynie od ust i powąchał.

- Ty to pijesz? - skrzywił się i odstawił kubek gwałtownym gestem.

Lorq uniósł kieliszek z rumem.

- Wolisz to?

Tavo wyjął mu kieliszek z ręki.

- To nie dla ciebie, mały senhor.

- Tavo, gdzie są moi rodzice?

- Są w lesie, u Alonzy.

- Zabierzesz nas tam, Tavo?

- Po co?

- Chcemy się z nimi zobaczyć.

Tavo zastanawiał się.

- Jeśli nie macie pieniędzy, to nie możecie tam jechać - zmierzwił włosy Lorqowi. - Hej, mały senhor, masz pieniądze?

Lorq wyjął z kieszeni kilka monet.

- Mało.

- Prince, czy ty albo Ruby macie jakieś pieniądze?

Prince miał w kieszeni szortów dwa funty @sg.

- Daj Tavo.

- Po co?

- Zabierze nas do rodziców.

Tavo wyciągnął rękę i zabrał Prince'owi pieniądze, a potem uniósł brwi w zdziwieniu, gdy zobaczył, ile tego jest.

- Chcesz mi to dać?

- Jeśli nas tam zabierzesz - odparł Lorq.

Tavo połaskotał Lorqa w brzuch. Zaśmiali się. Tavo złożył jeden z banknotów i schował go do kieszeni. Potem zamówił jeszcze jeden rum i kwaśne mleko.

- Mleko jest dla ciebie. Zamówić coś dla twoich przyjaciół?

- Przestań, Tavo. Obiecałeś, że nas tam zabierzesz.

- Cicho - odparł górnik. - Zastanawiam się, czy w ogóle powinniśmy tam jechać. Wiesz, jutro rano muszę się podłączyć i pracować - postukał w gniazdo na nadgarstku.

Lorq wsypał do mleka trochę soli i pieprzu i pociągnął łyk.

- Ja też chcę spróbować - odezwała się Ruby.

- Strasznie cuchnie - mruknął Prince. - Nie powinnaś tego pić. Czy on nas tam zabierze?

Tavo dał znak właścicielowi kafejki.

- Dużo dziś ludzi u Alonzy?

- Przecież to piątkowy wieczór, nie? - odparł właściciel.

- Chłopiec chce, żebym go tam zawiózł dziś wieczorem - wyjaśnił Tavo.

- Chcesz zabrać chłopaka Von Rayów do Alonzy? - na czerwonym znamieniu właściciela pojawiła się zmarszczka.

- Jego rodzice tam są - Tavo wzruszył ramionami. - Chłopiec chce tam jechać. Kazał mi się tam zawieźć, nie? Lepsza rozrywka niż siedzenie tu i zabijanie czerwopluskiew - pochylił się, związał rzemyki sandałów i zawiesił sobie buty na szyi. - Chodźmy, mały senhor. Powiedz jednorękiemu i dziewczynce, że mają być grzeczni.

Słyszając wzmiankę o ramieniu Prince'a, Lorq aż podskoczył.

- Idziemy.

Prince i Ruby nie zrozumieli.

- Idziemy - wyjaśnił Lorq. - Do Alonzy.

- Gdzie jest Alonza?

- Czy to jest takie miejsce, jak jedno z tych, do których Aaron zawsze zabiera piękne panie w Pekinie?

- Nie mają tu niczego podobnego jak w Pekinie - mruknął Prince. - Głupie. Nie mają tu nawet niczego takiego jak w Paryżu.

Tavo pochylił się i wziął Lorq'a za rękę.

- Trzymaj się blisko mnie. I powiedz twoim przyjaciołom, żeby nigdzie nie odchodzili.

Dłoń Tavo była pokryta potem i sękata. Dżungla syczała i chichotała wokół nich.

- Dokąd idziemy? - spytał Prince.

- Zobaczyć się z rodzicami - głos Lorq'a nie brzmiał zbyt

pewnie. - Do Alonzy.

Tavo obejrzał się na dźwięk tego słowa i skinął głową. Wskazał dłonią drzewa, oświetlone przez dwa księżycy.

- Tavo, czy to daleko?

Tavo klepnął Lorqę w kark, po czym wziął go za rękę i poszli.

Na szczycie wzgórza była polana: światło sączyło się między połami namiotu. Grupa mężczyzn żartowała i piła z grubą kobietą, która wyszła, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Miała mokrą twarz i ramiona. Jej piersi, widoczne w dekolcie pomarańczowej sukienki z nadrukiem, lśniły. Bawiła się warkoczem.

- Zostańcie tu - wyszeptał Tavo i nakazał im gestem, by trzymali się z tyłu.

- Hej, czemu...

- Musimy tu zostać - przetłumaczył Lorq Prince'owi, który ruszył w stronę górnika.

Prince rozejrzał się, po czym cofnął się i stanął obok Ruby i Lorqę.

Tavo dołączył do dwóch mężczyzn i przyjął oplecioną rafią butelkę, która krążyła z rąk do rąk.

- Hej, Alonza, czy senhores Von Ray tu są? - wskazał kciukiem namiot.

- Czasem się pojawiają. Czasem przyprowadzają gości - odparła Alonza. - Czasem lubią zobaczyć...

- A teraz? - spytał Tavo. - Są tu teraz?

Wzięła od niego butelkę i przytaknęła.

Tavo obrócił się i skinął na dzieci.

Lorq zbliżył się; rodzeństwo niechętnie ruszyło za nim. Mężczyźni rozmawiali przyciszonymi głosami, przez które przebijały się śmiechy i krzyki spod brezentu. Noc była gorąca. Butelka okrążyła zebranych jeszcze trzykrotnie. Lorq i Ruby też trochę dostali. Prince się skrzywił, ale również spróbował.

W końcu Tavo dotknął ramienia Lorqę.

- Wejdz.

Tavo musiał się nisko pochylić przy wejściu. Lorq, który był najwyższy ze wszystkich dzieci, ledwo dotknął brezentu czubkiem głowy.

Na ustawionym pośrodku słupie wisiała latarnia; ostre światło padało na dach, na małżowiny uszne, na skraje nozdrzy, na zmarszczki niemłodych twarzy. Ktoś w tłumie odrzucił głowę do tyłu i z jego ust wydobył się śmiech i przekleństwa. Wilgotne usta błyszcząły, gdy opadła szyjka butelki. Przez hałas przebiło się brzęczenie dzwonka. Lorq poczuł ekscytację: dziwne laskotanie w dłoniach.

Ludzie zaczęli kuć. Tavo przycupnął. Prince i Ruby zrobili to samo. Podobnie Lorq; przytrzymał się wilgotnego kołnierza Tavo.

W zagłębieniu przechadzał się człowiek w wysokich butach, gestem skłaniając zebranych, by usiedli.

Lorq rozpoznał nagle siwowłosą kobietę: stała po drugiej stronie, za barierką. Opierała się o ramię studenta z Senegal, Lusuny. Włosy sterczały jej nad czołem jak pokrzywione i poskręcane miecze. Student rozpiął koszulę. Nie miał już na sobie kamizelki.

Górnik w jamie znów pociągnął za sznur od dzwonka. Chmurka puchu spadła na jego lśniące ramię i przylgnęła, choć machał i krzyczał do tłumu. Po chwili uderzył pięścią w metalowe przepierzenie, by uciszyć zebranych.

Między deski balustrady powitykano pieniądze. Obstawiający stali tłoczeni między deskami. Gdy Lorq spojrział na drugą stronę, zobaczył parę młodych ludzi. Mężczyzna przechylał się przez balustradę i próbował pokazać coś kobiecie.

Górnik przeszedł nad masą łusek i piór. Jego buty były po kolana umazane czymś czarnym. Gdy tłum prawie się uciszył, podszedł do skraju zagłębienia, którego Lorq nie widział i pochylił się...

Drzwi klatki odskoczyły. Górnik wrzasnął, skoczył na ogrodzenie i chwycił się słupka. Widzowie krzyknęli i zaczęli się tłoczyć. Ci, którzy kucali, zaczęli wstawać. Lorq próbował przepchnąć się do przodu.

Zobaczył, jak po drugiej stronie zagłębienia wstaje jego ojciec; na twarzy pod jasnymi włosami rysowało się napięcie. Von Ray potrząsnął pięścią w stronę areny. Matka stała blisko niego, przyciskając dłoń do szyi. Ambasador Selvin próbował

przepchnąć się między dwoma górnikami wykrzykującymi coś przy balustradzie.

- Tam jest Aaron! - krzyknęła Ruby.

- Nic podobnego! - odparł Prince.

Teraz jednak już zbyt wielu ludzi stało i Lorq nie był w stanie niczego zobaczyć. Tavo wstał i zaczął krzyczeć do ludzi, żeby usiedli, aż ktoś podał mu butelkę.

Lorq przesunął się w lewo, by coś widzieć; potem w prawo, kiedy z lewej zrobiło się gęsto. Dziwne, nieokreślone podniecenie pulsowało mu w piersi.

Górnik stał na balustradzie ponad tłumem. Podskoczył, uderzył ramieniem latarnię; cienie zatańczyły na płótnie. Oparł się o słup, skrzywił się, patrząc na kołyszącą się latarnię, potarł umięśnione ramiona. I wtedy zobaczył puch. Delikatnie oderwał go i zaczął oglądać zmierzwione włosy na piersi i ramionach.

Na skraju areny coś zahuczało; ucichło, po czym znów ryknęło. Ktoś machał kamizelką w powietrzu.

Górnik niczego nie znalazł i znów oparł się o słup.

Zafascynowany i podekscytowany Lorq poczuł mdłości od rumu i smrodu.

- Chodźmy! - wrzasnął do Prince'a. - Chodźmy wyżej, żeby dało się coś zobaczyć!

- Chyba nie powinniśmy - odparła Ruby.

- Czemu nie? - Prince wykonał krok do przodu, ale na jego twarzy widać było strach.

Lorq przepchnął się koło niego.

Nagle ktoś chwycił go za ramię i obrócił.

- Co wy tu robicie? - wściekły i zaskoczony Von Ray ciężko oddychał. - Kto wam powiedział, że tu można przyprowadzać dzieci?

Lorq rozejrzał się, szukając wzrokiem Tavo. Nigdzie go nie było.

Za ojcem pojawił się Aaron Red.

- Mówiłem ci, że nie powinny zostawać same! Wasze nianie są tak przestarzałe, że każde dziecko potrafi je unieszkodliwić.

Von Ray obrócił się szybko.

- Och, dzieciom nic się nie stało. Ale Lorq doskonale wie, że nie powinien sam wychodzić po zmroku!

- Zabiorę je do domu - odezwała się matka, która do nich podeszła. - Nie denerwuj się, Aaronie. Nic się przecież nie stało. Bardzo mi przykro, naprawdę - zwróciła się do dzieci. - Co w was wstąpiło, że wpadliście na pomysł, żeby tu przyjść?!

Górnicy otoczyli ich i zaczęli się przyglądać.

Ruby rozpląkała się.

- Kochanie, co się stało? - na twarzy matki pojawił się wyraz zatroskania.

- Jeszcze nic - odparł Aaron Red. - Ona doskonale wie, co się stanie, kiedy wrócimy do domu. Wiedzą, że źle postąpili.

Ruby, która dotąd niespecjalnie zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji, teraz zaczęła płakać na dobre.

- Może porozmawiamy o tym jutro rano? - matka rzuciła Von Rayowi błagalne spojrzenie. Ojciec jednak był zbyt zakłopotany widokiem łez Ruby i rozczerwony z powodu obecności Lorq, by zareagować.

- Tak, zabierz je do domu, Dano - uniósł wzrok i spojrzał na górników. - Zabierz je do domu i to już. Aaronie, przestań już, nie ma się czym przejmować.

- Pewnie - odparła matka. - Ruby, Prince, proszę mi dać rękę. Lorqu, idziemy prosto...

Matka wyciągnęła rękę.

Prince podał jej protezę, a gdy ją chwyciła, szarpnął.

Matka krzyknęła i zatoczyła się do tyłu, waląc go po nadgarstku drugą ręką. Palce z metalu i plastiku zacisnęły się na jej dłoni.

- Prince! - Aaron wyciągnął rękę do chłopca, ale ten uchylił się, obrócił i zaczął uciekać.

Matka upadła na kolana na brudną podłogę, ciężko dysząc i szlochając cicho. Ojciec chwycił ją pod pachami.

- Dana! Co on ci zrobił? Co się stało?!

Matka potrząsnęła głową.

Prince wpadł prosto na Tavo.

- Łap go! - krzyknął ojciec po portugalsku.

- Prince! - zawył Aaron.

Na dźwięk swego imienia chłopiec zaniechał oporu i osunął się w ramiona Tavo z pobielającą twarzą.

Matce udało się już wstać; skrzywiła się, gdy ojciec podsunął jej ramię.

- ...i jeden z moich białych ptaków... - usłyszał Lorq.

- Prince, chodź tutaj! - rozkazał Aaron.

Prince wrócił; jego ruchy były jakieś niepewne i nerwowe.

- A teraz - rzekł Aaron - wracacie z Daną do domu. Dana przeprasza, że wspomniała o twojej ręce. Nie chciała cię urazić.

Matka i ojciec spojrzeli na Aarona. Ojciec ruszył do przodu, matka cofnęła się. Aaron Red obrócił się w ich stronę. Był niski. I jedyną czerwoną rzeczą, jaką można było u niego dostrzec, były kąciki oczu.

- Rozumiecie - Aaron wyglądał na znużonego - ja nigdy nie wspominam o jego ułomności. Nigdy - najwyraźniej był zmieszany. - Nie chcę, żeby się czuł gorszy. Nie pozwalam nikomu, żeby dawał mu odczuć, że jest jakiś inny. Nie wolno wam nigdy przy nim o tym wspominać. Nigdy.

Ojciec najwyraźniej miał coś powiedzieć, ale chyba przejął całe zakłopotanie, jakie tego wieczora wisiało w powietrzu.

Matka patrzyła to na jednego, to na drugiego mężczyznę, potem spojrzała na swoje palce. Otoczyła je palcami drugiej dłoni i gładziła je lekko.

- Dzieci, proszę ze mną.

- Dano, jesteś pewna, że...

Matka rzuciła mu zdecydowane spojrzenie.

- Dzieci, proszę ze mną.

I wyszła z namiotu.

Tavo czekał na zewnątrz.

- Pójdę z panią, senhora. Zaprowadzę was do domu, jeśli chcecie.

- Tak, Tavo - odparła matka. - Dziękuję ci.

Dotknęła ręką swego brzucha.

- Ten chłopiec z żelazną ręką - Tavo potrząsnął głową. - I ta dziewczynka, i pani syn. Przyprowadziłem ich tutaj, senhora, bo mnie o to prosili, rozumie pani. Kazali mi się tu przyprowadzić.

- Rozumiem - rzekła matka.

Tym razem nie szli przez dżunglę, ale pomaszerowali wijącą się drogą, która prowadziła koło lądowiska, z którego akwaloty zabierały górników do podziemnych kopalń. Wysokie kształty sterczały z wody, rzucając podwójne cienie na fale.

Gdy dotarli do bramy parku, Lorq poczuł nagle mdłości.

- Tavo, przytrzymaj mu głowę - poleciała matka. - Lorq, takie silne wrażenia ci szkodzą. I pewnie znowu piłeś mleko. I jak, lepiej?

Nie powiedział nic o rumie. Smród panujący w namiocie, jak również odór otulający Tavo, pozwalały dochować tajemnicy. Prince i Ruby patrzyli na niego w milczeniu i rzucali sobie spojrzenia.

Na górze matka doprowadziła nianię do porządku i umieściła Prince'a i Ruby w ich pokojach. Potem przyszła do pokoju dzieciennego.

- Mamo, boli cię? - spytał, leżąc na poduszce.

- Boli. Ale chyba nie ma żadnego złamania, choć właściwie nie wiem, dlaczego. Jak tylko stąd wyjdę, zajrzę do modułu medycznego.

- Oni chcieli tam iść! - krzyknął Lorq. - Powiedzieli, że chcą iść tam, gdzie wszyscy poszli.

Matka usiadła na łóżku i zaczęła głaskać go po plecach zdrową dłonią.

- Ty przecież też chciałeś tam pójść i to zobaczyć, choć trochę, prawda?

- Tak - przyznał po chwili.

- Tak właśnie myślałam. Jak tam twój brzuszec? Nie obchodzi mnie, co ludzie mówią, ale chyba kwaśne mleko ci szkodzi.

Nadal nie powiedział nic o rumie.

- Śpij już - ruszyła w stronę drzwi.

Zapamiętał, jak dotyka przełącznika.

Zapamiętał, jak księżyc ciemnieje nad obracającym się dachem.

Federacja Plejad, Arka, Nowa Arka, 3148

Lorqowi Prince Red zawsze kojarzył się z pojawieniem się i odejściem światła.

Siedział nagi przy basenie na dachu i uczył się do egzaminu z petrologii, kiedy zatrzęsły się fioletowe liście przy obłożonym skałami wejściu. Na zewnątrz, za szybą świetlika, szalała nawałnica. Wieże Arki, które miały poddawać się sile wiatru, widać było niewyraźnie przez błyszczący szron.

- Tato! - Lorq zatrzasnął czytnik i wstał. - Jestem trzeci z wyższej matematyki! Trzeci!

Von Ray, w kurtce obszytej futrem, przedarł się przez liście.

- I, jak sądzę, wmawiasz sobie teraz, że się uczysz. Nie byłoby ci łatwiej w bibliotece? Potrafisz się skupić w takim miejscu?

- To petrologia - odparł Lorq, unosząc swój rejestrator z notatkami. - Tego nie muszę się uczyć. Już zdałem z wyróżnieniem.

Musiło minąć kilka lat, nim Lorq nauczył się nie przejmować się wygórowanymi wymaganiami rodziców perfekcjonistów. A gdy już to opanował, odkrył, że te wymagania były czysto rytualne i fatyczne, i dało się jakoś rozmawiać, jeśli tylko się je przeczekać.

- Och - rzekł ojciec. - Rzeczywiście - uśmiechnął się. Rozpiął kurtkę, a szron na jego włosach zmienił się w wodę. - Wreszcie zacząłeś się uczyć zamiast pełzać w trzewiach „Kalibana”.

- Coś mi się przypomniało, tato. Zgłosiłem się do udziału w regatach Nowej Arki. Przyjdziecie z mamą na metę?

- Jeśli tylko będziemy mogli. Wiesz, że matka ostatnio nie czuje się dobrze. Ostatnia podróż trochę jej zaszkodziła. A ty jeszcze fundujesz jej dodatkowe zmartwienia jakimiś regatami.

- Czemu? Przecież to mi nie przeszkadza w nauce.

Von Ray wzruszył ramionami.

- Ona uważa, że to niebezpieczne - położył kurtkę na skale. - Czytaliśmy o twoim zwycięstwie na Trantorze w zeszłym miesiącu. Gratulacje. Ona może i się o ciebie martwi, ale była dumna jak paw, kiedy opowiadała o tobie tym wszystkim sztywnym paniom z klubu.

- Szkoda, że was tam nie było.

- Chcieliśmy pojechać. Ale nie było szans, żeby przerwać podróż na miesiąc. Chodź, chciałem ci coś pokazać.

Lorq poszedł za ojcem wzdłuż strumienia, który wypływał z basenu. Von Ray otoczył syna ramieniem i ruszyli po schodach przy wodospadzie, by wejść do domu. Stopnie wykryły ich ciężar i zaczęły jechać do góry.

- Tym razem zatrzymaliśmy się na Ziemi. Spędziliśmy cały dzień z Aaronem Redem. Pamiętasz go? Red Shift Limited?

- Na Nowej Brazylii - przytaknął Lorq. - Koło kopalni.

- Pamiętasz rzeczy, które działy się tak dawno temu?

Schody wypłaszczyły się i jechali teraz przez szklarnię. Kakadu wzbijały się w powietrze z zarośli i uderzały w szklaną ścianę, za którą zalegał śnieg, po czym przysiadły na kwiatkach trojeści i zrzuciły płatki na piasek.

- Prince był z nim. To chłopiec w twoim wieku, może trochę starszy. - Lorq coś tam słyszał o losach Prince'a na przestrzeni lat, jak to zwykle bywa w przypadku dzieci znajomych rodziców. Jakiś czas temu Prince zmienił szkołę czterokrotnie w krótkim czasie i plotka Rosiła, że tylko fortunie Red Shift Ltd zawdzięczał, iż było to przeniesienie, a nie wydalenie.

- Pamiętam go - rzekł Lorq. - Ma tylko jedną rękę.

- Teraz nosi czarną rękawiczkę do ramienia ze zdobioną klejnotami bransoletą na końcu. To bardzo utalentowany młody człowiek. Powiedział, że cię pamięta. Kiedyś razem coś tam spsobiliście. Wydaje mi się, że od tego czasu trochę się uspokoił.

Lorq uwolnił się spod ramienia ojca i wkroczył na biały dywan, który zdobił podłogę ogrodu zimowego.

- Co chcesz mi pokazać?

Ojciec podszedł do jednej z kolumn wyświetlaczowych. Był to przezroczysty walec, o grubości czterech stóp, podpierający przezroczysty sufit, z kapitelem z kwiecistego szkła.

- Dano, pokażesz Lorqowi, co mu przywiozłaś?

- Za momencik.

W kolumnie pojawiła się twarz matki. Siedziała w obrotowym fotelu. Wzięła ze stołu zieloną tkaninę i rozłożyła ją na

pikowanym kocu na kolanach.

- Jakie piękne! - wykrzyknął Lorq. - Skąd wzięliście kwarc heptodynowy?

Kamienie, będące zasadniczo krzemianami, pod ciśnieniem tworzyły takie formy, że przez każdy kryształ, rozmiaru mniej więcej dziecięcej pięści, światło przepływało w postaci postrzępionych błękitnych linii.

- Znaleźliśmy je, kiedy zatrzymaliśmy się na Łabędziu. Byliśmy w pobliżu Wybuchającej Pustyni Kralla. Z okna naszego hotelu widzieliśmy, jak migoczą za murami miasta. Było to naprawdę tak imponujące, jak w opisach. Pewnego popołudnia, kiedy twój ojciec był na konferencji, zrobiłam sobie wycieczkę. Kiedy je zobaczyłam, pomyślałam o twojej kolekcji, więc ci je kupiłam.

- Dziękuję - uśmiechnął się do postaci w kolumnie.

Ani on, ani ojciec nie widzieli matki twarzą w twarz od czterech lat. Cierpiała z powodu jakiegoś umysłowego i fizycznego schorzenia powodującego degenerację i często w ogóle nie dało się z nią porozmawiać, skryła się więc w swoim gabinecie w domu, otoczona lekarstwami, komputerami diagnostycznymi, kosmetykami, urządzeniami grawotermicznymi i czytnikami. Matka - czy częściej jeden z jej awatarów z podstawowym programem udzielania odpowiedzi - pojawiała się w kolumnie wyświetlaczowej, gdzie sprawiała normalne wrażenie, zarówno pod względem wyglądu, jak i osobowości. W taki sam sposób, korzystając z awatarów i teleram, „towarzyszyła” Von Rayowi w jego podróżach służbowych, choć fizycznie przebywała wyłącznie w izolowanych pomieszczeniach, do których nie miał wstępu nikt poza psychotechnikiem, pojawiającym się dyskretnie raz w miesiącu.

- Piękne są - powtórzył i podszedł bliżej.

- Zostawię je w twoim pokoju wieczorem - sięgnęła po jeden z kamieni ciemnymi palcami i obróciła go. - Uważam, że są fascynujące. Nieomal hipnotyzujące.

- Patrz - Von Ray zwrócił się w stronę kolejnej kolumny. - Chciałem ci pokazać coś jeszcze. Aaron najwyraźniej

dowiedział się o twoich zainteresowaniach związanych z wyścigami i wie, że świetnie sobie radzisz - coś zaczęło się formować w drugiej kolumnie. - Dwóch jego inżynierów opracowało właśnie ciąгло jonowe. Twierdzą, że to zbyt delikatna rzecz, by dało się ją wykorzystać do celów komercyjnych, a produkcja na skalę przemysłową jest nieopłacalna. Aaron twierdzi jednak, iż poziom czułości sprawia, że to idealna rzecz dla małych jednostek wyścigowych. Chciałem ci je kupić, ale nie chciał nawet o tym słyszeć i wysłał ci je jako prezent.

- Prezent? - Lorq poczuł, jak podniecenie bierze górę nad zaskoczeniem. - Gdzie to jest?

W kolumnie pojawiła się skrzynia stojąca na rogu platformy załadunkowej. W oddali, między wieżami kapitanatu, widać było ogrodzenie mariny Nea Limani.

- Już jest na lądowisku? - Lorq przysiadł na zielonym hamaku zwisającym z sufitu. - Doskonale! Obejrzę je, kiedy tam pojedę dziś wieczorem. I tak muszę znaleźć załogę na regaty.

- Wybierasz załogę spośród ludzi włączających się w okolicy lądowiska? - matka potrząsnęła głową. - Zawsze mnie to martwiło.

- Mamo, ludzie, którzy lubią się ścigać, dzieciaki zainteresowane łodziami wyścigowymi i ludzie, którzy potrafią żeglować, zawsze włączają się w pobliżu portów. A ja i tak znam połowę ludzi w Nea Limani.

- Mimo to wolałabym, żebyś dobierał sobie załogę spośród kolegów w szkole albo ludzi z podobnych sfer.

- A co złego z ludźmi jest, którzy mówią, tak? - uśmiechnął się lekko Lorq.

- Niczego takiego nie powiedziałam. Miałam tylko na myśli to, że powinieneś wybierać do załogi ludzi, których znasz.

- A co zamierzasz zrobić po wyścigu z resztą wakacji? - przerwał tę wymianę zdań ojciec.

Lorq wzruszył ramionami

- Chcesz, żebym pracował jako brygadzysta w São Orini, jak w zeszłym roku?

Brwi ojca powędrowały w górę, a pionowe zmarszczki nad

czołem wykrzywiły się.

- Po tej historii z córką górnika? - brwi opadły. - Naprawdę chcesz tam pojechać?

Lorq znów wzruszył ramionami.

- Przychodzi ci do głowy coś innego, co mógłbyś robić? - spytała matka.

- Ashton Clark coś mi przyśle. A teraz muszę iść i szukać załogi - wstał z hamaka. - Mamo, dziękuję za kamienie. Porozmawiamy o wakacjach, jak szkoła się skończy.

Ruszył w stronę łukowatego mostka nad wodą.

- Nie wracaj zbyt...

- Będę przed północą.

- Lorqu. Jeszcze jedno.

Zatrzymał się przy samym mostku i oparł o aluminiową poręcz.

- Prince wydaje przyjęcie - rzekł ojciec. - Wysłał ci zaproszenie. Odbędzie się na Ziemi, w Paryżu, na Ile Saint Louis. Ale to zaledwie trzy dni po regatach. Nie będziesz w stanie tak szybko tam dotrzeć...

- „Kaliban” doleci na Ziemię w trzy dni!

- Nie, Lorqu! - zawołała matka. - Nie będziesz leciał na Ziemię w tej malutkiej...

- Nigdy nie byłem w Paryżu. Ostatni raz byłem na Ziemi, kiedy miałem piętnaście lat i zabraliście mnie do Pekinu. Lot do Drako jest łatwy - ruszył i zawołał do nich: - Jeśli nie znajdę załogi, nie będę nawet wracać do szkoły w przyszłym tygodniu.

Znikł po drugiej stronie mostka.

Federacja Plejad / Drako (przelet „Kalibanem”), 3162

Do załogi zwerbował dwóch ludzi, którzy zgłosili się na ochotnika do rozpakowania ciężła jonowego. Żaden z nich nie pochodził z Federacji Plejad.

Brian był w wieku Lorqa. Studiował na Uniwersytecie Drako, ale zrobił sobie rok przerwy i poleciał do Kolonii Zewnętrznych; teraz był w drodze powrotnej. Pracował przy

budowie statków, był też kapitanem na jachtach sportowych, ale wyłącznie w spółdzielczym klubie jachtowym sponsorowanym przez uczelnię. Ich wzajemna relacja, oparta na zainteresowaniu jachtami, była przepełniona podziwem. Lorq w skrytości ducha podziwiał Briana za wyruszenie w podróż na skraj galaktyki, bez funduszy i bez planowania; Brian zaś był przekonany, że oto spotkał mitycznego bogacza, który ma własny jacht, a którego imię dotychczas znał tylko z nagrań o regatach - Lorqa Von Raya, jednego z najmłodszych, a zarazem najsłynniejszych kapitanów jachtowych.

Dan, który jako drugi dołączył do załogi małego, trójskrzydłowego ścigacza, miał jakieś czterdzieści lat i pochodził z Australii na Ziemi. Spotkali się w barze, gdzie Dan snuł opowieści o czasach, kiedy to służył jako wszczepieniec na dużych frachtowcach, albo o kapitanach jachtowych, pod którymi służył - ale sam nigdy nie został kapitanem. Dan, bosy, ze spodniami obciętymi krzywo na wysokości kolan i obwiązany sznurkiem, wyglądał jak typowy wszczepieniec, których wielu włączyło się po podgrzewanych chodnikach Nea Limani. Wysokie kopuły przeciwwiatrowe osłabiały huragany, które pędziły od Tongu po lśniącej powierzchni Arki - teraz był miesiąc umbra, kiedy to dzień trwał dwadzieścia dziewięć godzin, a słońce świeciło tylko przez trzy. Mechanicy, oficerowie i wszczepieńcy pili do późna, rozmawiali o prądach i wyścigach w barach i łaźniach, biurach kapitanatu i dokach serwisowych.

Lorq zaproponował Brianowi i Danowi, by po regatach polecieli z nim na Ziemię

- Świetnie. Czemu nie? I tak muszę wrócić do Drako na zajęcia wakacyjne.

A tak zareagował Dan:

- Paryż? To piekielnie blisko Australii, nie? Mam dzieciaka i dwie żony w Nowym Sydney i wołałbym, żeby mnie nie dopadły. Może jeśli nie zostaniemy tam za długo...

Kiedy uczestnicy regat minęli satelitę obserwacyjnego okrążającego Arkę, zatoczyli pętlę koło wewnętrznego skraja skupiska i polecili w stronę Mrocznej, Martwej Siostry, by wrócić na Arkę, ogłoszono, że „Kaliban” zajął drugie miejsce.

- Dobrze. Wynosimy się stąd. Na przyjęcie u Prince’a!

- Proszę, uważaj na siebie... - z głośnika dobiegł głos matki.

- Pozdrówcie od nas Aarona. I jeszcze raz gratulacje, synu - rzekł ojciec. - I jeśli rozwalisz tę puszkę podczas tej bezsensownej podróży, nie prosź mnie o nową.

- Na razie, tato.

„Kaliban” oddalił się od statków tłoczących się przy stacji widokowej, skąd widzowie mogli obserwować zakończenie regat. W gwiazdnym świetle poniżej błyszcząły wielkie, pięćdziesięciostopowe okna (w jednym z nich przy balustradzie stali ojciec i awatar matki i patrzyli, jak statek odlatuje); przez chwilę toczyli się przez tereny Federacji Plejad, a potem w stronę Sol.

Po dniu lotu stracili sześć godzin w mgławicowym wirze. (Dan poskarżył się przez interkom: „Gdybyś tylko miał prawdziwy statek zamiast tej zabawki, to byłoby jak splunąć”. Lorq przełączył na ciągle jonowym częstotliwość skanera na wyższą. „Zero przecinek dwadzieścia pięć, Brianie. Teraz musimy nadgonić, więc szybko!”). Udało im się jednak nadrobić stracony czas, a potem dzięki zewnętrznemu dryfowi pływowemu przyspieszyli jeszcze bardziej.

Dzień później zobaczyli w rozszalałym kosmosie rosnące, rozjarzone światło Sol.

Drako, Ziemia, Paryż, 3162

Platforma De Blau, przypominająca cyfrę osiem na mykeńskiej tarczy, wisiała całe mile poniżej poruszających się skrzydeł statków. Stąd wahadłowce towarowe wyruszały do wielkiego portu międzygwiazdowego na Trytonie, największym księżycu Neptuna. Pięćsetmetrowe liniowce pasażerskie błyszcząły na lądowiskach. „Kaliban” opadł w stronę

zagłębienia mariny jachtowej, jak potrójny latawiec. Lorq uniósł się na koi, gdy tylko przejęły ich promienie naprowadzające.

- Dobrze, laleczki. Tniemy sznurki.

Chwilę po wylądowaniu wyłączył pomrukujące trzewia „Kalibana”. Otaczające go światła zgasły.

Brian wsunął się do sterowni, zawiązując lewy sandał. Dan, nieogolony, w rozpiętej kamizelce, podreptał boso do komory projekcyjnej.

- Patrzcie tylko, co tu mamy, kapitanie - pochylił się, by wydłubać brud spomiędzy palców u nóg. - Co to za przyjęcie, na które się wybieracie, dzieciaki?

Lorq wcisnął przycisk rozładunku; podłoga zaczęła się opuszczać, a żebrowana pokrywa cofała się, aż dolny skraj dotknął ziemi.

- Nie wiem - odparł Lorq. - Dowiemy się, jak tam dotrzemy.

- Ooooch, nie - rzekł Dan, przeciągając samogłoski. - Nie chadzam na takie eleganckie imprezy - ruszyli, krocząc w cieniu kadłuba. - Znajdźcie mi jakiś bar, a potem mnie zabierzcie, jak będziecie wracać.

- Jeśli nie chcecie iść ze mną - zaproponował Lorq - zjemy coś, a potem tu zostanieie.

- Ja... ja bym chętnie poszedł - wyznał Brian z tonem rozczarowania w głosie. - Nigdy jeszcze nie byłem nawet w pobliżu przyjęcia wydawanego przez Prince'a Reda.

Lorq spojrzął na Briana. Solidnie zbudowany, brązowowłosy chłopak o oczach barwy kawy zmienił podniszczoną kamizelkę roboczą na czystą, zdobioną opalizującymi kwiatami. Lorq dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że ten chłopak, który przemierzył autostopem pół wszechświata, czuł się niepewnie w obecności bogatych, znanych i ważnych, a do takich zaliczał się dziewiętnastolatek, który ścigał się własnym jachtem i wpadał na przyjęcia w Paryżu.

Lorqowi nie przyszło do głowy zmienianie kamizelki.

- W takim razie chodź - rzekł. - Zgarniemy Dana w drodze powrotnej.

- Tylko nie upijcie się aż tak bardzo, żebyście nie dali rady

zanieść mnie na pokład.

Lorq i Dan zaśmiali się.

Brian przyglądał się pozostałym jachtom w marinie.

- Patrzenie! Lecieliście kiedyś trójskrzydłowym Zefirem? - dotknął ramienia Lorqa, po czym wskazał elegancki, złoty kadłub. - Założę się, że to jeden z tych, które się nieźle kręca,

- Przy niższych częstotliwościach wolno nabierają prędkości - zwrócił się do Dana Lorq. - Postaraj się być na pokładzie jutro w porze startu, dobrze? Nie zamierzam cię szukać po okolicy.

- Tak blisko Australii? Spokojna głowa, kapitanie. A przy okazji, nie masz nic przeciwko, żebym przyprowadził tu jakąś damę?

Uśmiechnął się do Lorqa i mrugnął.

- Powiedz mi - odezwał się Brian - jak się sprawują te dwudziestkisiódemki Borisa? Nasz klub próbował zorganizować wymianę z innym klubem, który miał dziesięcioletniego Borisa. Tylko że chcieli też pieniądze;

- Nie mam nic przeciwko, byleby nie wyszła stąd z czymś, czego nie przyniosła - powiedział Danowi Lorq, po czym zwrócił się znów do Briana. - Ostatni raz na pokładzie Borisa byłem, gdy miałem jakieś trzy lata. Mój przyjaciel miał takiego parę lat temu. Całkiem dobrze się sprawował, ale gdzie mu tam do „Kalibana”.

Przeszli przez bramę lądowiska, ruszyli schodami prowadzącymi na ulicę i minęli cię kolumny o kształcie zwiniętego węża.

Paryż pozostał dość poziomym miastem. Jedynymi budowłami, które zaburzały linię horyzontu były wieża Eiffla i strzelająca w niebo konstrukcja Les Halles: siedemdziesiąt pięter sklepów przykrytych przezroczystymi osłonami, zdobionych metalowymi mozaikami przypominającymi zwoje - to było najważniejsze miejsce, gdzie dwudziestotrymilionowa populacja miasta kupowała żywność i płody rolne.

Skręcili w Rue des Astronauts, mijając restauracje i markizy nad wejściami do hoteli. Dan sięgnął pod swój sznurek od spodni i podrapał się w brzuch, po czym odsunął długie włosy z czoła.

- Gdzie tu się można napić, jak się jest aktywnym wszczępięncem? - nagle wskazał małą uliczkę. - Tutaj!

Na końcu ulicy o kształcie litery L znajdowała się mała kafejka; na szybie widać było pęknięcie. *Le Sidéral*. Jakieś dwie kobiety właśnie weszły do środka.

- Tu może być - mruknął Dan i wyprzedził Lorq'a i Briana.

- Czasem zazdrościsz takim ludziom - rzekł cicho Brian do Lorq'a.

Lorq obrzucił go zdumionym spojrzeniem.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko sprowadzaniu kobiet na statek?

Lorq wzruszył ramionami.

- Sam bym tak robił.

- Och. Pewnie nie możesz się opędzić od kobiet, zwłaszcza z tym jachtem wyścigowym.

- Na pewno mi w tym nie przeszkadza.

Brian zagryzł kciuk i skinął głową.

- Ale byłoby fajnie. Czasem wydaje mi się, że dziewczęta już o mnie zapomniały. Może i to nie ma znaczenia, mieć jacht, czy nie... - zaśmiał się. - Czy ty kiedyś... sprowadziłeś na statek jakąś dziewczynę?

Lorq milczał przez chwilę, po czym odezwał się:

- Mam troje dzieci.

Brian spojrzał na niego zaskoczony.

- Chłopca i dwie dziewczynki. Ich matki pracują w kopalniach na jednej planecie Kolonii Zewnętrznych, na Nowej Brazylii.

- Och, chcesz powiedzieć, że...

Lorq położył lewą rękę na prawym ramieniu i prawą na lewym.

- Chyba ty i ja prowadzimy zupełnie inne życie - rzekł po chwili Brian.

- Tak właśnie przypuszczałem - uśmiechnął się Lorq.

Brian odwzajemnił uśmiech, ale widać było, że czuje się niepewnie.

- Poczekajcie, wy tam! - rozległo się za nimi. - Czekać!

Obrócili się.

- Lorq? Lorq Von Ray?

Zamiast czarnej rękawiczki opisanej przez ojca, Prince nosił teraz srebrną. Jej brzeg, wysoko na ramieniu, był wyszywany brylantami.

- Prince?

Wszystko miał srebrne: kamizelkę, spodnie, buty.

- Prawie za tobą tęskniłem! - ciemna twarz pod czarnymi włosami ożywiła się. - Poprosiłem obsługę platformy, żeby mnie zawiadomiła, jak tylko miniecie Neptuna. Jacht wyścigowy, tak? No cóż, chwilę to trwało. Zanim zapomnę: Aaron powiedział mi, że jeśli przyjedziesz, masz przekazać pozdrowienia ciotce Cyanie. W zeszłym miesiącu spędziła z nami weekend na plaży na Chobe.

- Dziękuję. Przekażę, jak ją zobaczę - odparł Lorq. - Skoro spędziła z wami weekend w zeszłym miesiącu, to widzieliście ją później niż ja. Ona rzadko już bywa na Arce.

- Cyana... Morgan? - wtrącił zdumiony Brian, ale Prince już mówił dalej: - Posłuchaj - położył ręce na ramionach Lorq'a, na skórzanej kamizelce (Lorq próbował wykryć różnicę w nacisku między ręką w rękawiczce a tą bez). - Muszę dostać się na Mt. Kenyuna i z powrotem, zanim zaczniesz się przyjąć. Uruchomiłem wszystkie możliwe środki transportu, żeby zwieźć gości, skąd się da. Aaron nie chce mi pomóc. Nie chce mieć nic wspólnego z tą imprezą. Uważa, że wymknąłem mu się spod kontroli. Obawiam się, że wykorzystałem nasze nazwisko, żeby w paru miejscach uzyskać rzeczy, których on nie pochwała. Na szczęście jest gdzieś na Wedze. Chcesz wyskoczyć ze mną w Himalaje?

- Chętnie - Lorq chciał zasugerować, że Brian może pracować dla Prince'a jako wszczępieniec. Może z powodu tego ramienia Prince nie mógł się prawidłowo podłączyć. - Hej, Dan! - zawołał przez całą ulicę. - Jest robota!

Australijczyk właśnie otwierał drzwi. Obrócił się, potrząsnął głową i ruszył z powrotem.

- Dokąd lecimy? - spytał Lorq, gdy ruszyli w stronę platformy.

- Powiem wam po drodze.

Gdy mijali bramę (i kolumnę Drako z wijącym się węzłem lśniącym w promieniach zachodzącego słońca), Brian

zaryzykował i spróbował się odezwać.

- Nieźle ciuchy - zwrócił się do Prince'a.

- Na Ile będzie sporo ludzi, a ja chcę, żeby wszyscy mnie widzieli.

- Ta rękawiczka to jakaś nowość? To się teraz nosi na Ziemi?

Lorq poczuł, jak żołądek zwija mu się w węzeł. Zaczął się uważnie przyglądać to jednemu, to drugiemu.

- Bo takie rzeczy - mówił dalej Brian - nie docierają szybko na Centaura. Dopiero w jakiś miesiąc po tym, jak na Ziemi nikt ich już nie nosi. No i nie byłem w Drako od jakichś dziesięciu miesięcy.

Prince spojrział na swoją rękę i obrócił ją.

Zmierzch omywał niebo.

Lampy na skraju ogrodzenia zamigotały; światło wydobyło załamania materiału na rękawicze.

- To mój indywidualny styl - Prince spojrział na Briana. - Nie mam prawej ręki. To - zwinął protezę w pięść - w całości metal, plastik i rzeźące motorki - zaśmiał się. - Ale służy mi... prawie równie dobrze jak prawdziwa.

- Och - w głosie Briana pojawiło się zmieszanie. - Nie wiedziałem.

Prince roześmiał się.

- Czasem ja o tym też zapominam. No, prawie. Który statek jest wasz?

- Ten - wskazał Lorq i uświadomił sobie, że od pierwszego spotkania z Prince'em minęło dwanaście lat.

Drako, Ziemia, Nepal, 3162

- Wszyscy podłączeni?

- Pan płaci, kapitanie - przebił się głos Dana. - Wszystko gotowe.

- Gotów, kapitanie - to Brian.

- Uruchomić dolne skrzydło...

Prince siedział za Lorqiem, z ręką na jego ramieniu (tą prawdziwą).

- Na tym przyjęciu mają być absolutnie wszyscy. Wy dotarliście dopiero dziś, ale ludzie zjeżdżają się od tygodnia. Zaprosiłem ze sto osób. Przyjedzie pewnie ze trzy setki. Coraz więcej, coraz więcej!

Gdy wpadli w pole inercyjne, platforma De Blau znikła pod nimi, a słońce, które już zaszło, pojawiło się na zachodzie i otoczyło planetę półksiężycem światła. Błękitny pierścień płonął.

- Tak czy inaczej, Che-ong przywiozła szaloną ekipę gdzieś ze skrajów Drako...

Z głośnika dobiegł głos Briana.

- Masz na myśli Che-ong, tę gwiazdę psychoramy?

- Studio wysłało ją na tygodniowe wakacje, więc zdecydowała, że przyleci na moje przyjęcie. Przedwczoraj przyszła jej ochota na wspinaczkę i ruszyła do Nepalu.

Słońce znalazło się nad ich głowami. Aby przemieścić się między jednym a drugim punktem na planecie, należało wyskoczyć wysoko i opaść we właściwym miejscu. W przypadku pojazdów z napędem projektorowo-skrzydłowym, trzeba było wzlecieć wysoko, okrążyć Ziemię trzy albo cztery razy i opaść lotem ślizgowym. Przedostanie się z jednego końca miasta na drugi, jak również polecenie na koniec świata, trwało tyle samo: jakieś siedem czy osiem minut.

- Che skontaktowała się dziś ze mną przez radio i dała znać, że utkwili w trzech czwartych podejścia na Mt. Kenyuna. Poniżej szaleje burza, więc nie mogą się skontaktować ze stacją ratowniczą w Katmandu, żeby wysłali helikopter, który mógłby ich zabrać. Oczywiście burza w żaden sposób nie przeszkodzi jej w zmuszaniu jednej trzeciej ludzkości do opowiadania mi o jej problemach. Ale tak czy inaczej, obiecałem, że coś wymyślę.

- Jak niby, u licha, mamy ich zdjąć z tej góry?

- Polecimy tam, zawiśniesz na wysokości dwudziestu stóp nad powierzchnią skały, a ja zejde i ich zabiorę.

- Dwadzieścia stóp! - rozmazany świat pod nimi zwolnił. - Czy ty chcesz ich stamtąd wydostać żywych?!

- Masz ze sobą to ciężło jonowe, które wysłał ci Aaron?

- Właśnie go używamy.

- Powinno być wystarczająco czule, żeby dało się wykonać takie manewry. A ty jesteś świetnym kapitanem. Tak czy nie?

- Spróbuję - odparł ostrożnie Lorq. - Na pewno jestem większym durniem od ciebie - roześmiali się obaj. - Spróbujemy, Prince!

Pod nimi przesuwała się mozaika śniegu i skał. Lorq ustawił współrzędne LORAN góry zgodnie z danymi, które podał mu Prince.

Prince wyciągnął odzianą w rękawiczkę dłoń nad ramieniem Lorq'a i dostroił radio...

Do kabiny wdarł się dziewczęcy głos:

- Och, rany! Patrzcie, to chyba oni? Prince! Prince, kochany, przybyłeś nam na ratunek? Ledwo się tu trzymamy naszymi zamarzniętymi paluszkami i bardzo nam źle. Prince...? - gdzieś w tle grała muzyka i było słycać paplaninę innych głosów.

- Trzymajcie się, Che - powiedział do mikrofonu Prince. - Przecież wam powiedziałem, że coś wymyślimy - obrócił się do Lorq'a. - Tam! Powinni być tam w dole.

Lorq skreślił filtr częstotliwości, aż „Kaliban” zaczął szybować, wykorzystując zaburzenia grawitacyjne samej góry. Szczyty urosły, błyszczące, jak rzeźbione.

- Och, patrzcie tylko! A mówiła, że Prince zostawi nas tu na zatracenie i nie zdążymy na przyjęcie.

I w tle:

- Och, Cecilu, nie dam rady...

- Podkręćcie muzykę...

- Ale ja nie lubię sardeli...

- Prince! - zawołała Che. - Pospiesz się! Znów sypie. Wiesz, że do tego wszystkiego by nie doszło, gdybyś nie wpadł na pomysł bawienia się w salonowe sztuczki.

- Chodź tu, kochanie, zatańczmy!

- Powiedziałam ci, nic z tego! Jesteśmy za blisko krawędzi!

Pod stopami Lorq'a, na ekranie podłogowym, ukazującym obraz w naturalnym świetle, lśnił lód, żużel i głązy w blasku księżyca; „Kaliban” opadał.

- Ilu tam ich jest? - spytał Lorq. - Statek nie jest za duży.

- Jakoś się ścisną.

Na oblodzonej półce, która przesuwała się po ekranie, siedziało kilka osób; na zielonym poncho porozstawiano butelki z winem, sery i koszyki z jedzeniem. Kilka osób tańczyło. Inne siedziały na płóciennych leżakach. Ktoś wspiał się na położoną wyżej półkę i zasłaniał oczy dłonią, wypatrując statku.

- Che - zawołał Prince - jesteśmy. Zbierajcie się, nie możemy czekać cały dzień.

- Wielkie nieba! To wy! Zbierajcie się wszyscy, odlatujemy! Tak, to Prince!

Na półce zaczęło się coś dziać. Młodzież zaczęła biegać, zbierać różne przedmioty i upychać je w plecakach. Dwie osoby zaczęły składać poncho.

- Edgarze, nie wyrzucaj tego! To rocznik czterdziesty ósmy, tak starych butelek często się nie spotyka. Tak, Hillary, możesz zmienić muzykę. Nie, nie wyłączaj jeszcze grzejnika! Och, Cecilu, ależ ty jesteś głupi. Brr! Chyba za chwilę odlecimy. Oczywiście, że z tobą zatańczę, kochanie. Tylko nie tak blisko krawędzi. Poczekaj sekundę. Prince? Prince...!

- Che! - zawołał Prince, gdy Lorq opadł nieco niżej. - Masz tu jakąś linę? - Prince zasłonił ręką mikrofon. - Widziałeś ją w „Dzieciach chaosu”, gdzie grała szurniętą szesnastolatkę, córkę botanika?

Lorq pokiwał głową.

- To *nie była* gra - Prince zdjął rękę z mikrofonu. - Che, lina! Macie jakąś linę?

- Całe mnóstwo! Edgarze, gdzie jest ta lina? Przecież jak tu się wspinaliśmy, to po czymś? Jest! Co więc robimy?

- Wiążemy wielkie supły co parę stóp. Jak wysoko nad wami jesteście?

- Czterdzieści stóp? Trzydzieści? Edgarze! Cecilu! Jose! Słyszeliście, co mówi? Wiązać supły!

Na ekranie podłogowym Lorq obserwował cień jachtu sunącego nad lodem. Opuścił statek jeszcze niżej.

- Lorqu, otwórz właz w maszynowni, jak my będziemy...

- Siedemnaście stóp nad nimi! - zawołał przez ramię Lorq. - Uda się, Prince! - sięgnął do konsoli. - Otwarte.

- Świetnie!

Prince zanurkował przez drzwi w maszynowni. Zimne powietrze uderzyło Lorqę w plecy. Dan i Brian usiłowali utrzymać statek w miejscu na silnym wietrze.

Na ekranie podłogowym Lorq dostrzegł jednego z chłopców: rzucał linę w stronę statku, a Prince stał w otwartym łuku i usiłował ją złapać ręką w srebrnej rękawicy. Udało się za trzecim razem. Głos Prince'a przebił się przez wiatr:

- Mam! Przywiązałem. Właźcie do góry!

I jeden po drugim wspinacze zaczęli wspinać się do góry po linie z supłami.

- Jazda. Uważajcie...

- Ludzie, jak tam zimno! Jak tylko wyłączyliśmy pole grzejne...

- Trzymam cię. Wchodź...

- Nie sądziłem, że nam się uda. Hej, chcecie trochę Chateauf du Pape, rocznik czterdziesty ósmy? Che mówi, że to rzadkość...

Maszynownia wypełniła się głosami. Aż nagle:

- Prince! Jak to miło, że nas uratowałeś! Czy na twoim przyjęciu będą grali dziewiętnastowieczną muzykę turecką? Nie udało nam się załapać żadnych lokalnych stacji, ale był taki program edukacyjny z Nowej Zelandii. Taka... przestrzenna! Edgar wymyślił nowe kroki. Chodzisz na czworakach, wypinasz tyłek do góry, a potem go opuszczasz. Jose! Tylko nie spadnij z powrotem na tę przeklętą górę! Chodź tutaj i poznaj Prince'a Reda. To właśnie gospodarz przyjęcia, a jego ojciec ma jeszcze więcej milionów niż twój. Zamknij drzwi i chodźmy z tej maszynowni. Te wszystkie maszyny i w ogóle. To nie w moim stylu.

- Wejdz do środka, Che, i przez chwilę podrocz się z kapitanem. Znasz Lorqę Von Raya?

- Mój Boże, to ten chłopak, który wygrywa wszystkie regaty? Pewnie, on ma jeszcze więcej pieniędzy niż...

- Cii! - rzekł Prince scenicznym szeptem, gdy weszli do kabiny. - Nie chcę, żeby on o tym wiedział.

Lorq uniósł statek wysoko nad górę i zawrócił.

- To ty musisz być tym facetem, który wygrywa regaty. Taki przystojny!

Che miała na sobie skafander ciepły, całkowicie przezroczysty.

- Ostatnie wygrałeś, lecąc tym statkiem?

Rozejrzała się po kabinie, nadal dysząc po wspinaczkę. Czerwone brodawki z każdym oddechem rozpląszczały się o winyl.

- To cudowne. Nie byłam na pokładzie jachtu od wielu lat.

Reszta dołączyła do nich.

- Chce ktoś jeszcze trochę tego rocznika czterdzieści osiem?

- Nie słyszę tu żadnej muzyki. Czemu tu nic nie gra?

- Cecilu, masz jeszcze trochę złotego proszku?

- Jesteśmy powyżej jonosfery, głupku, i fale elektromagnetyczne nie mają się jak odbijać. Poza tym lecimy za...

Che-ong obróciła się do nich.

- Och, Cecilu, gdzie się podział cały ten cudowny złoty proszek? Prince, Lorqu, musicie go kiedyś spróbować. Cecil jest synem burmistrza...

- ...gubernatora...

- ...na jednej z tych małych planetek, o których tak często się słyszy, daleko stąd. Miał ze sobą ten złoty proszek, który zbierają w rozpadlinach skalnych. Och, patrz, nadal jeszcze go ma, i to całkiem sporo!

Świat zaczął kręcić się wokół nich.

- Patrz, Prince, wdychasz go, o, tak. Aaaach! Po nim widzisz wszystko w kolorach o wiele piękniejszych niż w rzeczywistości, słyszysz cudowne dźwięki, a twój umysł zaczyna pędzić i między każdym ze słów dopisuje paragraf. Masz, Lorqu...

- Przestańcie! - zaśmiał się Prince. - On musi nas zawieźć z powrotem do Paryża!

- Och - krzyknęła Che. - To nie problem. Po prostu polecimy trochę szybciej i tyle.

Za nimi odezwali się inni:

- Gdzie miało to być to cholerne przyjęcie?

- Na Ile Saint-Louis. To jest w Paryżu.

- Gdzie?
- W Paryżu, kochanie. Lecimy na imprezę do...

Drako, Ziemia, Paryż, 3162

W połowie czwartego stulecia cesarz bizantyjski Julian, znużony wirem życia towarzyskiego Cite (gdzie populacja, licząca niecały tysiąc osób, mieszkała głównie w namiotach ze skór, otaczających zbudowaną z drewna i kamienia świątynię Wielkiej Matki), przeniósł się na drugą stronę wody, na mniejszą wyspę.

W pierwszej połowie dwudziestego wieku królowa światowego przemysłu kosmetycznego, by uciec przed pretensjonalnością prawego brzegu i ekscesami cyganerii na lewym brzegu, stworzyła tu swoje paryskie *pied-à-terre*, ze ścianami wyłożonymi istnymi skarbami sztuki (zaś drewnianą świątynię zastąpiła katedra o dwóch wieżach).

W połowie trzydziestego drugiego stulecia środkowa aleja wyspy lśniła od świateł, a boczne uliczki były pełne muzyki, dzikich zwierząt w klatkach, budek z napojami i gramy, zaś fajerwerki rozjaśniały nocne niebo. Na Ile Saint-Louis odbywało się przyjęcie Prince'a Reda.

- Tędy! Tutaj!

Cała gromada wkroczyła na estakadę. Czarne fale Sekwany lśniły. Po drugiej stronie wody liście opadały z kamiennych balustrad. Rzeźbione przypory Notre Dame, teraz zalane światłem, wznosiły się ponad drzewa w parku na Cite.

- Nikomu nie wolno wchodzić na moją wyspę bez maski! - zawołał Prince. Gdy doszli do połowy mostu, skoczył w stronę balustrady, stanął w świetle reflektora i pomachał tłumom swą srebrną dłonią.

- Jesteście na przyjęciu! Na przyjęciu Prince'a! I każdy ma włożyć maskę!

Jego twarz barwy hebanu oświetliły rozbłyски niebieskich i czerwonych fajerwerków.

- Czadowo! - pisnęła Che-ong, podbiegając do balustrady. -

Tylko jeśli ja włożę maskę, to nikt mnie nie rozpozna, Prince. A w studio powiedzieli mi, że mam przyjść na to przyjęcie dla reklamy!

Prince podbiegł do niej, chwycił ją za winylową rękawiczkę i poprowadził po schodach. Tam, na regałach, leżały stosy masek zakrywających całą twarz.

- Dla ciebie będzie specjalna, Che.

Wyciągnął długą na pół metra, przezroczystą głowę szczura, z uszami obszytymi białym futrem, brwiami z cekinów i klejnotami na końcach każdego wąsa.

- Czadowo! - pisnęła Che, gdy Prince nałożył jej tę konstrukcję na ramiona.

Przez przezroczyste oczy maski widać było jej delikatną twarz o zielonych oczach; roześmiała się.

- A tu coś dla ciebie!

Cecil dostał głowę pantery z szablстыми zębami; Edgar - orła z opalizującymi piórami; ciemne włosy Josego znikły pod paszczą jaszczurki.

Głowa lwa trafiła do Dana (który poszedł z nimi, choć protestował, ale naciskali; w chwili, gdy łaskawie się zgodził, wszyscy już zdążyli o nim zapomnieć), a do Briana - gryf (aż do tej chwili zebrani go ignorowali, ale z entuzjazmem szedł za nimi).

- Teraz ty! - Prince zwrócił się do Lorqa. - Dla ciebie mam coś specjalnego!

Śmiejąc się, wybrał głowę pirata, z opaską na oko, bandaną, policzkiem pokrytym bliznami i sztyletem w zębach. Pasowała idealnie na głowę Lorqa; można było patrzeć przez osłonięte siatką otwory w szyi. Prince klepnął go w plecy.

- Von Ray, prawdziwy pirat! - zawołał, gdy Lorq ruszył wyłożoną kocimi łbami uliczką.

Coraz więcej ludzi przybywało na mostek i coraz częściej rozlegał się tam śmiech.

Nad tłumem dziewczęta w pudrowanych, spiętrzonych koafiurach rodem z dwudziestego trzeciego stulecia, sprzed epoki Ashtona Clarka, rzucały z balkonu confetti. Jakiś mężczyzna prowadził niedźwiedzia i przepychał się przez tłum.

Lorq myślał, że to kostium, aż futro dotknęło jego ramienia i poczuł zapach piżma. Pazury szorowały o bruk. Tłum go otoczył.

Lorq słuchał.

Lorq patrzył.

Rozkosz wypełniała powierzchnię recepcyjną każdego zmysłu, gładko jak szkło. Percepcja zmieniła się nagle, gdy (jakby ktoś obrócił skrzydło statku), gdy wszedł na wyłożoną klinkierem ulicę, obsypaną confetti. Poczuł obecność swego skupionego ego. Jego świat skupił się na terażniejszości jego rąk i języka. Głosy dookoła niego pieściły jego świadomość.

- Szampana! Czy to nie jest czadowe? - przezroczysty plastikowy szczur zagonił do rogu przy stole z winem gryfa w kwiecistej kamizelce. - Dobrze się bawisz? Ja jestem zachwycona!

- Pewnie - odparł Brian. - Po prostu nigdy nie byłem na takim przyjęciu. Ludzie jak Lorq czy Prince albo ty - wiesz, ludzie, o których się często słyszy. Aż trudno uwierzyć, że jesteście prawdziwi.

- Tak między nami mówiąc, czasem mam ten sam problem. Dobrze, że mi o tym przypomniałeś. A teraz mówisz nam...

Lorq przemieścił się do innej grupki.

- ...czaderskie przyjęcie. Po prostu cudownie.

- ...pewnie, ale wymyśliliśmy sobie, że przylecimy przez Perth, a te stare przepisy celne nadal obowiązują i naprawdę musieliśmy przejść przez kontrolę celną...

- ...na statku wycieczkowym z Port Saidu do Stambułu był jakiś rybak z Plejad, który grał absolutnie cudowne rzeczy na fletni czuciowej...

- ...i musieliśmy jechać autostopem aż z Iranu, bo mono nie działało. Ziemia chyba rozpada się w szwach..

- ...świetna impreza. Absolutnie czaderska...

Bardzo młodzi, pomyślał Lorq. I bardzo bogaci. Zastanowił się, jakie limity różnic definiują te warunki.

Bosy lew, w spodniach przepasanych sznurkiem, opierał się o futrynę drzwi i patrzył.

- Jak leci, kapitanie?

Lorq pomachał dłonią Danowi i szedł dalej.

Teraźniejszość, zwodnicza i krystaliczna, była w nim. Muzyka atakowała pustą w środku maskę, gdzie jego głowa spoczywała na poduszce odgłosów własnego oddechu. Na podwyższeniu przy klawikordzie siedział mężczyzna i grał pawanę Byrda. Gdy Lorq szedł dalej, narastały głosy śpiewające w innej tonacji. Na platformie po drugiej stronie ulicy dwóch chłopców i dwoje dziewcząt w dwudziestowiecznym modzie odtwarzało ulotne antyfoniczne dzieła The Mamas & the Papas. Lorq skręcił w boczną uliczkę i otoczyła go fala tłumu, która poniosła go dalej, aż stanął naprzeciwko wielkiej wieży elektronicznych instrumentów odtwarzających poszarpaną, teksturowaną ciszę „Tohu-bohu”. Reagując nostalgią na popularną muzykę, która liczyła już dziesięć lat, goście w maskach z *papier mâché* dzielili się na pary, trójki, piątki i siódemki i zaczęli tańczyć. Ktoś z głową łabędzia odplynał na prawo. Z lewej strony na zdobionych cekinami ramionach podskakiwała głowa żaby. Gdy Lorq szedł jeszcze dalej, w jego uszach rozbrzmiały pozbawione trójek modulacje, które słyszał z głośnika „Kalibana” nad szczytami Himalajów.

Ktoś biegł między tańczącymi.

- Udało mu się! Czy Prince nie jest kochany? - wrzeszczeli i podskakiwali. - Znalazł tę starą turecką muzykę!

Biodra i piersi błyszczały pod przezroczystym winylem (materiał miał otworki, które otwierały się, gdy było ciepło, dzięki czemu w przezroczystym odzieniu było chłodno jak w jedwabiu), Che-ong wirowała, przytrzymując swoje włochate uszy:

- Wszyscy na czworaki! Na czworaki, mówię! Pokażemy wam nowe kroki! Jak to: wystawiasz tyłek i...

Lorq odwrócił się; na nocnym niebie eksplodowały fajerwerki. Był trochę zmęczony, trochę podekscytowany. Przeciął ulicę na skraju wyspy i oparł się o kamień blisko reflektora, który podświetlał tyły budynków na Ile. Po drugiej stronie rzeki, na nabrzeżu, przechadzali się ludzie, parami lub pojedynczo, przyglądając się fajerwerkom czy zabawie.

Jakaś dziewczyna za nim zaśmiała się głośno. Odwrócił się i

spojrzał na nią.

Miała maskę przedstawiającą rajskiego ptaka, błękitne pióra wokół czerwonych foliowych oczu, czerwony dziób, czerwony, pomarszczony grzebień.

Oddzieliła się od grupy i oparła o niski murek. Wiatr szarpał poły jej szkarłatnej sukienki; marszczyły się przy mosiężnych spinkach na ramionach, nadgarstkach i udach. Oparła nogę o kamień; jedna stopa odziana w sandał dotknęła gruntu, druga znalazła się cał nad nim. Długimi rękami (paznokcie też miała szkarłatne) zdjęła maskę. Położyła ją na murku, a wiatr rozczesał jej czarne włosy; opadły na ramiona, a potem się uniosły. Woda wirowała pod nimi jak ruchome piaski.

Odwrócił wzrok. Znow spojrzął na nią. Zmarszczył brwi.

Jej twarz, wyrazista i okrągła, podsunęła mu do głowy taką myśl: są dwa rodzaje piękna. W przypadku pierwszego rysy i kształty ciała są zgodne z pewnym standardem i nikogo nie urażają. Takie właśnie było piękno modelek i popularnych aktorek; w taki sposób była piękna Che-ong. I był drugi rodzaj piękna: jej oczy były jak zgniecione dyski z błękitnego jadeitu, jej kości policzkowe sterczały wysoko ponad białe przestrzenie jej szerokiej twarzy. Miała szeroki podbródek; usta cienkie, czerwone i szerokie. Miała prosty nos, który opadał z czoła aż do szerokich nozdrzy (oddychała, chłonąc wiatr - i gdy na nią patrzył, poczuł zapach rzeki, paryskiej nocy i powietrza miasta); jej rysy były zbyt surowe i gwałtowne, by mogły istnieć w twarzy takiej kobiety. Jednak potęga, która je jednoczyła, sprawiała, że musiał znow na nią spojrzeć; rozumiał to natychmiast, gdy odwrócił wzrok; musiał o niej pamiętać, gdy odszedł. Jej twarz była na swój sposób fascynująca; jakby jakaś piękna kobieta przygryzała policzki od środka.

- Lorq Von Ray? - spojrzała na niego.

Lorq zmarszczył brwi pod maską.

Pochyliła się nad kamieniami, którymi wyłożono bulwar.

- Wszyscy są tak daleko stąd - skinęła w stronę bawiących się na nabrzeżu. - O wiele dalej niż nam się wydaje. Albo im się wydaje. Cóż innego mieliby robić na naszym przyjęciu?

Lorq zdjął maskę i położył pirata obok jej ptaka z

grzebieniem.

Odwzajemniła jego spojrzenie.

- Więc tak wyglądasz. Przystojny jesteś.

- Skąd wiedziałaś, kim jestem?

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie przeszedł koło niej w tłumie jeszcze zanim weszli na mostek; czekał, aż może coś powie o jego zdjęciach, które czasem pojawiały się tu i tam w całej galaktyce, gdy wygrał jakieś regaty.

- Twoja maska. Dzięki niej cię rozpoznałam.

- Naprawdę? - uśmiechnął się. - Chyba nie rozumiem.

Łuki jej brwi stały się jeszcze ostrzejsze. Kilka sekund śmiechu: zbyt cichego, zbyt krótko.

- A ty? Kim jesteś? - spytał.

- Jestem Ruby Red.

Nadal była smukła. Gdzieś z jego pamięci mała dziewczynka znów stała w paszczy bestii.

Teraz Lorq się roześmiał.

- A co takiego było w mojej masce, że mnie zdradziło?

- Prince chętnie się tym, że będziesz ją nosił, odkąd wysłał ci zaproszenie przez twojego ojca i odkąd w ogóle pojawiła się szansa, że się pojawisz. Powiedz, czy jesteś po prostu uprzejmy, że zaspokajasz jego zachcianki i nosisz to paskudztwo?

- Wszyscy jakieś mają. Myślałem, że to całkiem niezły pomysł.

- Rozumiem - powiedziała to tonem, jakim zwykle wypowiada się bardzo ogólne stwierdzenia. - Brat powiedział, że wszyscy poznaliśmy się kiedyś, dawno temu - wszystko wróciło. - Ja... chyba bym cię nie rozpoznała. Ale teraz sobie przypominam.

- Ja ciebie pamiętam.

- Prince też. Miał wtedy siedem lat. To znaczy, że ja miałam pięć.

- Co robiłaś przez te kilkanaście lat?

- Dojrzewiałam z wdziękiem, a ty robiłeś za *enfant terrible* wyścigów po całych Plejadach, obnosząc się z nieuczciwie zdobytym majątkiem rodziców.

- Patrz! - wskazał gestem ludzi obserwujących ich z drugiego brzegu. Niektórzy najwyraźniej pomyśleli, że do nich macha; też zaczęli machać do niego.

Ruby zaśmiała się i pomachała im.

- Czy oni wiedzą, że jesteśmy kimś szczególnym? Bo ja dziś czuję się naprawdę szczególnie.

Uniosła twarz, zamykając oczy. Niebieskie fajerwerki zabarwiły jej powieki.

- Ci ludzie są za daleko i nie zobaczą, jaka jesteś piękna.

Znów na niego spojrzała.

- To prawda. Jesteś...

- My jesteśmy...

- ...bardzo piękna.

- Nie sądzisz, że mówienie takich rzeczy gospodyni jest bardzo niebezpieczne, kapitanie Von Ray?

- A ty nie sądzisz, że nie powinnaś takich rzeczy mówić gościowi?

- My jesteśmy niezwykli, kapitanie. Kiedy przyjdzie nam ochota, wolno nam flirtować z niebez...

Światła wokół nich zgasły.

W bocznej uliczce rozległ się krzyk. Girlandy kolorowych żarówek również zgasły. Lorq odwrócił się od nasypu, a Ruby ujęła go pod ramię.

Na całej wyspie latarnie i światła w oknach zamigotały raz i drugi. Ktoś krzyknął. Po chwili przywrócono zasilanie, a z nim wrócił śmiech.

- Mój brat! - Ruby potrząsnęła głową. - Wszyscy mu mówili, że z zasilaniem będzie problem, ale on się uparł, żeby oświetlić całą wyspę światłem elektrycznym. Mówił, że światło elektryczne to sam romantyzm, lepszy niż świetlówki, które były tu jeszcze wczoraj - i do jutra muszą wrócić z nakazu władz miejskich. Szkoda, że go nie widziałeś, jak szuka generatora. To piękny zabytek sprzed sześciuset lat, zajmuje cały pokój. Obawiam się, że Prince jest nieuleczalnym romantykiem...

Lorq nakrył jej dłoń swoją ręką.

Spojrzeła na niego i cofnęła dłoń.

- Muszę już iść. Obiecałam, że mu pomogę - w jej uśmiechu nie było ani odrobiny radości. Ostre rysy przybrały przejmujący wyraz. - Nie wkładaj już maski od Prince'a. - Podniosła z balustrady maskę rajskiego ptaka. - To, że on chce cię

upokorzyć, nie oznacza, że musisz się z tym obnosić przed wszystkimi.

Spojrzał na głowę pirata, zmieszany.

Foliowe oczy połyskiwały między błękitnymi piórami.

- Poza tym - rzekła stłumionym głosem - jesteś zbyt przystojny, żeby zakrywać się czymś tak pospolitym i brzydkim.

Po czym przeszła na drugą stronę ulicy i znikła w zatłoczonej alejce.

Spojrzał na chodnik, w jedną i w drugą stronę - i nie chciał tam być.

Pobiegł za nią, zanurkował w tłumie i dopiero mijając następną przecnicę zrozumiał, że ją śledzi.

Była piękna.

Ale to nie miało nic wspólnego z rozkoszą.

Ani z atmosferą przyjęcia.

Tylko jej twarz i to, jak wyglądała, gdy z nim rozmawiała.

Poczuł pustkę tak oczywistą, bo jeszcze chwilę temu był pełen jej twarzy, jej głosu, nawet mimo banalności tej rozmowy.

- ...problem w tym, że brak tam jakichś podwalin kulturowych
- Lorq spojrzał na bok; jakiś gryf przemawiał do stada zasłuchanych pancerników, małą i innych zwierząt. - Populacja przemieszcza się z planety na planetę i nie mamy już prawdziwej sztuki, tylko pseudomiędzyplanetarną...

Na ziemi przy drzwiach leżały maski przedstawiające głowę lwa i żaby. Gdzieś w ciemności Dan tańczył i pocił się, łaszcząc się do dziewczyny z cekinami na ramionach.

W połowie ulicy Ruby szła po schodach za metalowymi ozdobami o kształcie roślinnych zwojów.

- Ruby!

Podbiegł do niej,

- Hej, uważaj..

- Uważaj. Dokąd...

- Nie idź tak szybko...

Okrążył poręcz i pobiegł za nią po schodach.

- Ruby Red! - otworzył drzwi i wszedł za nią. - Ruby...?

Szerokie gobeliny między wąskimi lustrami całkowicie stłumiły jego głos. Drzwi przy marmurowym stole były

uchylone. Przeszedł przez hol i otworzył je.

Obróciła się w wirującym świetle.

Pod podłogą fale koloru zalewały pomieszczenie, migocząc w ciężkich, wykonanych z czarnego kryształu nogach mebli z epoki Republiki Węgi. Cofnęła się; nie rzucała cienia.

- Lorq! Co ty tu robisz?

Właśnie odłożyła ptasią maskę na jedną z okrągłych półek, które unosiły się w pomieszczeniu na różnych poziomach.

- Chciałem jeszcze z tobą porozmawiać.

Brwi Ruby wyglądały jak łuki nad oczami.

- Wybacz. Prince zaplanował wystawienie pantomimy na platformie przejeżdżającej przez środek wyspy o północy. Muszę się przebrać.

Jedna z półek podpłynęła w jego stronę. Zanim zdołała zareagować na temperaturę jego ciała i odpłynąć, Lorq zdjął z żyłkowej szklanej powierzchni butelkę z jakimś trunkiem.

- Naprawdę musisz się aż tak spieszyć? - uniósł butelkę. - Chciałem się dowiedzieć, kim jesteś, co robisz, co myślisz. Chcę ci opowiedzieć wszystko o mnie.

- Wybacz - obróciła się i ruszyła w stronę spiralnej windy, która miała zabrać ją na balkon.

Jego śmiech powstrzymał ją. Odwróciła się, by zobaczyć, co się stało.

- Ruby?

Nadal się odwracała, aż stanęła twarzą w twarz z nim.

Wykonał krok na falującej podłodze i położył ręce na gładkiej tkaninie opadającej jej na ramiona. Jego palce dotknęły jej rąk.

- Ruby Red... - modulacja jego głosu chyba ją zaskoczyła. - Zostań tu ze mną. Możemy polecieć do innego miasta, na inną planetę, do układu innego słońca. Czy widoczne stąd konstelacje jeszcze ci się nie znudziły? Znam planetę, z której widać takie gwiazdozbiory, jak Miot Szalonej Maciory, Mały i Duży Ryś, Oko Vahdamina.

Ruby zdjęła dwa kieliszki z przepływającej obok tacy.

- A tak przy okazji, co brałeś? - uśmiechnęła się. - Wszystko jedno, pasuje ci.

- Polecisz ze mną?

- Nie.

- Czemu? - Lorq nalał do kieliszków coś pieniącego się, barwy bursztynu.

- Po pierwsze - podała mu kieliszek, gdy odstawił butelkę na przepływającą obok tacę - dlatego, że to bardzo niegrzeczne. Nie wiem, jakie tam macie zwyczaje na Arce, ale na Ziemi gospodyni nie powinna opuszczać przyjęcia przed północą.

- A więc po północy?

- Po drugie - upiła łyk i zmarszczyła nos (wstrząsnęło nim, że na jej nieomal przejrzystej skórze mogło się pojawić coś tak ludzkiego jak zmarszczka) - Prince planował to przyjęcie od miesięcy, więc nie chcę sprawić mu przykrości niepojawieniem się w miejscu, w którym obiecałam się pojawić - Lorq dotknął jej policzka końcami palców. - Po trzecie - uniosła wzrok znad skraju kieliszka, by spojrzeć mu w oczy. - Jestem córką Aarona Reda, a ty jesteś ciemnoskórym, rudowłosym, wysokim i przystojnym synem - odwróciła głowę - jasnowłosego złodzieja!

Poczuł chłodne powietrze na końcach palców tam, gdzie przed chwilą było jej ramię.

Lorq położył dłoń na jej policzku, wsunął palce w jej włosy. Ruby cofnęła się i weszła do spiralnej windy. Winda zaczęła się wznosić.

- I nie jesteś wystarczająco dumny; pozwalasz Prince'owi, żeby tobą pomiatał.

Lorq wskoczył na skraj windy. Ruby cofnęła się, zaskoczona.

- Co ma oznaczać to całe gadanie o złodziejach, piratach i pomiataniu? - był zły, ale nie na nią, ale na mętlak, jaki wywołała w jego głowie. - Nie rozumiem i brzmi to wszystko jakoś tak, że wcale mi się nie podoba. Nie wiem, jakie zwyczaje panują na Ziemi, ale na Arce nie kpimy ze swoich gości.

Ruby spojrzała na swój kieliszek, potem w jego oczy, i znów na kieliszek.

- Wybacz.

I znów patrzyła mu w oczy.

- Wyjdź stąd, Lorqu. Prince będzie tu za parę minut. Nie powinnam w ogóle z tobą rozmawiać.

- Dlaczego? - pomieszczenie obracało się i opadało. - Z kim

masz rozmawiać, z kim nie powinnaś rozmawiać; nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale rozmawiasz z nami, jakbyśmy byli jakimiś maluczkimi - Lorq znów się roześmiał; niski dźwięk w jego piersi, który sprawił, że zaczęły mu dygotać ramiona. - Jesteś Ruby Red - ujął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Jej błękitne oczy przez chwilę płonęły. - I ty traktujesz te wszystkie bzdury opowiadane przez maluczkich serio?

- Lorqu, powinienes już...

- Jestem Lorq Von Ray! A ty jesteś Ruby, Ruby, Ruby Red!

Winda już minęła pierwszy balkon.

- Lorqu, proszę. Muszę...

- Musisz wyjechać ze mną! Uciekniesz ze mną na rubieżę Drako, Ruby? Polecisz ze mną na Arkę? Nie byłeś tam nigdy, i twój brat też nie. Albo leć ze mną na São Orini. Mamy tam dom, przecież go pamiętasz, a to już na skraju galaktyki... - wznosili się obok drugiego balkonu, w stronę trzeciego. - Będziemy się bawić za bambusami, na języku kamiennego smoka...

Krzyknęła. Taca z żyłkowanego szkła uderzyła w sufit windy; odłamki spadły na nich.

- Prince! - odsunęła się od Lorqa i spojrzała w dół, stojąc na skraju windy.

- ZOSTAW JĄ! - srebrna rękawica wyrwała kolejną półkę z pola indukcyjnego, dzięki któremu przedmioty mogły unosić się w powietrzu, i cisnęła ją w ich stronę. - Szlag by cię trafił, ty... - Prince aż zamilkł, dysząc z wściekłości, po czym wrzasnął: - Wynoś się!

Drugi dysk przeleciał z sykiem koło ich ramion i roztrzaskał się na podłodze balkonu. Lorq machnął ręką, by osłonić się przed odłamkami.

Prince biegł w stronę klatki schodowej, która znajdowała się z lewej strony wielopoziomowego pomieszczenia. Lorq wypadł z windy i biegł po wyłożonym dywanem balkonie, aż dotarł do szczytu tych samych schodów - Ruby biegła za nim - i spojrzał w dół.

Spotkali się na pierwszym balkonie. Prince trzymał się obu

poręczy i dyszał z wściekłości.

- Prince, co w ciebie, u licha, wstąpiło?

Prince skoczył w jego stronę. Srebrzysta rękawica zadzwoniła o balustradę, przy której stał Lorq. Mosięzna belka wygięła się, metal rozdarł się.

- Złodziej! Rabuś! - syczał Prince. - Morderca! Łajdak!

- O czym ty mówisz?

- ...łajdackie plemię. Jak dotkniesz mojej... - ramię znów uderzyło.

- Nie, Prince!

(To Ruby).

Lorq skoczył z balkonu i spadł na podłogę, dwanaście stóp niżej. Wylądował, upadł na ręce i kolana w kałużę czerwonego światła, które zmieniło się w żółte, a potem w zielone.

- Lorq...!

(Znów Ruby).

Przetoczył się w wielobarwnym świetle - i zobaczył Ruby przy balustradzie, z rękami przy ustach. Prince oderwał się od balustrady, już był w powietrzu i leciał w jego stronę. Srebrzysta pięść wylądowała w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa Lorqa.

Łup.

Lorq wstał i cofał się, chwiejąc, próbując odzyskać oddech. Prince nadal leżał.

Wielobarwna podłoga trzasnęła pod jego pięścią. Pęknięcia rozeszły się na metr od miejsca uderzenia. Wzór zastygł jak wybuch słoneczny wokół punktu rozbłysku.

- Ty... - zaczął Lorq. Dyszał ciężko i płątał się w słowach. - Ty i Ruby, czy wy oszaleliście?

Prince kiwał się, klęcząc. Na jego twarzy malowały się wściekłość i ból. Wargi mu drżały, odsłaniając drobne zęby, powieki dygotały nad turkusowymi oczami.

- Ty komediancie, ty świnió, przylatujesz na Ziemię i ośmielasz się pchać z łapami do...

- Prince, proszę! - w jej głosie pobrzmiwało napięcie. Cierpienie. Piękno rysów rozprysło w krzyku.

Prince wstał, chwycił kolejną z unoszących się w powietrzu

półek. Cisnął nią, wyjąc.

Lorq krzyknął; półka rozcięła mu ramię i uderzyła w drzwi balkonowe za nim.

Drzwi otwały się i chłodne powietrze wpadło do pomieszczenia. Z ulicy sączył się śmiech.

- Dopadnę cię! Dorwę cię... - rzucił się na Lorq - i zrobię ci krzywdę.

Lorq obrócił się, zeskoczył z kutego żelaza i rzucił się w tłum.

Krzyczeli, gdy przedzierał się między ludźmi. Czuł uderzenia rąk na twarzy, piersi; chwyтали go za ramiona. Krzyk - i śmiech - stawał się coraz głośniejszy. Prince musiał być tuż za nim, bo wołali:

- Kim oni są...? Hej, uważajcie...

- Oni się biją! Patrzcie, to Prince!

- Zatrzymajcie ich! Zatrzymajcie! Co oni...

Lorq wyrwał się z tłumu, uderzył o balustradę. Na sekundę pędząca Sekwana i mokre skały znalazły się pod nim. Cofnął się i obrócił, by spojrzeć.

- Puśćcie mnie! - wył gdzieś w dumie Prince. - Puśćcie moją rękę! Moja ręką, puśćcie moją rękę!

Wspomnienia wróciły i zaczął się trząść. Niepokój zmienił się w strach.

Kamienne stopnie za nim prowadziły w stronę rzeki. Pobiegł, a gdy dotarł do ich końca, usłyszał innych z tyłu.

Oślepiło go światło. Lorq potrząsnął głową. Promień światła pełzał po mokrym chodniku, po obrośniętej mchem ścianie za nim - ktoś skierował tu reflektor, by dało się coś zobaczyć.

- Puśćcie moją... - usłyszał głos Prince'a, wybijający się ponad pozostałych. - Dorwę go!

Prince pobiegł po schodach; światło odbijało się od skał. Zatrzymał się na samym dole, spojrział na oświetloną rzekę, mrużąc oczy.

Naderwana kamizelka zwisała mu z ramienia. Podczas szamotaniny stracił swoją długą rękawiczkę.

Lorq cofnął się.

Prince uniósł ramię: miedziana siatka i zdobione klejnotami kondensatory oplatały czarną, metalową kość; krążki terkotały

w przezroczystej obudowie.

Lorq cofnął się jeszcze o krok.

Prince rzucił się do przodu.

Lorq uskoczył w stronę ściany. Dwaj chłopcy zawirowali wokół jednej osi.

Goście tłoczyli się przy balustradzie, napierali na poręcz. Lisy i jaszczurki, orły i owady, wszyscy podskakiwali, usiłując coś zobaczyć. Ktoś potknął się o reflektor i odbita w wodzie menażeria zadygotała.

- Złodziej! - wąska pierś Prince'a trzęsa się w spazmach. - Pirat! - w górze eksplodowała rakietą. Rozległ się huk. - Jesteś śmieciem, Lorqu Von Ray! Jesteś mniej niż...

Teraz skoczył Lorq.

Poczuł, jak gniew rośnie w jego piersi, oczach, rękach. Jedna pięść trafiła w bok głowy Prince'a, druga uderzyła w żołądek. Ruszył, dysząc dumą, furią podsycaną zdumieniem, gęstym upokorzeniem rozgniatającym oddech o żebra; walczył przed fantastycznymi widzami. Uderzył znów, na oślep.

Proteza Prince'a wystrzeliła.

Prince uderzył go pod brodą, wyprostowanymi płasko palcami. Dłoń przebiła skórę, zgrzytnęła o kość, przesunęła się w górę, rozdarła wargę, policzek i czoło. Poszarpane strzępy tłuszczu i mięśni.

Lorq krzyknął, z ustami zalany krwią, i upadł.

- Prince! - Ruby (usiłująca zobaczyć, co się dzieje; to ona przechyliła reflektor) stała pod ścianą. Czerwona sukienka i ciemne włosy falowały na wietrze wiejącym od rzeki. - Prince, nie!

Prince cofnął się, dysząc. Lorq leżał twarzą do ziemi, z jedną dłonią w wodzie. Krew sączyła się z jego głowy i ściekała na kamienie.

Prince obrócił się gwałtownie i ruszył w stronę schodów. Ktoś przekreślił reflektor znów w górę i światło padło na gapiów stojących na nabrzeżu Sekwany. Potem słup światła powędrował w górę, po fasadach domów i oknach na Ile.

Ludzie przy balustradzie zaczęli się odwracać.

Ktoś ruszył w dół po schodach i próbował zagrozić drogę

Prince'owi, ale po sekundzie cofnął się. Plastikowa maska szczura oderwała się od poręczy. Ktoś ujął ją za przezroczyste winylowe ramię i zaczął prowadzić. Muzyka z dziesiątków epok wypełniała wyspę.

Głowa Lorqa podskakiwała w rytm fal. Rzeka omywała jego ramię.

Nagle na ścianę wspiął się lew, zeskoczył bosy na kamienne płyty. Gryf zbiegł schodami w dół i przykląkł przy nim na jedno kolano.

Dan zdjął maskę i rzucił ją na stopnie. Spadła z łoskotem i odtoczyła się o stopę. Za nią poleciała głowa giyfa.

Brian odwrócił Lorqa.

Dan poczuł, jak oddech więźnie mu w gardle; wypuścił powietrze ze świstem.

- Nieźle kapitana poharatał, nie?

- Dan, musimy wezwać patrol czy coś. Nie można robić takich rzeczy!

Krzaczaste brwi Dana powędrowały w górę.

- A czemu, u licha, uważasz, że nie można? Pracowałem już dla skurwieli, którzy mieli znacznie mniej pieniędzy niż Red Shift, a robili jeszcze gorsze rzeczy.

Lorq jęknął.

- Medkapsuła! - rzekł Brian. - Skąd tu wziąć medkapsułę?

- On żyje. Zabierzemy go z powrotem na statek. Kiedy się ocknie, biorę moją forszę i uciekam z tej przeklętej planety! - Dan spojrzał w stronę rzeki i na drugi brzeg, z bliźniaczymi wieżami Notre Dame. - Ziemia jest za mała, by pomieścić mnie i Australię. Muszę uciekać.

Podłożył jedną rękę pod kolana Lorqa, a drugą pod jego ramiona i wstał z kolan.

- Zamierzasz go tak nieść?

- A masz jakiś inny pomysł na zabranie go z powrotem na statek? - Dan ruszył w stronę schodów.

- Ale musi być jakiś... - Brian szedł za nimi. - Musimy coś zrobić...

Coś syknęło na wodzie. Brian obejrzał się.

O nabrzeże zaskrobało skrzydło śmigacza.

- Dokąd zabieracie kapitana Von Raya? - siedząca na przednim fotelu Ruby miała teraz na sobie ciemny płaszcz.
- Zabieramy go na pokład jachtu, droga pani - odparł Dan. - Wygląda na to, że nie jest tu mile widziany.
- Przynieście go na łódź.
- Chyba nie pozwolimy, żeby ktokolwiek na tej planecie go dotykał.
- Jesteście jego załogą?
- Zgadza się - odparł Brian. - A co, chciałaś zabrać go do lekarza?
- Chciałam zabrać go na lądowisko De Blau. Powinniście jak najszybciej zabrać go z Ziemi.
- Dobry pomysł - rzekł Dan.
- Połóżcie go tutaj. Pod siedzeniem jest apteczka. Spróbujcie zatamować krwawienie.

Brian wszedł na pokład kołyszącego się śmigacza i sięgnął pod siedzenie. Wygrzebał plastikowe pudełko spośród szmat i łańcuchów. Śmigacz zakołysał się znów, gdy wszedł tam Dan. Ruby, na przednim fotelu, sięgnęła po kabel sterowniczy i wpięła go sobie do nadgarstka. Pojazd ruszył z sykiem do przodu. Mała łódka wzniosła się na strumieniu powietrza i przyspieszyła, Pont Saint-Michel, Pont Neuf i Pont des Arts rzucały cienie na łódkę. Paryż błyszczał na brzegach rzeki.

Kilka minut później rozporki wieży Eiffla przesunęły się, odsłaniając budynki po lewej, oświetlone na tle nocnego nieba. Po prawej, nad pochyłą powierzchnią kamienia i za sykomorami, ostatni spóźnieni spacerowicze maszerowali pod latarniami wzdłuż Allee des Cygnes.

Federacja Plejad, Arka, Nowa Arka, 3162

- Dobrze - oznajmił ojciec. - Powiem ci.
- Chyba powinien coś zrobić z tą bliźną - odezwało się oblicze matki z kolumny wyświetlaczowej. - Minęły już trzy dni, a im dłużej on nic z tym nie robi...
- Jeśli chce wyglądać, jakby w jego głowie doszło do trzęsienia

ziemi, to jego sprawa - odparł ojciec. - Teraz jednak chciałbym odpowiedzieć na jego pytanie - zwrócił się do Lorqa. - Tylko żeby ci to wyjaśnić - podszedł do okna i spojrzął na miasto - muszę ci opowiedzieć pewną historię. Coś zupełnie innego, niż uczą cię w Causby.

Na Arce był środek lata.

Za szklaną ścianą wichry ciskały łososiowymi chmurami po niebie. Gdy podmuch był silniejszy, błękitne żyłki irysów na ścianie po zawietrznej kurczyły się, tworząc jasne mandale, a potem rozszerzały, gdy ucichł wicher wiejący z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę.

Palce matki, ciemne, zdobione pierścieniami, poruszyły się, otaczając filiżankę.

Ojciec założył ręce na plecach i przyglądał się chmurom rozdieranym jak szmaty i ciskanym ze szczytów Tongu.

Lorq rozsiadł się wygodnie na mahoniowym krześle i czekał.

- Co uważasz za najważniejszą cechę współczesnego społeczeństwa?

- Brak stabilnych podwalin kulturowych...? - zaryzykował po chwili.

- Zapomnij o tym, czego uczą cię w Causby. Zapomnij o tym, co ludzie paplają, kiedy mają poczucie, że powinni powiedzieć coś dobitnego. Jesteś młodym człowiekiem, który pewnego dnia obejmie kontrolę nad jedną z największych fortun w galaktyce. Kiedy zadam ci pytanie, chciałbym, żebyś - udzielając mi odpowiedzi - pamiętał o tym, kim jesteś. Oto społeczeństwo, gdzie w przypadku dowolnego wyrobu może zaistnieć sytuacja, iż jego połowa może być produkowana na jednej planecie, a druga w odległości tysięcy lat świetlnych od niej. Na Ziemi siedemnaście z setek istniejących pierwiastków stanowi dziewięćdziesiąt procent planety. Gdyby przyjrzeć się innej planecie, kilkanaście innych pierwiastków znów będzie stanowiło od dziewięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent. Istnieje dwieście sześćdziesiąt pięć zamieszkałych planet i satelitów w stu siedemnastu układach, które tworzą Drako. Populacja Federacji to trzy czwarte populacji Drako, rozsiane na trzystu dwunastu światach.

Czterdzieści dwie zaludnione planety Kolonii Zewnętrznych...

- Transport - rzekł Lorq. - Transport z jednej planety na drugą. To masz na myśli.

Ojciec oparł się o kamienny stół.

- Mam na myśli *koszty* transportu. I od dawna najważniejszym czynnikiem mającym wpływ na transport jest ilirion, bo to jedyny sposób na przetrzymywanie statków między planetami, między gwiazdami. Kiedy mój dziadek był w twoim wieku, ilirion był produkowany sztucznie, kilka miliardów atomów na raz, a koszty były ogromne. Mniej więcej wtedy odkryto ciąg gwiazd, młodszych gwiazd, znacznie bardziej oddalonych od centrum galaktyki, a na ich planetach odkryto niewielkie ilości naturalnego ilirionu. Zaś prowadzenie na tych planetach działalności górniczej na dużą skalę było możliwe dopiero w czasach, gdy ty się urodziłeś. Te planety to teraz Kolonie Zewnętrzne.

- Lorq o tym wie - wtrąciła matka. - Sądzę, że powinien...

- Czy wiesz, dlaczego Federacja Plejad to ciało polityczne niezależne od Drako? Czy wiesz, dlaczego Kolonie Zewnętrzne wkrótce zyskają niepodległość, zarówno od Drako, jak i Plejad?

Lorq spojrział na swoje kolano, potem na kciuk, potem na drugie kolano.

- Tato, zadajesz mi pytania, a nie odpowiadasz na moje.

Ojciec wziął głęboki oddech.

- Ależ próbuję. Zanim ludzie osiedlili się na Plejadach, ekspansję w Drako prowadziły rządy krajów ziemskich, lub korporacje, podobne do Red Shift - korporacje lub rządy, które stać było na pokrycie początkowych kosztów transportu. Organizacje ziemskie były właścicielami kolonii, one nimi zarządzały i nad nimi panowały. Stały się częścią Ziemi, a Ziemia stała się centrum Drako. W tych czasach istniał jeszcze jeden problem techniczny, który próbowali rozwiązać dawni inżynierowie z Red Shift, a mianowicie budowa statków o bardziej precyzyjnych zakresach częstotliwości, dzięki którym można było pokonywać bardziej „zaśmiecone” regiony kosmosu, jak swobodne mgławice międzygwiazdne, oraz regiony, gdzie gwiazdy występują dość gęsto, jak Plejady;

gęstość rozsypanej materii międzygwiazdnej jest tam znaczna. Coś takiego jak mgławica spiralna nadal może przysporzyć kłopotów takiemu jachtowi jak twój, a dwieście pięćdziesiąt lat temu mogłoby całkowicie unieruchomić statek. Twój prapradziadek, kiedy eksploracja Plejad dopiero się zaczynała, był doskonale świadom tego, o czym właśnie ci opowiadam: że koszt transportu to najważniejszy czynnik w naszym społeczeństwie. A w przypadku samych Plejad koszt transportu jest znacząco mniejszy niż w przypadku Drako.

Lorq zmarszczył brwi.

- Masz na myśli odległości?

- Środkowa część Plejad mierzy zaledwie trzydzieści osiem lat świetlnych na osiemdziesiąt pięć. W tej przestrzeni znajduje się aż trzysta słońc, a odległość między wieloma z nich jest mniejsza niż jeden rok świetlny. Słońca Drako są rozrzucone po całym ramieniu galaktyki, które mierzy prawie siedemnaście tysięcy lat świetlnych. Różnica w kosztach jest olbrzymia: pokonywanie niewielkich odległości w gromadzie Plejad w porównaniu z ogromnymi odległościami w Drako. W rejon Plejad przybywali więc zupełnie inni ludzie: małe firmy, które chciały zacząć tam działać i przenosiły się z całym dobrodziejstwem inwentarza; spółdzielnie zakładane przez kolonistów; nawet osoby prywatne - owszem, byli to majątni obywatele, ale nadal występowali jako osoby fizyczne. Twój prapradziadek przybył tu z trzema komercyjnymi liniowcami wypełnionymi złomem, prefabrykowanymi budynkami chroniącymi przed zimnem i upałem, przeznaczonym na złom sprzętem górniczym, użytkowym w różnych strefach klimatycznych. W większości przypadków zapłacono mu, żeby to zabrał z Drako. Nawiasem mówiąc, dwa z tych liniowców zostały skradzione. Zdobył także parę dział atomowych. Latał od jednej osady do drugiej i oferował swoje towary. I wszyscy od niego kupowali.

- Zmuszał ich do kupna, mierząc w nich z armaty?

- Nie. Oferował im dodatkową usługę, przez co nabywanie złomu stawało się opłacalne. Widzisz, to, że koszty transportu były niższe, wcale nie powstrzymywało państw i wielkich

korporacji przed próbami urwania części tortu. A dziadek strzelał do wszystkich statków, na pokładzie których znajdował się jakiś dziedzic wielomilionowej fortuny z Drako, czy emisariusz jakiegoś monopolu próbującego wkroczyć na nowe terytorium - dziadek po prostu ich rozwał.

- Łupił też? - spytał Lorq. - Rabował szczątki?

- O tym nigdy mi nie mówił. Wiem tylko, że miał wizję - uważał się za samolubnego, egocentrycznego najemnika i tak się zawsze zachowywał, kosztem innych. Nie dopuścił, by w ciągu pierwszych lat istnienia osadnictwa na Plejadach, kiedy wszystko się tworzyło, region ten został zagarnięty przez Drako. Sądził, że niepodległość Plejad daje mu szansę; szansę, by stał się jednym z najpotężniejszych ludzi w organizmie państwowym, który kiedyś może stawić czoło Drako. Prapradziadkowi udało się to osiągnąć, kiedy mój ojciec nie miał jeszcze nawet tyle lat, co ty teraz.

- Nadal nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z korporacją Red Shift.

- Red Shift była jedną z tych megakorporacji, które podejmowały najbardziej zorganizowane wysiłki mające na celu zagarnięcie części Plejad. Próbowwała rościć sobie prawa do kopalni toru, którymi teraz zarządza ojciec twojego kolegi ze szkoły, doktor Setsumi. Próbowwała zacząć zbiór plastikowych porostów na Kirke IV. I za każdym razem dziadek stawał jej na drodze. Red Shift jest w zasadzie firmą transportową, a jeśli koszty transportu przypadające na jeden wyprodukowany statek spadną, poczuje nóż na gardle.

- I dlatego Prince Red nazywa nas piratami?

- Parę razy Aaronowi Redowi Pierwszemu - ojciec Prince'a jest Trzeci - zdarzyło się wysłać co bardziej zadzierających nosa bratanków w charakterze dowódców ekspedycji na któreś z planet Plejad. O ile pamiętam, było ich trzech. Nigdy nie wrócili. Jeszcze za czasów mojego ojca właśnie rodowe były raczej kwestią osobistą. Oczywiście doszło do działań odwetowych i trwały one jeszcze po ogłoszeniu przez Plejady niepodległości, co nastąpiło w roku dwudziestym szóstym. Kiedy byłem młody, w twoim wieku, postanowiłem, że położę

im kres. Mój ojciec przeznaczył sporo pieniędzy na Harvard na Ziemi, wybudował tam laboratorium, a potem posłał mnie tam na studia. Na Ziemi poślubiłem twoją matkę i spędziłem dużo czasu na rozmowach z Aaronem - ojcem Prince'a. Nie było to zbyt trudne, bo niepodległość Plejad uznawano już od pokolenia, a korporacji Red Shift od dawna już nic z naszej strony nie groziło - przynajmniej bezpośrednio. Mój ojciec kupił kopalnię ilirionu na Nowej Brazylii - było to w czasach, kiedy górnictwo w Zewnętrznych Koloniach było jeszcze w powijakach, głównie po to, by mieć pretekst do postępowania wobec Red Shift w sposób formalny. Nigdy nie opowiadałem ci o tej waśni rodowej, bo nie było takiej potrzeby.

- W takim razie Prince jest po prostu szalony, skoro wyciąga jakieś stare urazy, które ty i Aaron załagodziliście jeszcze przed naszymi narodzinami.

- Nie będę komentował zdrowia psychicznego Prince'a. Musisz jednak pamiętać o jednym: jaki czynnik ma dziś największy wpływ na koszty transportu?

- Kopalnię ilirionu w Koloniach Zewnętrznych.

- Nóż znów zbliża się do gardła Red Shift - rzekł ojciec. - Rozumiesz to, prawda?

- Wydobywanie ilirionu w sposób naturalny jest o wiele tańsze niż wytwarzanie go.

- Nawet jeśli wymaga przrzucania milionowych populacji. Nawet gdyby kilkadziesiąt firm konkurencyjnych z Drako i Plejad uruchomiło kopalnię we wszystkich Koloniach Zewnętrznych i dotowało szeroko zakrojoną migrację siły roboczej w całej galaktyce. Co natychmiast przychodzi ci do głowy, kiedy pomyślisz o porównaniu Kolonii Zewnętrznych z Drako i Plejadami?

- Mają na miejscu cały ilirion, jaki jest im potrzebny.

- Tak. Lecz nie tylko: rozszerzenie Drako odbyło się dzięki klasie zamożnych obywateli z Ziemi. Plejady zasiedliła raczej klasa średnia. Choć Kolonie Zewnętrzne zostały założone zarówno przez bogaczy z Drako, jak i z Plejad, populacja kolonii wywodzi się z najniższych warstw społecznych galaktyki. Połączenie różnic kulturowych - nie obchodzi mnie,

jak to nazywają twoi nauczyciele socjologii z Causby - i różnic w kosztach transportu zdecydowało ostatecznie o niezależności Kolonii Zewnętrznych. I nagle Red Shift atakuje kogoś, kto znów ma dostęp do ilirionu - wskazał gestem syna. - Bo przecież zostałeś zaatakowany.

- Ale my mamy tylko jedną kopalnię ilirionu. Nasz majątek pochodzi z zarządzania kilkunastoma różnymi firmami w całych Plejadach, jak i paru w Drako. Kopalnia na São Orini to drobiazg...

- To prawda. A zauważyłeś, jakimi firmami *nie* zarządzamy?

- Co masz na myśli, tato?

- Prawnie nie inwestujemy w budownictwo ani produkcję żywności. Działamy w branży komputerów, małych komponentów technicznych; produkujemy obudowy do baterii ilirionowych; wytwarzamy wtyczki i gniazda; wydobywamy spore ilości innych surowców. Kiedy ostatnim razem widziałem Aarona, podczas jego podróży, powiedziałem mu, oczywiście żartobliwie: „Wiesz, gdyby tylko cena ilirionu spadła o połowę, za rok moglibyśmy produkować statki kosmiczne za połowę tej ceny, jakiej żądacie za nie dziś”. I wiesz, co mi odpowiedział, także żartobliwym tonem?

Lorq potrząsnął głową.

- „Wiem o tym od dziesięciu lat”.

Obraz matki odstawił filiżankę.

- On *musi* coś zrobić z tą twarzą. Jesteś tak przystojnym chłopcem, Lorqu, i minęły już trzy dni, odkąd ten Australijczyk przywiózł cię do domu. Ta blizna po prostu...

- Dano - przerwał jej ojciec. - Lorqu, czy przychodzi ci do głowy jakiś sposób na obniżenie cen ilirionu o połowę?

Lorq zmarszczył brwi.

- A czemu pytasz?

- Wyliczyłem, że przy obecnym tempie ekspansji w ciągu piętnastu lat Kolonie Zewnętrzne będą w stanie obniżyć koszt ilirionu o jedną czwartą. Przez ten czas ludzie z Red Shift będą próbowali nas zabić - zamilkł na chwilę. - Wydrzeć wszystko Von Rayom, a ostatecznie całej Federacji Plejad. Ale upadek, który nas czeka, trochę potrwa. Jest tylko jeden sposób na

przeżycie: zabić ich najpierw; a możemy to osiągnąć wyłącznie wymyślając, jak obniżyć ceny ilirionu o połowę, zanim spadnie do trzech czwartych - i jak budować statki. - Ojciec założył ręce na piersi. - Nie chciałem cię w to mieszać, Lorqu. Miałem nadzieję, że całą tę sprawę uda się zakończyć jeszcze za mojego życia. Prince jednak zadał cios pierwszy. Muszę więc powiedzieć ci, co się stało.

Lorq patrzył na swoje dłonie.

- Odpowiem ciosem - rzekł po chwili.

- Nie - wtrąciła matka. - Nie tak załatwiamy takie sprawy, Lorqu. Nie możesz zaatakować Prince'a, nie możesz nawet myśleć o powrocie na...

- Nie zamierzam - wstał i podszedł do okna. - Mamo, tato, wychodzę.

- Lorqu - rzekł ojciec, rozkładając ręce - Nie chciałem cię martwić. Po prostu chciałem, żebyś wiedział...

Lorq rozsunął brokatowe zasłony.

- Idę do „Kalibana”. Do widzenia.

Zsunął zasłony z powrotem.

- Lorqu...

Nazywał się Lorq Von Ray i mieszkał przy Extol Park 12, w Arce, stolicy Federacji Plejad. Maszerował wzdłuż ruchomej drogi. Zimowe ogrody miasta kwitły za ekranami chroniącymi przed wiatrem. Ludzie przyglądali się mu. A właściwie bliźnie. Rozmyślał o ilirionie. Ludzie patrzyli na niego i odwracali wzrok, gdy odwzajemniał spojrzenie. Tu, pośrodku Plejad, on sam był środkiem, ogniskiem. Kiedyś spróbował obliczyć kwotę, jaką mógł odziedziczyć po najbliższej rodzinie. Skupiały się w nim miliony, gdy tak mijał przezroczyście ściany osłoniętych domów Arki, słuchając, jak błyszczące porosty zawodzą w zimowych ogrodach. Jak kiedyś poinformował go jeden z księgowych ojca - co piąta spotykana na ulicy osoba dostawała pensję od Von Rayów, pośrednio lub bezpośrednio. A korporacja Red Shift była gotowa wypowiedzieć wojnę całej budowli, jaką stworzyła rodzina Von Rayów, wszystkiemu, co skupiało się w nim jako dziedzicu ich fortuny. Na São Orini podobne do jaszczurki stworzenia o białej, pierzastej grzywie,

przemierzały dżunglę, sycząc. Górnicy łapali je, głodzili i zmuszali do walki, obstawiając wynik pojedynku. Wiele milionów lat temu te trzystopowe jaszczury były wielkimi bestiami, o długości setek metrów, i inteligentna rasa, która zamieszkiwała Nową Brazylię, czciła je, rzeźbiąc naturalnej wielkości kamienne głowy nad fundamentami świątyń. Ta rasa już nie istniała. A potomstwo jej bogów, skarłałe wskutek ewolucji, drapało, piszczalo i gryzło, wrzucane do jamy i wykpiwane przez pijanych górników. A on nazywał się Lorq Von Ray. I jakoś musiał sprawić, by cena ilirionu spadła o połowę. Można było zarzucić nim rynek. Ale skąd zdobyć coś, co było prawdopodobnie najrzadszą substancją we wszechświecie? Nie można wlecieć do środka słońca i zaczerpnąć trochę z pieca, gdzie wszystkie substancje galaktyki łączą się w czwórki z surowej materii nuklearnej. Dostrzegł swoje odbicie w jednej z lustrzanych kolumn i zatrzymał się, nim skręcił w stronę Nea Limani. Szczelina zniekształcała mu rysy; miał pełne usta i żółte oczy. W miejscu, gdzie blizna nabierała dziwacznej, czerwonej barwy, dostrzegł coś dziwnego. Nowe włosy, które tam rosły, miały taki sam kolor i fakturę, jak włosy jego ojca, miękkie i żółte jak płomień.

Skąd wziąć aż tyle ilirionu? (Odwrócił się od lustrzanej kolumny). Skąd?

- Ty mnie o to pytasz, kapitanie? - Dan podniósł swój kufel z obrotowej platformy i oparł go o kolano. - Gdybym wiedział, nie włożyłbym się tutaj - sięgnął w dół, zdjął uchwyt kufła z palców stopy i wypił połowę. - Dzięki za drinka.

Otarł nadgarstkiem usta, obrośnięte szczeciną i pokryte pianą.

- Kiedy zamierzasz coś zrobić z tą twarzą?

Lorq rozsiadł się wygodnie i patrzył na przezroczysty sufit. Światła lądowiska były tak jasne, że widać było tylko kilkaset najjaśniejszych gwiazd. Na dachu zamykała się przypominająca kalejdoskop przesłona. Pomiędzy błękitnymi, fioletowymi i cynobrowymi listkami lśniła gwiazda

- Kapitanie, jeśli chcesz wyjść na balkon...

Na drugim poziomie baru przez spadającą wodę widać było oficerów frachtowców i załogi liniowców, mieszające się ze sportowcami, którzy dyskutowali o prądach i warunkach w kosmosie. Na niższym poziomie tłoczyli się mechanicy i komercyjni wszczępieńcy. W kącie grano w karty.

- Muszę sobie znaleźć jakąś robotę, kapitanie. To, że mogę spać w tylnej kajucie „Kalibana” i upijać się co wieczór, za bardzo mi nie pomaga. Powinieneś się gdzieś wypuścić.

Wiatr znów zawiał; przesłona zadygotała nad żetonem o kształcie rombu.

- Dan, czy ty kiedykolwiek... - zastanawiał się Lorq - zdawałeś sobie sprawę z tego, że każde słońce, które mijamy podróżując, to tygiel, w którym topią się planety imperium? Każdy pierwiastek, z tych setek, które znamy, jest stapiany z pierwotnej materii jądrowej. Weźmy ten tutaj - wskazał na przezroczysty dach - czy jakkolwiek inny: właśnie w tej chwili powstaje tam złoto, rad, azot, antymon - w ogromnych ilościach, większych niż masa Arki czy Ziemi. I jest tam też ilirion, Dan - zaśmiał się. - Wyobraźmy sobie, że jest jakiś sposób, by zaczerpnąć z takiej gwiazdy i wziąć wszystko, czego tylko potrzebujemy - znów się roześmiał, ale śmiech uwiązł w jego piersi, gdzie płonął gniew, rozpacz i wściekłość. - Wyobraźmy sobie, że możemy stanąć na skraju jakiejś gwiazdy, która właśnie zmieniła się w Nową, i złapać trochę materii, gdy wybuch do nas dotrze - ale Nove implodują, nie eksplodują, prawda, Dan? - żartobliwym gestem dotknął ramienia wszczępieńca. Piwo przelało się przez skraj kufła.

- Kapitanie, ja kiedyś byłem w środku nowej - Dan oblizał wierzch dłoni.

- Byłeś? - Lorq oparł głowę o wyścielane oparcie. Otoczona aureolą gwiazda zamrugła.

- Statek, na którym służyłem, został schwytyany przez Nową. To musiało być jakieś dziesięć lat temu.

- I cieszyłeś się, że cię akurat nie było na pokładzie?

- Byłem. I poleciliśmy tam jeszcze raz.

Lorq przestał oglądać sufit.

Dan pochylił się na zielonej ławce, oparł gruzłowate łokcie o kolana. Otoczył kufel dłońmi.

- Byłeś?

- Tak - Dan spojrział na ramię, na którym zawiązał niezgrabnie kawałek koronki z kamizelki. - Wpadliśmy tam i wydostaliśmy się.

Przez twarz Lorq przemknęło zdumienie.

- Hej, kapitanie, wyglądasz, jakbyś był rozszoszczony!

Do tej chwili Lorq już z pięć razy przyglądał się swojej twarzy w lustrze, dochodząc do wniosku, że maluje się na niej tylko jedno, odkrywając, że blizna stała się czymś, co było naprawdę zdumiewające.

- Co się stało, Dan?

Australijczyk zajął się swoim kuflem. Zostało już tam tylko trochę piany na dnie.

Lorq przycisnął płytkę do zamawiania na podłokietniku. Dwa piwa zaczęły zataczać wokół nich kręgi, piana topniała.

- Właśnie tego potrzebowałem, kapitanie - Dan wyciągnął stopę. - Jeden dla ciebie. Proszę. I jeden dla mnie.

Lorq pociągnął łyk i wyciągnął nogi, opierając je na obcasach sandałów. Jego twarz nie wyrażała niczego. Nic się tam nie poruszało.

- Słyszałeś o Instytucie Alkańskim? - Dan zaczął mówić głośniej, by przebić się przez wiwaty i śmiechy, które dobiegały z rogu; dwaj mechanicy zaczęli mocować się na trampolinie. Widzowie unieśli w górę drinki. - Na Vorpis, w Drako, mają duże muzeum z laboratoriami. I tam badają takie rzeczy, jak Nove.

- Moja ciotka jest tam kustoszem - choć Lorq mówił cicho, jego słowa było słychać wyraźnie pośród krzyków.

- Taak? Tak czy inaczej, wysyłają ludzi, kiedy chcą dostać informacje o jakiejś gwiazdzie, która zaczyna...

- Patrz! Wygrywa ona!

- Nie! Ją za ramię on ciągnie!

- Hej, Von Ray, mężczyzna czy kobieta wygra, jak myślisz? - grupa oficerów zeszła w dół po rampie, by obserwować pojedynek. Ktoś klepnął Lorq'a w ramię, po czym wystawił dłoń.

Leżało na niej dziesięć funtów @sg.

- Dziś zakładać się nie chcę - Lorq odsunął dłoń.

- Lorqu, dwa razy tyle na kobietę postawię...

- Pieniądze tve jutro wezmę - odparł Lorq. - A teraz odejdz.

Młody oficer wydał odgłos sugerujący obrzydzenie, przeciągnął palcem po twarzy i dołączył do swych kolegów, potrząsając głową.

Lorq czekał, aż Dan powie coś jeszcze.

Dan przerwał przyglądanie się zapasom.

- Wygląda na to, że frachtowiec zagubił się w dryfie przyływu, a załoga zauważyła coś dziwnego w liniach widma gwiazdy, w odległości kilku jednostek astronomicznych. Gwiazdy składają się głównie z wodoru, to prawda, ale tu w gazach na powierzchni gromadziło się sporo cięższych pierwiastków, a to było dziwne. Kiedy wreszcie znaleźli drogę, poinformowali o stanie gwiazdy towarzystwo kartograficzne w Instytucie, i tam pojawiła się teza, że to może być tworząca się Nova. Ponieważ skład gwiazdy przekształcającej się w Novą nie zmienia się, nie można tego wykryć za pomocą analizy spektralnej czy czegoś podobnego; Instytut wysłał grupę, która miała obserwować tę gwiazdę. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat przebadali ich ze dwadzieścia albo trzydzieści. Rozmieszczali pierścienie zdalnie sterowanych stacji obserwacyjnych na orbitach tak ciasnych, jak orbita Merkurego; przesyłali zarejestrowane obrazy powierzchni gwiazdy; te stacje spłonęły w chwili wybuchu gwiazdy. Pierścienie stacji rozmieszczali zresztą w różnych odległościach, żeby zarejestrować wybuch sekunda po sekundzie. W odległości jednego tygodnia świetlnego umieścili stacje załogowe i tkwili tam, czekając na eksplozję. Moment przejścia ze zwykłej jasności do maksymalnej można łatwo określić, bo okres, kiedy gwiazda świeci dwadzieścia albo trzydzieści razy jaśniej niż zwykle, trwa jakieś dwie do trzech godzin.

Lorq skinął głową.

- Ale i tak nie da się precyzyjnie określić, kiedy obserwowana gwiazda ma stać się Novą. Nie rozumiem, jak to się dokładnie

dzieje, ale gwiazda, koło której przelatywaliśmy, wybuchła zanim dotarliśmy na stację. Może było to tylko jakieś zaburzenie przestrzeni, albo awaria przyrządów, ale minęliśmy stację i lecieliśmy prosto na gwiazdę przez kilka pierwszych godzin implozji - Dan zanurzył usta w pianie.

- No dobrze - odparł Lorq - tylko że powinniście byli rozpaść się na atomy z powodu wysokiej temperatury, jeszcze zanim zbliżyliście się na odległość podobną do tej, na której znajduje się orbita Plutona. Powinniście być zostali zgnieceni przez falę uderzeniową. Pływy grawitacyjne powinny być rozszarpać was na kawałki. Natężenie promieniowania, któremu byliście poddani, powinno było rozedrzeć na atomy całą materię organiczną na statku, a potem rozszczepić te atomy na zjonizowany wodór...

- Kapitanie, ja mogę wymienić jeszcze z siedem rzeczy, bez specjalnego wysiłku. Częstotliwości jonizacyjne powinny być...

- Dan zamilkł na chwilę. - Tylko że żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła. Nasz statek przetunelował bezpośrednio przez środek gwiazdy i wynurzył się z drugiej strony. Wyskoczyliśmy bezpiecznie w odległości jakichś dwóch tygodni świetlnych. Kapitan, gdy tylko zorientował się, co się dzieje, wykonał manewr chowania głowy - wyłączył wszystkie skanery czuciowe, więc lecieliśmy na ślepo. Jakaś godzinę później wyjrzał z mostku - zdziwiony, że w ogóle jeszcze istniejemy. Ale przyrządy zarejestrowały naszą trasę. Przelecieliśmy prosto przez środek Novej - Dan dopił piwo i spojrzął w bok. - Kapitanie, znów wyglądasz na rozżłoszczonego.

- A jakie jest możliwe wyjaśnienie?

Dan wzruszył ramionami.

- Kiedy przejęli nas ludzie z Instytutu, usłyszeliśmy różne teorie. Podobno istnieją takie bąble, rozumiesz, na powierzchni eksplodującej gwiazdy, o średnicy dwóch albo trzech średnich planet, w środku których temperatura wynosi zaledwie osiemset albo tysiąc stopni. Takie temperatury nie spowodują zniszczenia statku. Może wpadliśmy właśnie w taki bąbel i zostaliśmy przeniesieni na drugą stronę. Ktoś też zasugerował, że częstotliwości energii w Novej ulegają polaryzacji w jednym

kierunku, zaś równocześnie coś może spowodować polaryzację energii statku w drugą stronę, zatem nastąpiło coś takiego, jakby się minęły, nawet się nie dotykając. Inni jednak podsuwali kolejne teorie, które mogły obalić poprzednie. Najbardziej prawdopodobna z nich głosi, że czas i przestrzeń w Novej podlegają takim naprężeniom, że znane nam prawa fizyki przestają działać tak, jak powinny - Dan znów wzruszył ramionami. - Nigdy nie udało im się uzgodnić jednej wersji.

- Patrz! Patrz! On ją przewrócił!

- Jeden, dwa... Nie, ona wstaje!

- Nie! Ją załatwił! Załatwił!

Szczerzący się mechanik kiwał się na trampolinie nad swoją przeciwniczką. Przyniesiono mu już z pół tuzina drinków. Zgodnie ze zwyczajem miał wypić, ile zdoła, a przegrany - resztę. Kilku funkcjonariuszy podeszło, by mu pogratulować, a następnie zebrać zakłady dla następnego pojedynku.

- Zastanawiam się... - zmarszczył brwi Lorq.

- Kapitanie, wiem, że nie możesz nic na to poradzić, ale nie powinieneś tak wyglądać.

- Zastanawiam się, czy w Instytucie mają jakiś zapis z tej podróży, Dan.

- Pewnie tak. Ale mówiłem, że minęło już z dziesięć lat...

Lorq patrzył na sufit. Przesłona na dachu zamknęła się, gdy zawiał wiatr, pustoszący Arkę nocami. Zazębająca się mandala całkowicie przesłoniła gwiazdę.

Lorq unióśł ręce do twarzy. Otworzył usta, polując na myśl, która umykała mu gdzieś w mózgu. Pęknięte ciało przełożyło ten wyraz twarzy na błogą torturę.

Dan znów próbował coś powiedzieć, lecz odsunął się; na jego twarzy, otoczonej szpakowatymi włosami, pojawiło się zdumienie.

Nazywał się Lorq Von Ray. Musiał to powtarzać szeptem, podkreślać powtórzeniami - bo pewna myśl właśnie rozplątała jego istotę. Gdy usiadł i unióśł wzrok, doznał wstrząsu. Coś, co było w środku, zostało oddzielone z taką samą gwałtownością, z jaką Prince rozszarpał mu twarz. Zamrugał, by znów zobaczyć gwiazdy. Nazywał się...

Drako (przelot na pokładzie „Roca”), 3172

- Tak, kapitanie Von Ray?

- Wsunąć skrzydła boczne.

Mysz wykonał rozkaz.

- Płyniemy teraz ze stabilnym prądem. Wciągnąć całkowicie skrzydła boczne. Lynkeosie i Idasie, pilnujcie swoich skrzydeł i obejmijcie pierwszą wachtę. Reszta może przez chwilę odpocząć - głos Lorqa przebił się przez szum kosmosu.

Odwracając się od cynobrowej fali, w której wisiały poczerwiałe gwiazdy, Mysz zamrugał i zaczął postrzegać pomieszczenie, w którym się znajdował.

Olga mrugnęła światłkami.

Mysz usiadł na koi i zaczął się wypinać.

- Do zobaczenia w mesie - mówił dalej kapitan. - Mysz, przynieś swoją...

ROZDZIAŁ 4

Drako (przelot na pokładzie „Roca”), 3172

Mysz wyciągnął skórzaną sakwę spod koi i przewiesił ją przez ramię.

- ...fletnię czuciową.

Drzwi zasunęły się i Mysz stanął na szczycie trzech stopni wznoszących się nad błękitną wykładziną mesy „Roca”.

Klatka schodowa opadała pośród cieni. Metalowe języki wijące się pod sufitem posyłały błyski na ścianę i liście filodendrona stojącego przy lustrzanej mozaice.

Katin już rozsiadł się przy wielopiętrowej szachownicy do szachów trójwymiarowych i rozstawiał figury. Ostatnia wieża znalazła się na swoim miejscu w rogu. Wyskoczył fotel bąbelkowy, kula żelowej gliceryny dostosowującej się do kształtu ciała.

- No dobrze, kto zagra ze mną pierwszy?

Kapitan Von Ray stał na szczycie spiralnych schodów. Gdy ruszył w dół, jego strzaskane odbicie przesunęło się po lustrzanej mozaice.

- Kapitanie? - Katin uniósł podbródek. - Mysz? Który z was chce zagrać pierwszą partię?

Tyż i Sebastian wkroczyli przez zakończone łukiem drzwi i przemaszerowali po rampie nad zbiornikiem o pokrytych wapiennymi wykwitami brzegach, który zajmował jedną trzecią pomieszczenia.

Bryza.

Na powierzchni wody pojawiły się drobne fale.

Ciemność przepłynęła przez ich głowy.

- Na dół! - zawołał Sebastian. Coś trzasnęło w jego stawie barkowym. Bestie szarpały się na stalowych smyczach. Ogromne zwierzęta opadły wokół niego jak szmaty.

- Sebastianie? Tyż? Zagracie? - Katin obrócił się w stronę

rampy. - Szachy były kiedyś moją prawdziwą pasją, ale chyba już nie gram tak dobrze, jak kiedyś - spojrzał w stronę schodów, sięgnął po wieżę i przyjrzał się kryształowi o czarnym jądrze. - Kapitanie, powiedz nam, czy te figury są oryginalne?

Von Ray, stojący u szczytu schodów, uniósł rude brwi.

- Nie.

Katin uśmiechnął się.

- Ach, tak.

- Co to jest? - Mysz przemaszerował po wykładzinie i spojrzał Katinowi przez ramię. - Nigdy nie widziałem takich figur.

- To zabawny styl dla figur szachowych - zauważył Katin. - Republika Wegi. Widuje się sporo takich mebli i budynków.

- Gdzie jest Republika Wegi? - Mysz sięgnął po pionek; we wnętrzu kryształu krył się Układ Słoneczny, klejnot w samym środku, przecięty ukośną płaszczyzną.

- Już nigdzie. W 2800 roku wybuchło powstanie: Wega próbowała oddzielić się od Drako. Powstanie upadło. Ale architektura i sztuka z tego okresu stały się inspiracją dla aspirujących intelektualistów, w tym wszystkim chyba czał się jakiś duch heroizmu. Oczywiście bardzo silili się na oryginalność - ostatni bastion autonomii kulturowej i takie tam. Szukanie śladów po nich stało się czymś w rodzaju politycznej gry salonowej - sięgnął po kolejną figurę. - Ten styl nadal mi się podoba. Wydali trzech doskonałych muzyków i jednego niewiarygodnego poetę. Choć tylko jeden z tych muzyków miał cokolwiek wspólnego z powstaniem. Większość ludzi jednak o tym nie wie.

- Serio? - upewnił się Mysz. - Dobrze. Zagram z tobą - obszedł szachownicę dookoła i usiadł na zielonej glicerynowej pufie. - Które wolisz, czarne czy żółte?

Von Ray sięgnął nad ramieniem Myszy do panelu sterowania, który wynurzył się na podłokietniku, i nacisnął mikroprzełącznik.

Światła szachownicy zgasły.

- Hej, czemu...? - w ochryplym szepcie Myszy pobrzmiwało rozczarowanie.

- Weź swoją fletnię, Mysz - Lorq podszedł do rzeźbionej skały

na żółtych kafelkach. - Mysz, gdybym kazał ci zrobić Novą, co byś zrobił? - przysiadł na kamieniu.

- Nie wiem. Co masz na myśli? - Mysz wyjął instrument z sakwy i przesunął kciukiem po podstrunnicy. Jego palce powędrowały do płytki indukcyjnej; mały palec oparł się na długim paznokciu.

- W takim razie każę ci teraz: zrób Novą.

Mysz znieruchomiał, po czym rzekł:

- Dobrze - i jego ręce podskoczyły.

Błysk, a potem huk. Kolory powidoków rozmazały widok, zawirowały w znikającej kuli i już ich nie było.

- Padnij! - krzyczał Sebastian. - Padnij...!

Lorq zaśmiał się.

- Nieźle. Podejdź tu. Nie, weź swoją piekielną fletnię - przesunął się na głazie, by zrobić mu miejsce. - Pokaż mi, jak to działa.

- Mam ci pokazać, jak grać na fletni?

- Tak jest.

Pewne uczucia rysują się w miejscach innych niż twarz; niektóre na twarzy, a jeszcze inne tylko na drżących wargach i powiekach.

- Zwykle nie pozwalałam ludziom bawić się moim toporem.

Wargi i powieki drżały.

- Pokaż mi.

Mysz zacisnęła usta.

- Daj rękę - rzekł.

Umieścił palce kapitana na płytce obrazowo-rezonansowej; zapaliło się pod nimi niebieskie światło.

- A teraz patrz tutaj - Mysz wskazał na przód fletni. - Pod tymi trzema obiektami szpilkowymi znajdują się siatki holograficzne. Skupiają one błękitne światło i tworzą trójwymiarowy obraz. Tutaj steruje się jaskrawością i natężeniem. Przesuń rękę do przodu.

Światło pojaśniało.

- A teraz ją cofnij.

I pociemniało.

- Jak się tworzy obrazy?

- Kapitanie, uczyłem się tego przez rok. A te struny sterują wytwarzaniem dźwięku. Ale nie tak, że każda z nich to inna nuta; to inne faktury dźwięku. Wysokość zmienia się, zbliżając lub oddalając palce. W taki sposób - Mysz wydobył z instrumentu akord składający się z dźwięków instrumentów dętych i ludzkich głosów, które stopiły się w glissando, a potem zmieniły w przykry odgłos na granicy poddźwięków. - Chcesz powąchać to miejsce? To wróć tutaj. Tym pokręteł reguluje się natężenie zapachu. Możesz stworzyć całość w trybie bardzo kierunkowym...

- Mysz, wyobraźmy sobie, że chcę odtworzyć twarz dziewczyny, jej głos, wypowiadający moje imię i jej zapach. Mam w dłoniach twoją fletnię - uniósł instrument z kolan Myszy. - Jak mam to zrobić?

- Ćwiczyć. Kapitanie, naprawdę nie lubię, jak inni ludzie bawią się moją...

Sięgnął po instrument.

Kapitan odsunął fletnię poza jego zasięg i roześmiał się.

- Masz.

Mysz wziął fletnię i podszedł szybko do szachownicy. Strzepnął sakwę i wsunął do niej instrument.

- Ćwiczyć - powtórzył kapitan. - Nie mam czasu. Jeśli mam pokonać Prince'a Reda w wyścigu po ilirion, to nie będę miał kiedy, prawda?

- Kapitanie?

Lorq uniósł wzrok.

- Powiesz nam w końcu, o co tu chodzi?

- A co chcecie wiedzieć?

Dłoń Katina zawisła na przełączniku aktywującym szachownicę.

- Dokąd lecimy? Jak mamy się tam dostać? I po co?

Lorq wstał po dłuższej chwili.

- Dłaczego mnie o to pytasz, Katinie?

Szachownica zapłonęła światłem, oświetlając podbródek Katina.

- Rozgrywasz partię przeciwko Red Shift Limited. Jakie są zasady? I jaka jest nagroda?

Lorq potrząsnął głową.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Dobrze. W jaki sposób mamy zdobyć ilirion?

- Tak, jak mamy go zdobyć? - cichy głos Tyj sprawił, że wszyscy się odwrócili. Stała na skraju mostku, obok Sebastiana, i tasowała karty. Przestała, gdy na nią spojrzeli. - W żarze słońca, zanurzyć się? - potrząsnęła głową. - Jak, kapitanie?

Dłonie Lorqa zacisnęły się na gruzłowatych kolanach.

- Lynkeosie? Idasie?

Na przeciwległych ścianach wisały złote ramy, szerokie na dwie stopy. W jednej z nich, tuż powyżej głowy Myszy, widać było leżącego na boku Idasa, oświetlonego kontrolkami komputera. Po drugiej stronie pomieszczenia, w drugiej ramie, można było zobaczyć zwiniętego w płątanie kabli bladego Lynkeosa o błyszczących włosach i rzęsach.

- Gdy prowadzicie statek, słuchajcie czasem co mówimy.

- Tak jest, kapitanie - mruknął Idas, jak człowiek, który mówi przez sen.

Lorq wstał i klasnął w dłonie.

- Minęło już wiele lat od chwili, gdy po raz pierwszy musiałem zadać to pytanie. A odpowiedział mi na nie Dan.

- Ślepy Dan? - upewnił się Mysz.

- Dan, który skoczył? - to Katin.

Lorq skinął głową.

- Zamiast tego wielkiego frachtowca - spojrzął na sufit, po którym przesuwały się symulowane gwiazdy, by przypominać im, pośród tych zbiorników, paproci i skał, że podróżują między gwiazdami - miałem kiedyś jacht wyścigowy, na którym Dan służył jako wszczepieniec. Raz zabawiłem trochę za długo na pewnym przyjęciu w Paryżu i Dan zabrał mnie do domu, na Arkę. Przeleciał całą drogę sam. Mój drugi wszczepieniec, student, stchórzył i postanowił wrócić na uczelnię - potrząsnął głową. - Tak po prostu. Ale dotarłem tam. Jak mogę zdobyć wystarczającą ilość ilirionu, żeby doprowadzić do upadku Red Shift, zanim oni zrobią to z nami? Ilu ludzi chciałoby o tym wiedzieć? Wspomniałem o tym Danowi, pewnego wieczora, kiedy piliśmy niedaleko stoczni jachtowej. Wydobyć go ze

słońca? Dan zatknął kciuk za pasek, spojrział w jedną z łych przesłon wiatrowych, które otwierały się i zamykały nad barem i rzekł: „Kiedyś zostałem wciągnięty w Novą” - Lorq potoczył wzrokiem po zebranych. - Nastawiłem uszu i zacząłem słuchać.

- Co mu się przydarzyło? - spytał Mysz.

- Jak to się stało, że był w okolicy na tyle długo, iż dostał się w obszar wybuchu nowej? Tego bym się chętnie dowiedział - Katin odstawił wieżę na szachownicę i rozsiadł się wygodnie na żelowym fotelu. - Dajcie spokój, naprawdę Dan zobaczył cały pokaz fajerwerków?

- Był w załodze statku, który przewoził zapatrzzenie do jednej ze stacji Instytutu Alkańskiego, kiedy gwiazda eksplodowała.

Mysz obejrzał się i spojrział na Tyj i Sebastiana, którzy przysłuchiwali się ze stopni przy rampie. Tyj znów tasowała karty.

- Po tysiącach lat badań, przeprowadzanych z bliska i z większej odległości, to trochę denerwujące, że tak właściwie nie wiemy, co się dzieje w samym środku najbardziej złowieszczych katastrof gwiazdnych. Skład pierwiastkowy gwiazdy się nie zmienia, jedynie struktura materii we wnętrzu gwiazdy ulega zniszczeniu, podczas procesu, którego jeszcze nie do końca rozumiemy. A może psikus demona Maxwella. Może być to jakiś skutek harmonii sił pływowych. Najdłuższe narastanie, jakie zaobserwowano, trwało półtora roku, ale i tak wybuch następował, gdy byli w drodze. Rzeczywisty czas pomiędzy osiągnięciem przez Novą maksymalnej jasności, a wybuchem, wynosi zaledwie kilka godzin. W przypadku supernowej - a w historii naszej galaktyki zaobserwowano dotąd tylko dwie, jedną w trzynastym wieku, w gwiazdozbiórze Kasjopei, oraz bezimienną gwiazdę w roku 2400, i żadnej z nich nie zbadano z bliska - wybuch trwa jakieś dwa dni; jasność supernowej wzrasta kilka setek tysięcy razy. Wypromieniowane światło i fale radiowe są bardziej intensywne niż promieniowanie wytwarzane przez wszystkie gwiazdy galaktyki. Ludzie z Instytutu odkrywali inne galaktyki w prosty sposób: kiedyś nastąpił w nich wybuch supernowej i prawie całkowita anihilacja jednej gwiazdy sprawiła, że cała galaktyka, złożona z

miliardów gwiazd, stała się widoczna

Tyż przełożyła karty z ręki do ręki.

- Co z Danem się stało? - spytał Sebastian. Skrócił smycze swoim zwierzętom, przyciągając je blisko kolan.

- Jego statek zapędził się za daleko i przeleciał przez środek gwiazdy podczas pierwszej godziny implozji - spojrzenie żółtych oczu spoczywało na Katinie. Na poszarpanej twarzy Lorq trudno było dopatrzeć się jakichś subtelniejszych emocji. Katin, który był do tego przyzwyczajony, opuścił ręce i próbował rozsiać się wygodnie w fotelu.

- Ostrzeżenie dotarło do nich z zaledwie kilkusekundowym wyprzedzeniem. Kapitan mógł najwyżej wyłączyć wszystkie dane czuciowe, jakie odbierali wszczępięcy.

- Na ślepo lecieli? - spytał Sebastian. Lorq skinął głową.

- Więc Dan był w pobliżu Novej po raz pierwszy, jeszcze zanim się spotkaliście? - upewnił się Katin.

- Zgadza się.

- A co się stało za drugim razem?

- Za pierwszym razem stała się jeszcze jedna rzecz. Poleciałem na Alkanię i przyjrzałem się tej sprawie. Kadłub statku był zniszczony z powodu bombardowania swobodnie dryfującą materią, i stało się to właśnie w środku Novej. Jedyne rodzaje materii, jakie może oddzielić się i dryfować w przestrzeni chronionej statku to materia w postaci prawie zestalonej, pochodząca ze środka gwiazdy. Musiałyby to być pierwiastki o ogromnych jądrach, co najmniej trzy albo cztery razy większych od jądra uranu.

- Chcesz powiedzieć, że statek został zbombardowany meteorami z ilirionu? - dopytywał się Mysz.

- Jedną z rzeczy, które wydarzyły się przy drugim spotkaniu z Novą - Lorq znów spojrzał na Katina - kiedy już zorganizowaliśmy naszą ekspedycję w ścisłej tajemnicy, kiedy zlokalizowaliśmy Novą z pomocą mojej ciotki z Instytutu Alkańskiego, nie informując nikogo, po co chcemy tam lecieć, kiedy już wyruszyliśmy i ekspedycja była w drodze, spróbowałem odtworzyć, możliwie najdokładniej, warunki, jakie panowały podczas pierwszego incydentu, kiedy to statek

Dana wpadł w słońce, przeprowadzając cały manewr na ślepo; wydałem załozie rozkaz, by wyłączyła odbiór danych czuciowych w swoich kajutach. Dan nie wykonał rozkazu, bo chciał zobaczyć to, czego nie udało mu się dojrzeć za pierwszym razem - Lorq wstał i obrócił się plecami do załogi. - Nie byliśmy jeszcze nawet w miejscu, gdzie statek byłby narażony na jakiegokolwiek fizyczne niebezpieczeństwo. I nagle poczułem, jak jedna z łopatek statku szaleńczo łopocze. I usłyszałem krzyk Dana - znów zwrócił się do nich twarzą. - Wycofaliśmy się i poleciliśmy wolno do Drako, a tam złapaliśmy prąd, który zaniósł nas w okolice Sol, aż wylądowaliśmy na stacji na Trytonie. A cała tajemnica wyszła na jaw dwa miesiące temu.

- Tajemnica? - spytał Katin. Poskręcany kształt, który był uśmiechem Lorqa, uniósł mięśnie jego twarzy.

- To już nie jest tajemnica. Wołałem przylecieć na stację na Trytonie, w Drako, niż kryć się gdzieś w Plejadach. Zwolniłem całą załogę z poleceniem, że mają wszystkim dookoła wypaplać wszystko, co tylko wiedzą. Pozwoliłem temu szaleńcowi, by włóczył się po całym porcie i gadał, aż Piekło³ go pochłonęło. A ja czekałem. Czekałem, aż to, na co czekałem, nastąpiło. I wtedy zwerbowałem was, prawie w hali głównej portu. Powiedziałem wam, co zamierzam zrobić. Komu o tym powiedzieliście? Ile osób słyszało, co wam mówię? Ilu osobom mruzczyliście pod nosem „To zabawne, prawda?”, drapiąc się po głowach? - Dłoń Lorqa zacisnęła się na spiczastym kamieniu.

- Na co czekałeś?

- Na wiadomość od Prince'a.

- Otrzymałeś ją?

- Tak.

- Co zawierała?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Lorq wydał odgłos podobny do śmiechu, lecz zrodzony gdzieś w jego brzuchu. - Jeszcze jej nie odtworzyłem.

- Dlaczego? - spytał Mysz. - Nie chcesz się dowiedzieć, co on ma ci do powiedzenia?

- Wiem, co robię. To wystarczy. Wrócimy do Instytutu i znajdziemy kolejną... Nową. Moi matematycy stworzyli ze dwa

tuziny teorii, które mogą wyjaśniać zjawisko, dzięki któremu będziemy mogli zbliżyć się do gwiazdy. Wszystkie twierdziły zgodnie, że po upływie tych pierwszych kilku godzin, kiedy gwiazda osiągnie maksymalną jasność, zjawisko ulegnie odwróceniu.

- Jak długo umiera Nova? - spytał Sebastian.

- Kilka tygodni, może dwa miesiące. Gaśnienie supernowej może potrwać nawet dwa lata.

- A ta wiadomość? - podsunął Mysz. - Nie chcesz się dowiedzieć, co Prince ma ci do powiedzenia?

- A ty chcesz?

Katin nagle pochylił się nad szachownicą.

- Chcę.

Lorq roześmiał się.

- Dobrze.

Przemaszerował na drugą stronę pomieszczenia i ponownie sięgnął do pulpitu sterowania przy fotelu Myszy. W największej z ram na wysokiej ścianie fantazja świetlna znikła i pojawił się dwumetrowy owal złożonych liści.

- A więc to tak! To tym się zajmowałeś przez te wszystkie lata!

- oznajmił Prince. Mysz dostrzegł jego kanciastą szczękę i zacisnął usta, po czym zaczął się przyglądać rzadkim, nastroszonym włosom Prince'a i poczuł, jak czoło mu tężeje. Przesunął się do przodu na fotelu, i zacisnął palce w powietrzu, jak na fletni, patrząc na wąski jak ostrze nos i oczy jak studnie błękitu. Katin otworzył szeroko oczy. Wbił odruchowo obcasy sandałów w wykładzinę, odsuwając się.

- Nie wiem, co tam sobie wyobrażasz, że uda ci się osiągnąć, i niespecjalnie mnie to obchodzi. Ale...

- To Prince jest...? - wyszeptła Tyÿ.

- ...i tak ci się nie uda. Uwierz mi - uśmiechnął się Prince. Szept Tyÿ przeszedł w ciężki oddech.

- Nie. Nawet nie wiem, dokąd lecis. Ale miej się na baczności. Ja dotrę tam przed tobą. A wtedy - uniósł pięść w czarnej rękawicy - zobaczymy.

Wyciągnął rękę tak, że jego dłoń wypełniła ekran. Palce poruszyły się; rozległ się brzęk szkła.

Tyż krzyknęła.

Prince uderzył palcem w obiektyw kamery do przesyłania wiadomości i zgniótł go.

Mysz spojrzał na Tyż. Upuściła karty.

Bestie szarpały się na smyczach. Powiew powietrza rozrzucił karty Tyż po wykładzinie.

- Poczekaj - rzekł Katin. - Pozbieram je.

Pochylił się w fotelu i wyciągnął swoje niezgrabne dłonie w stronę podłogi. Lorq zaczął się znów śmiać.

Karta upadła u stóp Myszy na wykładzinę, awersem do góry. Była trójwymiarowa, z laminowanego metalu. Nad powierzchnią morza płonęło niebo. Na brzegu stało dwóch nagich chłopców; trzymali się za ręce. Ciemniejszy patrzył w słońce, mrużąc oczy, na jego twarzy malował się zachwyt i olśnienie. Zaś jasnowłosy patrzył na ich cienie na piasku. Śmiech Lorqa, brzmiący jak wielokrotne wybuchy, przetoczył się przez mesę.

- Prince przyjął wyzwanie - uderzył dłonią o kamień. - Dobrze! Bardzo dobrze! Hej, a ty przypuszczasz, że spotkamy się pod tym płonącym słońcem? - Uniósł w górę dłoń zwiniętą w pięść. - Czuję dotyk jego przeklętej dłoni! Dobrze! Tak, dobrze!

Mysz podniósł szybko kartę. Odwrócił wzrok od kapitana i spojrzał na ekran, gdzie zmieniające się wielobarwne kształty zastąpiły twarz i rękę. (A na przeciwległej ścianie widać było ciemnego Idasa i bladego Lynkeosa w mniejszych ramkach). Następnie jego wzrok znów padł na dwóch chłopców pod eksplodującym słońcem.

Gdy tak patrzył, palce jego lewej nogi wbiły się w wykładzinę, a prawej - w podeszwę buta. Strach wczepił się w jego uda, wplątał w nerwy otaczające kręgosłup. Odruchowo wsunął kartę do worka z fletnią. Wsunął dłoń do środka i poczuł dotyk laminatu pod spoconymi palcami. Niewidziany obraz przerażał jeszcze bardziej. Mysz wyjął rękę i wytarł ją o biodro, po czym zaczął się rozglądać, by upewnić się, że nikt tego nie zauważył.

Katin przyglądał się kartom, które podniósł.

- To tym się bawisz, Tyż? Tarot? - podniósł wzrok. - Mysz, ty

jesteś Cyganem. Na pewno już to kiedyś widziałeś - uniósł karty, by Mysz mógł je zobaczyć.

Mysz pokiwał głową, nie patrząc. Próbował odsunąć rękę od biodra. (Była tam wielka kobieta siedząca przy ogniu, w brudnej, wzorzystej spódnicy, i wąsaty mężczyzna pod drżącym nawisem skalnym, patrzący, jak karty migoczą w jej tłustych palcach. Ale to było...).

- Daj - rzekła Tyÿ. - Mnie je daj - wyciągnęła rękę.

- Mogę obejrzeć całą talię? - spytał Katin.

Otworzyła szeroko szare oczy.

- Nie - w jej głosie dało się wyczuć zaskoczenie.

- Przepraszam - odparł zmieszany Katin. - Nie chciałem...

Tyÿ zabrała mu karty.

- Ty... zajmujesz się wrózeniem z kart? - Katin miał wrażenie, że zaraz zastygnie mu twarz, i próbował temu zapobiec.

Skinęła głową.

- Czytanie z kart tarota jest dość popularne w Federacji - rzekł Lorq. Przycupnął na rzeźbie. - Czy twoje karty na temat wiadomości od Prince'a coś mówią? - gdy się odwrócił, oczy lśniły mu jak jaspis. - Może twoje karty o mnie i o Prinsie przemówią?

Mysz słuchał z zaskoczeniem, jak płynnie kapitan przechodził na dialekt Plejad. Uśmiechnął się.

Lorq wstał z kamienia.

- Co karty o tym skoku w noc mówią?

Sebastian, tocząc spojrzeniem spod grubych, jasnych brwi, przyciągnął do siebie bliżej ciemne kształty.

- Ich wzorce zobaczyć chcę. Tak. Gdzie ja i Prince wśród kart jesteśmy?

Kiedy będzie czytać z kart, będzie można zobaczyć więcej kart z talii; Katin uśmiechnął się.

- Tak, Tyÿ. Wyczytaj nam z kart coś o ekspedycji kapitana. Sebastianie, czy ona jest dobra w czytaniu kart?

- Tyÿ nigdy nie myli się.

- Twarz Prince'a tylko przez parę sekund widzieliście. W zmarszczkach na twarzy los człowieka ukryty jest - Lorq oparł pięści na biodrach. - Z blizn na mojej twarzy, potrafisz mój los

przewidzieć?

- Nie, kapitanie - opuściła wzrok i spojrzała na dłonie. Karty wyglądały, jakby były niemal za duże dla jej rąk. - Karty tylko układać i czytać umiem.

- Nie widziałem nikogo czytającego z kart tarota od czasów, jak chodziłem do szkoły - Katin spojrzał na Mysz. - Na zajęcia z filozofii chodził ze mną chłopak z Plejad, który znał się na kartach. Pewnie w którymś momencie stałem się nawet wielbicielem „Księgi Thota”, jak ją określano na początku dwudziestego wieku. Czy też powiedziałbym raczej... - zamilkł i patrzył na Tyj, oczekując potwierdzenia - „Księgi Graala”.

Nie zareagowała.

- No, dalej. Powróź mi, Tyj - Lorq opuścił dłonie wzdłuż boków.

Palce Tyj spoczęły na złotych rewersach kart. Siedziała u stóp rampy; jej szare oczy wyglądały, jak por dzielone na pół zmarszczkami nakątnymi. Patrzyła to na Katina, to na Lorq.

- Dobrze - rzekła w końcu.

- Mysz - zawołał Katin - chodź i przyjrzyj się temu. Chętnie wysłucham twojej opinii na ten temat...

Mysz wstał, oświetlony światłem szachownicy.

- Hej...!

Wszyscy odwrócili się na dźwięk tego ochrypłego głosu.

- *Wy* w to wierzycie?

Brew Katina powędrowała w górę.

- Mówicie, że *ja* jestem przesądny, bo pluę do rzeki? To wy chcecie poznać przyszłość z kart! *Aaaach!* - tak naprawdę wydał zupełnie inny dźwięk, ale nadal miał on oznaczać obrzydzenie. Jego złoty kolczyk migotał i podskakiwał.

Katin zmarszczył czoło.

Dłoń Tyj zawisła nad talią.

Mysz pokonał połowę odległości, jaka dzieliła go od niej.

- Naprawdę chcesz spróbować przewidzieć przyszłość z kart? To głupie. *To* dopiero jest przesądne!

- Nie, tak nie jest, Mysz - zaoponował Katin. - Mogłoby się wydawać, że ty, ze wszystkich ludzi...

Mysz machnął ręką i wybuchnął ochrypłym śmiechem.

- Ty, Katinie, i karty. Też mi coś!

- Mysz, karty tak naprawdę niczego nie przepowiadają. Po prostu wygłaszają inteligentny komentarz dotyczący bieżącej sytuacji...

- Karty nie są inteligentne! To metal i plastik. One nie wiedzą...

- Mysz, siedemdziesiąt osiem kart tarota przedstawia symbole i wizerunki z mitologii, które wielokrotnie przewijały się i odbijały echem przez czterdzieści pięć stuleci historii ludzkiej rasy. Ktoś, kto rozumie te symbole, będzie umiał stworzyć dialog dotyczący danej sytuacji. To nie jest żaden zabobon. „Księga przemian”, „Astrologia chaldejska” stały się zabobonami dopiero wtedy, gdy padły ofiarą nadużyć i zaczęto ich używać do manipulowania ludźmi, a nie do uzyskiwania wskazówek i sugestii.

Mysz znów wydał ten dźwięk.

- Naprawdę, Mysz! To całkowicie logiczne. Gadasz, jakbyś żył tysiąc lat temu.

- Hej, kapitanie? - Mysz pokonał pozostałą odległość i zajął Lorqowi przez ramię, przyglądając się kartom, które spoczywały na kolanach Tyj. - Naprawdę wierzysz w takie rzeczy? - jego ręka opadła na ramię Katina, jakby myślał, że przytrzymując ją, utrzyma ją w bezruchu.

W tygrysiach oczach pod rdzawymi brwiami malowało się cierpienie; Lorq uśmiechał się półgębkiem.

- Tyj, ty dla mnie z kart czytaj.

Odwróciła talię i przekładała karty z ręki do ręki.

- Kapitanie, jedną kartę wybierz.

Lorq przykucnął, by przyjrzeć się talii. Nagle zatrzymał przekładane z ręki do ręki karty palcem.

- Kosmos, to chyba to będzie - wymienił nazwę karty, którą zatrzymał jego palec. - W tym wyścigu, to nagroda jest - podniósł wzrok i spojrzał na Mysz i Katina. - Czy uważacie, że powinienem wybrać Kosmos na początek wróżby? - Cierpienie, otoczone ramą jego ramion, sprawiało wrażenie bardziej subtelnego.

Mysz odpowiedział tylko skrzywieniem ciemnych warg.

- Dalej - rzekł Katin.

Lorq wyciągnął kartę.

Poranna mgła osnuła brzozy, cisy i ostrokrzewy; na polanie naga postać podskakiwała i harcowała w błękitnym świetle poranka.

- Ach - mruknął Katin. - Tańczący hermafrodyta, połączenie wszystkich cech męskich i żeńskich - potarł ucho, ujmując je w dwa palce. - Wiecie, przez jakieś trzysta lat, od lat 90. XIX wieku, do epoki pierwszych podróży kosmicznych, bardzo popularna była schrystianizowana talia kart zaprojektowana przez Williama Butlera Yeatsa; zyskała taką popularność, że prawie wyparła oryginalne motywy.

Lorq przychylił kartę, a wtedy rozproszone obrazy zwierząt zamigotały i znikły w mistycznym gaju. Dłoń Myszy zacisnęła się na ręce Katina. Uniósł podbródek w pytającym geście.

- Bestie apokalipsy - wyjaśnił Katin. Sięgnął nad ramieniem kapitana i wskazał cztery miejsca w gaju: byk, lew, orzeł i to śmieszne, podobne do małpy stworzenie, które tak naprawdę jest karłowatym bogiem Besem, pochodzącym z Egiptu i Anatolii, patronem rodzących kobiet, biczem na skąpców, hojnym i strasznym bogiem. Jest taka słynna rzeźba, która go przedstawia: jest przysadzisty, uśmiecha się krzywo, ma kły i kopuluje z lwicą.

- Tak - szepnął Mysz. - Widziałem tę rzeźbę.

- Widziałeś ją? Gdzie?

- W jakimś muzeum - wrzucił ramionami. - Chyba w Stambule. Jakiś turysta mnie tam zabrał, kiedy byłem mały.

- Niestety - mruknął Katin - ja musiałem zadowolić się trójwymiarowymi hologramami.

- Tylko że on wcale nie jest karłowaty - chrypienie uwięzło Myszy w gardle, gdy spojrzał na Katina. - Jest gdzieś... dwa razy wyższy od ciebie.

Nagle sobie coś przypomniał; gałki oczne uciekły mu w tył głowy, ukazując pokrytą tyłkami białkówkę.

- Kapitanie Von Ray, tarota dobrze znasz? - spytał Sebastian.

- Wróżono mi z kart może ze sześć razy - wyjaśnił Lorq. - Moja matka nie lubiła, jak zatrzymywałem się przy wróżbitach,

którzy ustawiali swoje stoliki na ulicach, pod osłonami przeciwwiatrowymi. Raz, kiedy miałem jakieś pięć albo sześć lat, udało mi się zgubić. Wędrowałem wtedy po okolicach Arki, w których nigdy przedtem nie byłem i raz zatrzymałem się, i pozwoliłem sobie powróżyć - zaśmiał się; Mysz, który czasem nie potrafił odczytać poprawnie wyrazu twarzy, oczekiwał złości. - Kiedy wróciłem do domu i powiedziałem o tym mamie, bardzo się rozzłościła i powiedziała, że nie wolno mi więcej tego robić.

- Wiedziała, że to wszystko bzdury... - szepnęła Mysz.

- Co powiedziały karty? - spytał Katin.

- Coś o śmierci w mojej rodzinie.

- I ktoś rzeczywiście umarł?

Lorq zmrużył oczy.

- Jakiś miesiąc później zginął mój wuj.

Katin wsłuchał się w dźwięk głoski „m”. Wuj kapitana Von Raya?

- Ale kart dobrze nie znasz? - ponowił pytanie Sebastian.

- Tylko nazwy kilku z nich - Słońce, Księżyc, Wisielec. Ale ich znaczenia nie studiowałem.

- Aha - skinął głową Sebastian. - Pierwsza wybrana karta zawsze ciebie oznacza. Ale *Kosmos* to karta z wielkich arkanów. Ludzkiej istoty przedstawiać nie może. Nie można jej wybrać.

Lorq zmarszczył brwi. Zdumienie na jego twarzy wyglądało jak wściekłość. Błędna interpretacja, pomyślał Sebastian i milczał.

- Chodzi o to - mówił dalej Katin - że w talii tarota jest pięćdziesiąt sześć kart małych arkanów - jak pięćdziesiąt dwa w zwykłej talii do gry, tylko są tam paziowie, rycerze, królowie i królowe na kartach dworskich. One dotyczą zwykłych ludzkich spraw: miłości, śmierci, podatków - czegoś takiego. I mamy jeszcze dwadzieścia dwie inne karty - Wielkie Arkana, wśród których znajdziemy takie karty, jak Głupiec i Wisielec. Te przedstawiają podstawowe byty kosmiczne. Nie można wybrać wśród nich karty, która będzie nas przedstawiać.

Lorq przyglądał się karcie przez kilka sekund.

- Czemu nie? - spojrzał na Katina. Jego twarz nie wyrażała już

niczego. - Podoba mi się ta karta. Tyż wybrać kazała, to wybrałem.

Sebastian uniósł dłoń.

- Ale...

Smukłe palce Tyż objęły porośnięte włosami knykcie jej partnera.

- On wybrał - rzekła. Metalowy poblask jej oczu padał to na kapitana, to na kartę. - Tu ją połóż - wskazała gestem, gdzie ma umieścić kartę. - Kapitan kartę, którą zechce, wybiera.

Lorq położył kartę na podłodze; głową tancerza w stronę samego siebie, stopami w stronę Tyż.

- Kosmos odwrócony - mruknął Katin.

Tyż podniosła głowę.

- Odwrócony dla ciebie, dla mnie prosty - rzekła ostrym tonem.

- Kapitanie, pierwsza karta, którą wybrałeś, niczego nie przepowiada - wyjaśnił Katin. - Tak naprawdę to pierwsza wybrana karta eliminuje z wróżby wszystko, co oznacza.

- Co ona przedstawia?

- Męskość i kobiecość się jednoczą - wyjaśniła Tyż. - Miecz i kielich, laska i naczynie się łączą. Pełnię i pewien sukces to oznacza; kosmiczny stan boskiej świadomości znaczy. Zwycięstwo.

- I to wszystko zostało wyjęte z mojej przeszłości? - na twarzy Lorq znów widać było cierpienie. - Doskonale! Ale co to za wyścig, skoro już wiem, że wygram?

- Ta karta, jeśli się ją odwróci, oznacza obsesję na punkcie jednej rzeczy, upór - dodał Katin. - Niechęć do nauczenia się...

Tyż nagle zgarnęła karty i wyciągnęła rękę z talią.

- Ty, Katinie, czytanie z kart dokończysz?

- Hm...? Ja... Posłuchaj, przepraszam, nie miałem zamiaru... Tak czy inaczej, znam znaczenie najwyższej tuzina kart - uszy mu płuęły. - Już będę cicho.

Skrzydło zamiotło podłogę.

Sebastian wstał i odciągnął swe zwierzęta. Jedno z nich przysiadło mu na ramieniu. Podmuch powietrza musnął czoło Myszy.

Wszyscy teraz stali, z wyjątkiem Lorqa i Tyj, którzy przykucnęli; między nimi leżała karta z tańczącym hermafrodytą.

Tyj ponownie przetasowała i rozłożyła karty, tym razem awersem w dół.

- Wybieraj.

Szerokie palce o zgrubiałych paznokciach chwyciły kartę i wyciągnęły ją z talii.

Przed solidnym kamiennym głazem stał robotnik z urządzeniem do cięcia kamienia. Maszyna wycinała z kamienia trzecią pięciopunktową gwiazdę. Słońce oświetlało kamieniarza i fasadę budynku. Przez drzwi sączyła się ciemność.

- Trójka denarów. Ta karta o tobie mówi.

Mysz spojrział na ramię kapitana. Owalne gniazdo było prawie niewidoczne w zgrubieniach podwójnego ścięgna przy nadgarstku.

Mysz dotknął gniazda na własnym ramieniu. Plastikowa wkładka miała szerokość jednej czwartej nadgarstka; oba gniazda miały takie same rozmiary.

Kapitan położył trójkę denarów na Kosmosie.

- Znów wybierz.

Odwrócona karta.

Czarnowłosa młoda postać w zdobionej brokatem kamizelce, w butach z wytłaczanej skóry, opierała się na rękojeści miecza, na którym widniał motyw zdobionej klejnotami srebrnej jaszczurki. Kryła się w cieniu skały. Mysz nie był w stanie określić, czy to kobieta, czy mężczyzna.

- Odwrócony paż mieczy. Na krzyż ulóż tę kartę.

Lorq położył kartę na krzyż na trójce denarów.

- Znów wybierz.

Nad powierzchnią morza widać było jasne niebo i ptaki, pojedynczą dłoń wystającą z kłębow mgły, trzymającą pięciokątną gwiazdę wpisaną w okrąg.

- As denarów - Tyj wskazała skrzyżowane karty i Lorq umieścił na nich następną. - Tę kartę przed sobą połóż. Wybieraj.

Mężczyzna o jasnych włosach stał na wąskiej ogrodowej

ścieżce. Patrzył w górę z uniesioną dłonią. Czerwony ptak zamierzał właśnie przysiąść na jego nadgarstku. Na kamiennych płytach dziedzińca wyrzeźbiono dziewięć gwiazdzistych kształtów.

- Dziewiątka denarów - wskazała jakieś miejsce na podłodze. - Tę kartę przed sobą połóż.

Lorq położył kartę.

- Wybierz.

Znów odwrócona.

Między chmurami burzowymi płonęło fioletowe niebo. Błyskawica rozpaliała ogień na szczycie kamiennej wieży. Dwóch mężczyzn zeskakiwało z górnego balkonu. Jeden był odziany w bogate szaty. Widać było nawet jego pierścienie z drogimi kamieniami i złote frędzle przy sandałach. Drugi miał zwykłą roboczą kamizelkę, był bosy i miał brodę.

- Wieża, odwrócona! - wyszeptał Katin. - Ho, ho. Wiem, że... - umilkł, gdy Tyÿ i Sebastian spojrzeli na niego. Dłoń Myszy zacisnęła się na przedramieniu Katina.

- Wieża odwrócona - Tyÿ wskazała miejsce nad wzorem. - Tę za sobą połóż.

Lorq położył kartę, a potem wyciągnął z talii siódmą.

- Dwójka mieczy, odwrócona.

Odwrócony obraz: kobieta z przepaską na oczach siedzi na krześle na brzegu oceanu, trzymając dwa skrzyżowane na piersiach miecze.

- Tę przed sobą połóż.

Siedem pierwszych kart utworzyło krzyż: trzy karty w środku i cztery dookoła nich.

- Znów wybierz.

Lorq wybrał.

- Król mieczy. Tu go umieść.

Król znalazł się po lewej stronie krzyża.

- I raz jeszcze.

Lorq wybrał dziewiątą kartę.

- Trójka buław, odwrócona.

Ta karta znalazła się pod kartą z królem.

- Diabeł...

Katin spojrział na rękę Myszy. Palce wygięły się i paznokieć małego palca wbił się w ramię Katina.

- ...odwrócony.

Uścisk palców zelżał. Katin znów spojrział na Tyję.

- Tu połóż - odwrócony diabeł znalazł się poniżej buław. - I wybierz.

- Królowa mieczy. Tu ostatnią kartę połóż.

Za krzyżem pojawił się pionowy rząd czterech kart.

Tyję wyrównała karty talii.

Przecięgnęła palcami pod brodą. Pochyliła się nad barwnymi dioramami, włosy barwy żelaza opadły jej na ramię.

- Widzisz tu gdzieś Prince'a? - zapytał Lorq. - Widzisz mnie i słońce, które ścigam?

- Ciebie widzę; i Prince'a. Także kobietę, jakoś z Prince'em związana, ciemne włosy ma...

- Czarne włosy i błękitne oczy? - upewnił się Lorq. - Prince ma niebieskie oczy.

Tyję skinęła głową.

- Ją też widzę.

- To Ruby.

- Karty to głównie miecze i denary. Dużo pieniędzy widzę. Ale też dużo walki o nie.

- O siedem ton ilirionu? - mruknął Mysz. - Nie trzeba wróżyć z kart, żeby wiedzieć...

- Ciii! - syknął Katin.

- Jedynym pozytywnym wpływem ze strony Wielkich Arkanów Diabeł jest. To karta gwałt, rewolucję lub walkę oznaczająca. Leczą także narodziny duchowego porozumienia. Denary na początku wróżby były. To karty pieniądze i bogactwo oznaczające. Potem miecze je pokonują; to karty władzy i konfliktu. Buława to symbol intelektu i kreatywności, wysoko we wróżbie się pojawia. To dobrze. Kielichów - symbolu emocji, a szczególnie miłości - nie ma. Źle. Buławy kielichy muszą mieć, jeśli ma dobrze być - podniosła karty, które znalazły się na środku krzyża: Kosmos, trójkę denarów i pazia mieczy.

- A teraz... - Tyję zamilkła. Czterech mężczyzn oddychało we

wspólnym rytmie. - jako świat samego siebie widzisz. Karta ciebie oznaczająca to szlachectwo, arystokracja. I pewnie umiejętności, które posiadasz...

- Mówiłeś, że kiedyś byłeś kapitanem jachtów wyścigowych, prawda? - spytał Katin.

- Swoją sytuację materialną poprawić chcesz, ta karta to zdradza. Ale na twojej karcie paż mieczy spoczywa.

- To Prince?

Tyż potrząsnęła głową.

- To młodsza osoba. Ktoś teraz tobie bliski. Ktoś, kogo znasz. Ciemnowłosa, młody człowiek, może...

Katin pierwszy spojrzał na Mysz.

- ...ktoś, kto między tobą a płonącym słońcem stanie.

Lorq obejrzał się przez ramię.

- Zaraz, poczekajcie. Chwileczkę... - Mysz przyglądał się pozostałym spod zmarszczonych brwi. - Co wy zamierzacie zrobić? Wyrzucić mnie na pierwszym postoj, bo jakieś głupie karty tak powiedziały? Myślisz, że chcę pokrzyżować twoje plany?

- Nawet gdyby tak stało się - rzekła Tyż, unosząc wzrok - to niczego nie zmieni.

Kapitan klepnął Mysz po biodrze.

- Nie przejmuj się tym, Mysz.

- Kapitanie, jeśli w to nie wierzysz, po co marnujesz czas na słuchanie... - Mysz zamilkła, gdyż Tyż przełożyła karty.

- W twojej bliskiej przeszłości - mówiła dalej - as denarów leży. Znów dużo pieniędzy, ale wszystkie w jakimś celu.

- Organizując tę ekspedycję musiał płacić jak za zboże - zauważył Katin.

- A może jak za woły? - dłoń Sebastiana zmierzwiła sierść na głowie jednego z jego ulubieńców.

- W dalekiej przeszłości dziewiątka denarów się znajduje. To znów karta bogactwa. Do sukcesu przyzwyczajony jesteś. Najlepszych rzeczy zaznałeś. Ale twoja najbliższa przyszłość to odwrócona wieża. Ogólnie oznacza to...

- ...że łądujesz prosto w więzieniu. Nie rób tego. Nie... - uszy Katina znów płonęły, gdy Tyż wpatrywała się w niego spod

zmrużonych powiek... - zbieraj dwustu funtów @sg - zakaszłał.

- Karta ta uwięzienie oznacza; upadek wielkiego domu.

- Dla Von Rayów?

- Kogo oznacza, nie wiadomo.

Lorq zaśmiał się, słysząc te słowa.

- Poza tym dwójka mieczy odwrócona jest. Nienaturalnej namiętności się strzeż, kapitanie.

- A co to miałyby oznaczać? - wyszeptał Mysz.

Tyÿ przeszła już jednak do drugiej części krzyża, od rzędu siedmiu kart do czterech.

- Na szczycie twoich przedsięwzięć król mieczy tkwi.

- To mój przyjaciel Prince?

- Tak. Na twoje życie wpłynąć może. To mocny człowiek i do mądrości może łatwo cię doprowadzić; lecz także i do śmierci - uniosła wzrok; na jej twarzy widać było niepokój. - I nam wszystkim życie odebrać... On...

Zamilkła, więc Lorq ją ponaglił.

- Co takiego, Tyÿ?

Uspokoila się; jej głos brzmiał silniej.

- Pod nim...

- Co to jest, Tyÿ?

- ...odwrócona trójka buław leży. Ofiarowanej pomocy się strzeż. Najlepszą obroną przeciw rozczarowaniu oczekiwanie jest. Podstawą tego diabeł jest. Porozumienie duchowe, o którym mówiłam, osiągniesz. W zbliżającej się...

- Hej - Mysz spojrzał na Katina. - Co ona tam widzi?

- Ciii!

- ...walce, powierzchnia rzeczy się rozpadnie. To, co w głębi, coraz dziwniejsze będzie się wydawać. A król mieczy mury rzeczywistości obali, za nimi królową mieczy odkryjesz.

- To... Ruby? Powiedz mi, Tyÿ - widzisz gdzie słońce?

- Nie ma słońca. Tylko kobieta, ciemna i potężna jak jej brat, cień rzuca...

- Światło jakiej gwiazdy na nią pada?

- Jej cień między tobą a Prince'em widać...

Lorq machnął ręką nad kartami.

- A słońce?

- Twój cień w noc pada. Gwiazdy na niebie widzę. Ale jednego słońca nie ma...

- Nie! - krzyknął Mysz. - To wszystko jakieś bzdury! Jakiś nonsens! To nic nie znaczy, kapitanie! - wpił paznokiec w ramię Katina, a ten podskoczył. - Ona niczego w ten sposób nie przewidzi!

Skoczył nagle w bok i obutą stopą wymierzył kopniaka w stronę zwierząt Sebastiana. Wzniosły się w powietrze i były je skrzydłami, naprężając łańcuchy.

- Hej, Mysz! Co ty...

Mysz przesunął bosą stopę po kartach.

- Hej!

Sebastian odciągnął szarpiące się na łańcuchach cienie.

- Spokój, no już!

Gładził dłonią jedną głowę po drugiej, palce przesuwały się w ciszy między ciemnymi uszami i pyskami.

Mysz jednak ruszył już rampą nad zbiornikiem. Sakwa z fletnią obijała się o jego udo przy każdym kroku, aż Mysz znikł.

- Pójdę za nim, kapitanie - Katin pobiegł w stronę rampy.

Skrzydła opadły na podłogę przy sandałach kapitana. Lorq wstał.

Tyÿ opadła na kolana i zaczęła zbierać rozsypane karty.

- Wy dwaj do skrzydeł. Zluzujecie Lynkeosa i Idasa - na jego twarzy znów pojawiło się cierpienie zamiast rozbawienia, do uśmiechu wkradła się troska. - Idźcie do swoich kajut.

Tyÿ wstała, a Lorq ujął ją za ramię. Na jej twarzy kolejno pojawił się wyraz zaskoczenia i strachu, a trzeci ujawnił się, gdy dostrzegła, co czai się w twarzy Lorqa.

- Za wszystko, co w kartach dla mnie wyczytałaś, Tyÿ, dziękuję ci.

Sebastian podszedł i wyjął jej dłoń z ręki kapitana.

- Jeszcze raz dziękuję ci.

Drako (przelot na pokładzie „Roca”), 3172

Na korytarzu mostka „Roca” na czarnej ścianie dryfowały wyświetlane gwiazdy. Pod błękitną ścianą siedział na podłodze po turecku Mysz, z sakwą na kolanach. Jego dłoń ugniatała jakieś kształty we wnętrzu sakwy. Patrzył na krążące światelka.

Katin maszerował korytarzem, założywszy ręce na plecach.

- Czyś ty zwariował? - spytał przyjaznym tonem.

Mysz uniósł wzrok i zobaczył gwiazdkę, która wyglądała, jakby wynurzała się z ucha Katina.

- Chyba należysz do ludzi, którzy lubią sobie komplikować życie.

Gwiazdka opadła i znikła gdzieś przy podłodze.

- A tak przy okazji, co to za karta, którą schowałeś w sakwie?

Mysz szybko przeniósł wzrok na Katina i zamrugał.

- Jestem dobry w zauważaniu takich rzeczy - Katin oparł się o upstrzoną cętkami ścianę. Projektor na suficie, który powielał panującą na zewnątrz noc na ścianach, wyświetlił kropki światła na jego krótkiej, szerokiej twarzy i płaskim brzuchu. - To nie jest najlepszy sposób na wykorzystywanie dobrotliwej natury kapitana. Masz trochę pomysłów, Mysz - muszę przyznać, są fascynujące. Gdyby ktoś mi powiedział, że znajdę się w tej samej załodze, dziś, w trzydziestym drugim stuleciu, z kimś, kto wykazuje sceptycyzm wobec tarota, chyba bym nie uwierzył. Ty naprawdę jesteś z Ziemi?

- Tak. Jestem z Ziemi.

Katin przygryzł knykięć.

- Jak się dokładnie nad tym zastanowić, to takie pomysły skamieliny mogą pochodzić z różnych miejsc, ale raczej nie z Ziemi. Gdy tylko mamy do czynienia z ludźmi z czasów wielkiej migracji międzygwiazdnej, stykamy się z kulturami, które są na tyle wyrafinowane, by zrozumieć takie zagadnienia, jak tarot. Nie byłbym zaskoczony, gdyby gdzieś, na pustyni w górnej Mongolii, dało się znaleźć kogoś, kto nadal myśli, że Ziemia pływa w naczyniu ustawionym na grzbiecie słonia, stojącego na zwiniętym węźu, leżącym na żółwiu pływającym w morzu nieskończoności. W pewnym sensie cieszę się, że się tam nie

urodziłem, choć to fascynujące miejsce. Rodzą się tam tak efektowni neurotycy. Był taki jeden na Harvardzie... - umilkł i spojrzał na Mysz. - Zabawny jesteś, mały. Jesteś tutaj, lecisz frachtowcem międzygwiazdowym, wytworem trzydziestodwuwiecznej technologii, a równocześnie masz głowę pełną skamielin, pomysłów, które są nieaktualne od tysięcy lat. Pokaż, co tam podwędziłeś.

Mysz zanurzył rękę głębiej w sakwie i wyjął kartę. Spojrzał na nią, na awers i rewers; Katin sięgnął i zabrał mu ją.

- Pamiętasz, kto ci powiedział, żebyś nie wierzył w tarota? - Katin przyjrzał się karcie.

- To była moja... - Mysz ujął w dłonie brzegi sakwy i ściągnął je. - Ta kobieta. Kiedy byłem jeszcze całkiem mały, miałem jakieś pięć albo sześć lat.

- Też była Cyganką?

- Tak. Opiekowała się mną. Miała karty, jak Tyj. Tylko że nie były trójwymiarowe. To były stare karty. Wróżyła ludziom, kiedy podróżowaliśmy po Francji i Włoszech. Wiedziała o nich wszystko, co oznaczają obrazki i takie tam. I powiedziała mi o tym: że nie ma znaczenia, co się mówi, to wszystko oszustwo. Że to wszystko to udawanie i nic nie znaczy. Mówiła, że tarot rozpowszechnił się dzięki Cyganom.

- To prawda. Prawdopodobnie to Cyganie sprowadzili tarot ze wschodu na zachód w jedenastym albo dwunastym wieku. I na pewno przyczynili się do jego popularności w Europie przez następnych pięćset lat.

- Tak właśnie mi powiedziała; że karty należały najpierw do Cyganów i Cyganie wiedzieli, że to wszystko oszustwo. I żeby im nigdy nie wierzyć.

Katin uśmiechnął się.

- Bardzo romantyczny pomysł. Sam się do niego przekonuję: pomysł, że wszystkie te symbole, przefiltrowane przez pięć tysięcy lat mitologii, są zasadniczo pozbawione znaczenia i nie mają wpływu na ludzkie umysły i czyny, zalatuje mi trochę nihilizmem. Niestety, wiem zbyt dużo o tych symbolach, żeby się z tym zgodzić. Ale chętnie wysłucham, co masz do powiedzenia. A zatem ta kobieta, która się tobą zajmowała,

kiedy byłeś dzieckiem, wróżyła z kart tarota, ale upierała się przy zdaniu, że to wszystko oszustwo?

- Tak - Mysz puścił sakwę. - Tylko że...

- Tylko że co? - spytał Katin, bo Mysz zamilkł.

- Tylko że pewnej nocy... tuż przed końcem... Nie było tam nikogo poza Cyganami. Czekaliśmy w jaskini. Była noc. Baliśmy się wszyscy, bo wiedzieliśmy, że coś się wydarzy. Szeptali między sobą, a kiedy zbliżał się któryś z dzieciaków, milkli. Tej nocy wróżyła z kart - tylko że wtedy to wcale nie było oszustwo. Wszyscy siedzieli w ciemnościach, dookoła ogniska, słuchając tego, co czyta w kartach. Rankiem obudzili mnie wcześniej, kiedy słońce dopiero wschodziło nad miastem między górami. Wszyscy odjeżdżali. Nie pojechałem z babką - i tą kobietą, która wróżyła z kart. Nigdy już ich nie zobaczyłem. Ci, z którymi odjechałem, niedługo potem znikli. Sam dotarłem do Turcji - Mysz dotknął kciukiem jakiegoś kształtu pod skórą. - Ale tej nocy, kiedy ona wróżyła z kart w świetle ogniska, pamiętam, że bardzo się bałem. Oni też się bali, rozumiesz. I nie chcieli nam powiedzieć dlaczego. Ale bali się aż tak, że spytali kart - choć wiedzieli, że to wszystko oszustwo.

- Przypuszczam, że kiedy sytuacja staje się poważna, ludzie uciekają się do zdrowego rozsądku i rezygnują z przesądów wystarczająco wcześniej, żeby ocalić życie - Katin zmarszczył brwi. - Jak sądzisz, co to mogło być.

Mysz wzruszył ramionami.

- Może jacyś ludzie mieli nas zaatakować. Wiesz, jak to jest z Cyganami. Wszyscy uważają Cyganów za złodziei. My też tak myśleliśmy. Może ludzie z miasta nam grozili. Na Ziemi nikt nie lubi Cyganów. Bo nie pracujemy,

- Przecież *ty* ciężko pracujesz, Mysz. Dlatego właśnie zastanawiam się, dlaczego wdałeś się w tę awanturę z Tyj. Naraziłeś na szwank swoje dobre imię.

- Ostatni raz przebywałem wśród Cyganów, kiedy miałem jakieś siedem czy osiem lat. Poza tym mam wszczepy. Choć zrobiłem je sobie dopiero w Melbourne, w Akademii Coopera.

- Naprawdę? Musiałeś mieć wtedy co najmniej piętnaście czy szesnaście lat. To naprawdę późno. Na Lunie wszczepiają

gniazda trzy- albo czteroletnim dzieciom, żeby mogły posługiwać się komputerami w szkole - na twarzy Katina nagle pojawił się wyraz skupienia.

- Chcesz powiedzieć, że to była cała grupa dorosłych z dziećmi, wędrująca od miasta do miasta, z kraju do kraju, na Ziemi, i nikt nie miał wszczepów?

- Tak. Chyba tak było.

- Niewiele jest prac, które można wykonywać bez gniazd.

- Pewnie tak.

- Nic dziwnego, że twoi Cyganie byli prześladowani. Grupa podróżujących dorosłych bez wszczepów! - potrząsnął głową. - Ale dlaczego ich nie miałeś?

- Tak już jest u Cyganów. Nie robią wszczepów. Nigdy ich nie chcieliśmy. Zrobiłem je, bo byłem już wtedy sam - no i chyba było to łatwiejsze - Mysz objął ramionami kolana. - Ale to przecież żaden powód, żeby przychodzić i wyganiać nas z miasta, gdzie się osiedliliśmy. Pamiętam, że raz złapali dwóch Cyganów i zabili ich. Pobili ich do nieprzytomności, a potem odcięli im ręce i powiesili na drzewach głowami w dół, żeby się wykrwawili...

- Mysz! - Katin skrzywił się.

- Byłem wtedy mały. Ale pamiętam. Może właśnie wtedy poprosili babkę, żeby powiedziała, co mówią karty, choć wcale w to nie wierzyli. Może właśnie z tego powodu wszystko się rozpadło.

- Tylko w Drako - odparł Katin. - Tylko na Ziemi.

Mysz zwrócił ku niemu ciemną twarz.

- Dlaczego, Katinie? No dalej, powiedz mi. Dlaczego nam to zrobili - na końcu tego zdania nie było pytajnika. Zawisła tam szorstka wściekłość.

- Bo ludzie są głupi, ograniczeni i boją się wszystkiego, co jest odmienne - Katin przymknął oczy. - Dlatego właśnie wołę księżycy. Nawet na dużym księżycu trudno jest zgromadzić wystarczająco dużo ludzi, żeby coś takiego się stało. - Otworzył oczy. - Mysz, zastanów się. Kapitan Von Ray ma wszczepy. A jest jednym z najbogatszych ludzi we wszechświecie. Wszczepy ma też każdy górnik, zamiatacz ulic, barman czy urzędnik -

albo ty. W Federacji Plejad czy w Zewnętrznych Koloniach, jest to zjawisko ponadkulturowe - w ten sposób uważamy wszystkie maszyny za bezpośrednie przedłużenie człowieka, który jest akceptowany na dowolnym poziomie społecznym od czasów Ashtona Clarka. Aż do tej rozmowy powiedziałbym, że to całkowicie ponadkulturowe zjawisko także na Ziemi. Bo ty mi uświadomiłeś, że na naszej ojczyściej planecie do dzisiejszych czasów przetrwały zupełnie niewiarygodne anachronizmy kulturowe. Ale fakt, że grupa Cyganów bez wszczepów, ubogich, próbujących znaleźć pracę w miejscu, gdzie nie ma żadnej pracy, przepowiadający przyszłość z użyciem metody, której już nie rozumieją, a którą reszta świata zdołała doskonale opanować, osiągając zrozumienie, jakim cieszyli się przodkowie tych Cyganów - pojawienie się w mieście wyjętych spod prawa eunuchów nie powinno być bardziej niepokojące dla zwykłego, wyposażonego we wszczepy męczyzny czy kobiety. Eunuchów? Podłączanie się do wielkich mastyn nazywano dawniej ćwiekowaniem; nie uwierzyłbyś, skąd to określenie. Nie, nie rozumiem, dlaczego tak się stało. Ale rozumiem trochę, jak - potrząsnął głową. - Ziemia to zabawne miejsce. Byłem tam na studiach przez cztery lata i dopiero zaczynało do mnie docierać, jak mało z tego rozumiem. Ludzie, którzy się tam nie urodzili, pewnie nigdy nie będą w stanie tego pojąć w pełni. Nawet na innych planetach Drako prowadzimy prostsze życie - tak mi się wydaje - Katin spojrział na kartę, którą trzymał w dłoni. - Wiesz, jak nazywa się karta, którą zwinąłeś?

Mysz skinął głową.

- Słońce.

- Wiesz, że jeśli będziesz podwędzał karty, to one nie pojawią się podczas wróżby? A kapitan chyba bardzo chciał zobaczyć właśnie tę.

- Wiem - Mysz przesunął palcami po pasku worka. - Karty już wtedy mówiły o tym, że to ja mam stanąć między kapitanem a jego słońcem. Więc zwędziłem tę kartę z talii - potrząsnął głową.

Katin wyciągnął dłoń z kartą.

- Dlaczego jej nie oddasz? Przy okazji mógłbyś przeprosić za całe zamieszanie.

Mysz spuścił wzrok na jakieś pół minuty, po czym wstał, wziął kartę i ruszył korytarzem.

Katin patrzył, jak mija róg. Założył ręce na piersi i opuścił głowę, by pomyśleć. I jego umysł uleciał w stronę bladej ziemi zapamiętanych księżyców.

Katin siedział w mesie pogrążony w zadumie, aż zamknął oczy. Coś szturchnęło go w udo.

Otworzył oczy.

- Hej...?

Lynkeos (z Idasem maszerującym przy jego ramieniu jak cień) pojawił się koło niego i wyjął mu z kieszeni rejestrator, ciągnąc za łańcuszek. Przyglądał się zdobionemu klejnotami pudełeczku.

- Co ta...

- ...rzecz robi? - dokończył Idas.

- A możesz mi to oddać?

Katin był rozdrażniony, gdyż przeszkadzono mu w rozmyślaniach. Rozzłościł go ich tupet.

- Widzieliśmy, jak się tym bawisz jeszcze w porcie - Idas wyjął przedmiot z białych palców brata...

- Posłuchajcie... - zaczął Katin.

...i oddał go Katinowi.

- Dzięki - Katin włożył rejestrator do kieszeni.

- Pokaż nam, jak to działa...

- ...i do czego go używasz?

Katin zastygł, po czym obrócił rejestrator w kieszeni.

- To tylko rejestrator macierzowy, służy do dyktowania notatek i archiwizowania ich. Używam go do pisania powieści.

- Hej, ja wiem, co... - zaczął Idas.

- ...ja też. Ale czemu chcesz...?

- ...napisać jedną z tych...

- ...a czemu nie psychoramy...

- ...to przecież o wiele łatwiejsze. Może...

- ...my też w niej będziemy?

Katin zauważył, że próbuje udzielić czterech odpowiedzi naraz, aż roześmiał się.

- Posłuchajcie, wy sławne młynki do pieprzu i soli, nic takiego nie przychodzi mi do głowy! - Zastanowił się przez sekundę. - Nie wiem, dlaczego chcę napisać jedną z tych powieści. Jestem pewien, że psychorama byłaby łatwiejsza, gdybym tylko miał sprzęt, pieniądze i gdybym miał znajomości w studio, gdzie powstają psychoramy. Ale ja tego nie chcę. Nie mam pojęcia, czy w niej będziecie, czy nie. Nawet jeszcze nie zacząłem myśleć o temacie. Nadal tylko robię notatki w różnej formie. - Zmarszczyli brwi. - Na temat struktury, estetyki całej tej zabawy. Nie da się po prostu usiąść i pisać. Trzeba jeszcze myśleć. Powieść była kiedyś formą sztuki. Muszę ją na nowo wynaleźć, zanim ją napiszę. A przynajmniej tę, którą chcę napisać.

- Och - odezwał się Lynkeos.

- Na pewno wiesz, czym jest powieść...

- ...bo oczywiście ja też wiem. Widziałeś „Wojnę...

- ...i pokój”? Tak. Ale to była psychorama...

- ...z Che-ong w roli Nataszy. To było...

- ...na podstawie powieści? Zgadza się...

- ...teraz pamiętasz?

- Uhm - stojący za bratem ciemny Idas skinął głową. - Tylko że - zwrócił się do Katina - jak to się stało, że nie wiesz, o czym chcesz pisać?

Katin wzruszył ramionami.

- To może napiszesz powieść o nas, skoro jeszcze nie wiesz, o czym ma być?

- ...i będziemy mogli go pozwać, jeśli napisze coś nie tak?

- Hej - przerwał im Katin. - Muszę znaleźć temat, który udźwignie tę powieść. Już wam mówiłem, nie umiem powiedzieć, czy w niej będziecie, czy nie...

- A tak w ogóle, to co tam masz? - rzekł Idas zza ramienia Lynkeosa.

- Hm? Jak mówiłem, notatki. Do książki.

- Posłuchajmy.

- Posłuchajcie, chłopaki, lepiej nie... - wzruszył w końcu ramionami. Pokręcił rubinowymi pokrętłami w górnej części rejestratora i przełączył go na odtwarzanie.

- Notatka ku pamięci numer pięć tysięcy trzysta siedem. Należy pamiętać o tym, że powieść, bez względu na to, jak intymna, psychologiczna czy subiektywna, zawsze jest historyczną projekcją naszych czasów - odtwarzanie było przyspieszone, głos brzmiał wysoko, ale tak było łatwiej. - Aby napisać tę książkę, muszę zyskać świadomość koncepcji historii w moich czasach.

Czarna dłoń Idasa spoczęła jak epolet na ramieniu brata. Zmarszczył brwi, a w oczach barwy kory i koralu pojawiło się skupienie.

- Historia? Została wynaleziona trzy tysiące sześćset lat temu przez Herodota i Tukidydesa. Zdefiniowali ją jako badanie tego, co miało miejsce za ich życia. I przez tysiąc kolejnych lat nie była niczym innym. Tysiąc siedemset lat po Herodocie, po Grekach, Anna Komnena z Konstantynopola opisała, z legalistyczną błyskotliwością (i zasadniczo tym samym językiem, co Herodot), historię jako badanie udokumentowanych czynów ludzkich. Wątpię jednak, czy ta czarująca Bizantyjka rzeczywiście wierzyła, że rzeczy wydarzają się tylko wtedy, gdy zostaną opisane, lecz incydenty, które nie znalazły się w kronikach, nie były uwzględniane w historii Bizancjum. Cała koncepcja uległa zmianie. Minął kolejny tysiąc lat i wkroczyliśmy w stulecie, które zaczęło się pierwszym konfliktem globalnym, a zakończyło pierwszym międzyplanetarnym. W którymś momencie powstała teoria, że historia to sinusoida wzlotów i upadków jednej cywilizacji za drugą. Zdarzenia, które nie pasowały do danego cyklu, były uznawane za historycznie nieistotne. Dziś trudno nam docenić różnice między Spenglerem a Toynbeem, choć w ich czasach powszechnie oceniano ich podejścia jako biegunowe. Z naszego punktu widzenia najwyżej spierali się o to, kiedy zaczął się który cykl. Minął kolejny tysiąc lat i teraz musimy się spierać z De Eilingiem i Broblinem, 34-Alvinem i badaniem z Crespburg. Tylko dlatego, że to nam współcześni, wiemy, że

muszą przejawiać ten sam pogląd na historię. Ile jednak świtów przeżyłem przy dokach w Charles, gdzie spacerowałem i zastanawiałem się nad tym, czy teoria integralnej konwekcji historycznej Saundera ma sens, czy też raczej popieram Broblina. Mimo to zyskałem wystarczającą perspektywę, by zrozumieć, że kolejny tysiąc lat różnic będzie wydawał się minutą w obliczu dwóch teologów średniowiecznych kłócących się o to, czy na czubku szpilki może zatańczyć tuzin aniołów czy dwa.

- Notatka ku pamięci numer pięć tysięcy trzysta osiem. Nie zapominać o tym, jak wyglądają prążkowane sykomory na tle cynobrowego...

Katin wyłączył rejestrator.

- Och - rzekł Lynkeos. - To było trochę dziwne...
 - ...ciekawe - dodał Idas. - Czy kiedykolwiek wpadłeś na to...
 - ...jaki są jego poglądy na historię...
 - ...o koncepcjach historycznych naszych czasów?
 - Tak, pewnie. To bardzo ciekawa teoria. Gdybyście tylko...
 - Sądzę, że to musi być bardzo skomplikowane - wyznał Idas.
 - To znaczy...
 - ...zrozumienie tego przez ludzi żyjących współcześnie...
 - To zaskakujące, ale nie - przerwał im Katin. - Wystarczy sobie tylko uświadomić, jak traktujemy...
 - ...może dla ludzi, którzy będą tyli w przyszłości...
 - ...to nie będzie aż tak trudne...
 - Naprawdę? Nie zauważyliście - znów doszedł do głosu Katin
 - w jaki sposób cała macierz społeczna jest postrzegana jako...
 - Nie wiemy za wiele o historii - Lynkeos podrapał się w srebrną czuprynę. - Nie przypuszczam...
 - ...żebyśmy byli w stanie to teraz zrozumieć...
 - Oczywiście, że moglibyście! - zawołał Katin. - Mogę wam to wyjaśnić...
 - ...może później...
 - ...kiedyś w przyszłości...
 - ...to będzie łatwiejsze.
- Nagle zaatakowały go dwa uśmiechy; czarny i biały, po czym bliźniacy odwrócili się i odeszli.

- Hej! - zawołał Katin. - A nie chcecie...? To znaczy, mogę wyjaś... Ech.

Zmarszczył brwi, położył dłonie na biodrach i patrzył za oddalającymi się bliźniakami. Czarne plecy Idasa stały się tłem dla rozsypanych konstelacji. Po chwili Katin uniósł rejestrator, pstryknął rubinowymi przełącznikami i przemówił cicho;

- Notatka ku pamięci numer dwanaście tysięcy osiemset dziesięć: inteligencja jest przyczyną wyobcowania i niezadowolenia u... - zatrzymał rejestrator. Zamrugał i nadal patrzył na bliźniaków.

- Kapitanie?

Stojący u szczytu schodów Lorq opuścił rękę, którą już wyciągał w stronę drzwi, i spojrział w dół.

Mysz wetknął kciuk do dziury w spodniach i podrapał się w udo.

- Kapitanie? - wyjął kartę z worka. - Tu jest twoje słońce.

Rdzawe brwi powędrowały w górę w cieniu.

Spojrzenie żółtych oczu spoczęło na Myszy.

- Ja... hm... pożyczyłem ją od Tyj. Chciałem ją oddać...

- Mysz, chodź tutaj.

- Tak jest, sir.

Mysz ruszył po kręconych schodach. Drobne fale uderzały o brzeg zbiornika. Jego odbicie wędrowało w górę, błyszczało wśród odbijających się filodendronach ze ściany. Stopa bosa i obuta sprawiały, że jego chód stawał się synkopowany.

Lorq otworzył drzwi. Weszli do kajuty kapitana.

Pierwsza myśl Myszy: jego kajuta wcale nie jest większa od mojej.

A druga: jest w niej o wiele więcej rzeczy.

Poza komputerami były tam ekrany projekcyjne: na ścianach, podłodze i suficie. Słyszać było mechaniczny stukot, a w kajucie nie było niczego osobistego. Nawet graffiti.

- Przyjrzyjmy się tej karcie - Lorq przysiadł na kablach zwiniętych na leżance i zaczął badać dioramę.

Mysz nie sądził, aby został zaproszony do siadania na leżance,

odsunął więc skrzynkę z narzędziami i przysiadł po turecku na podłodze.

Kolana Lorq nagle powędrowały w przeciwnych kierunkach; rozcapierzył palce; jego ramiona zadygotały, a mięśnie twarzy zmięły się. Spazm szybko jednak minął i kapitan usiadł prosto. Wciągnął głęboko powietrze do płuc; poczuł wpijające się w brzuch sznurowadła.

- Usiądź tu - poklepał skraj leżanki.

Mysz wołał jednak tylko zmienić pozycję na podłodze tak, by siedzieć u kolan kapitana.

Lorq pochylił się i położył kartę na podłodze.

- To jest karta, którą ukradłeś? - charakterystyczny grymas przemknął po jego twarzy. Mysz wołał jednak patrzeć na kartę.

- Gdyby to była pierwsza ekspedycja, którą zorganizowałem, żeby zbliżyć się do tej gwiazdy... - Lorq zaśmiał się. - Sześciu wyszkolonych i zaprawionych w bojach mężczyzn, którzy zapoznali się z całą operacją pod hipnozą, znali harmonogram akcji równie dobrze, co rytm swojego serca, funkcjonowali w warstwach tak sprawnie, jak bimetalowy pasek. Kradzieże wśród załogi...? - zaśmiał się znowu, potrząsając wolno głową. - Tak bardzo im ufałem. A najbardziej Danowi - dotknął głowy Myszy i delikatnie zmierzwił mu włosy. - Ta załoga bardziej mi się podoba - wskazał kartę. - Mysz, powiedz mi, co tam widzisz?

- Cóż. Wydaje mi się, że... dwóch chłopców bawiących się w...

- Bawiących się? - spytał Lorq. - Jesteś pewien, że oni się bawią?

Mysz rozsiadł się wygodniej i objął worek z fletnią.

- Co ty tam widzisz, kapitanie?

- Dwóch chłopców gotowych do walki. Widzisz, że jeden jest ciemny, a drugi jasny? Widzę tam walkę miłości ze śmiercią, światła z ciemnością, chaosu z porządkiem. Widzę starcie przeciwności w... promieniach słońca. Widzę Prince'a i samego siebie.

- Który z was jest który?

- Nie wiem, Mysz.

- Jaki właściwie jest Prince Red, kapitanie?

Lorq uderzył lewą pięścią w zagłębienie prawej dłoni.

- Widziałeś go, kiedy odtwarzaliśmy tę wiadomość, w kolorze i trzech wymiarach. Naprawdę musisz o to pytać? To zepsuty psychopata, bogaty jak Krezus; ma jedną rękę i siostrę piękną jak... - rozdzielił dłonie. - Mysz, jesteś z Ziemi. Z tej samej planety, z której pochodzi Prince. Byłem tam wiele razy, ale nigdy tam nie mieszkałem. Może ty będziesz wiedział? Dlaczego ktoś, kto pochodzi z Ziemi i cieszy się wszelkimi przywilejami, jakie tylko można czerpać z bogactw Drako, chłopiec, młodzieniec i mężczyzna, może być tak... - głos mu się załamał. Dłonie znów wykonały gest przypominający ciężar spadający na hamak. - Nieważne. Wyjmij swoją piekielną fletnię i zagraj mi coś. Dalej. Chcę patrzeć i słuchać.

Mysz poszperał w sakwie. Położył jedną dłoń na drewnianym gryfie, drugą przesunął nad wypolerowanymi krzywiznami; zacisnął palce, usta i powieki. Zmarszczył brwi w skupieniu, po czym rozluźnił się.

- Mówisz, że ma tylko jedną rękę?

- Pod tą czarną rękawicą, którą tak efektownie zmiażdżył kamerę, jest tylko mechanizm.

- To znaczy, że nie ma tam wszczepki - rzekł Mysz chrapliwym szeptem. - Nie wiem, skąd pochodzisz, kapitanie, ale na Ziemi to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogą się komuś przytrafić. Kapitanie, mój lud tego nie miał, a Katin niedawno wyjaśnił mi, czemu w związku z tym jestem taki małostkowy - fletnia wynurzyła się z sakwy. - Co mam zagrać? - Zagrał na próbę kilka nut, kilka punktów światła.

Lorq jednak patrzył znów na kartę.

- Po prostu graj. Niedługo będziemy musieli podłączyć się, bo będziemy zbliżać się do Instytutu. Dalej. Szybko. Graj, mówię.

Ręka Myszy opadła w stronę...

- Mysz?

...i cofnęła się, nie uderzając struny.

- Dlaczego ukradłeś tę kartę?

Mysz wzruszył ramionami.

- Po prostu tam była. Upadła na wykładzinę koło mnie.

- Ale gdyby to była inna karta, na przykład dwójka pucharów,

dziewiątka buław - też byś ją zabrał?

- Hm... chyba tak.

- Jesteś pewien, że w tej karcie nie ma niczego szczególnego? Że gdyby to była inna karta, nie ruszyłbyś jej albo ją odłożył?

Mysz nie wiedział, skąd się wzięło to uczucie, ale znów ogarnął go strach. By stawić mu czoło, obrócił się i ujął kapitana za kolano.

- Kapitanie, posłuchaj! Nie przejmuj się tym, co mówią karty, pomogę ci dotrzeć do tej gwiazdy, rozumiesz? Będę przy tobie i wygrasz ten wyścig. Nie pozwól, żeby jakaś szalona kobieta przekonywała cię, że będzie inaczej!

Podczas tej rozmowy Lorq sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach. Dopiero teraz uważnie przyjrzał się grymasowi na ciemnej twarzy.

- Pamiętaj, żeby oddać tej szalonej kobiecie jej kartę, zaraz, gdy stąd wyjdiesz. Niedługo będziemy w pobliżu Vorpis.

Wrażenie było tak silne, że Mysz nie wytrzymał. Na ciemnych wargach wykwitł chrapliwy śmiech.

- I tak uważam, że oni się bawią, kapitanie.

Mysz obrócił się i umieścił swoją bosą stopę przy odzianej w sandał nodze kapitana, jak szczeniak przy swoim panu, i uderzył precyzyjnie w struny.

Światła wszystkich maszyn zamigotały miedzią i szmaragdem, na dźwięk arpeggiów przywołujących na myśl harfę; Lorq spojrział na chłopca u swoich stóp. Coś się z nim działo. Nie znał jednak przyczyny. Po raz pierwszy od dawna patrzył na kogoś z przyczyn, które nie miały nic wspólnego z gwiazdą. Nie wiedział, na co właściwie patrzy. Siedział jednak i patrzył na dzieło Myszy.

Cygan poruszał miriadami światełek barwy płomienia, które prawie wypełniały kajutę, tworzą wielką kulę, aż rozpadły się na pokruszone kształty w ponurej, dysharmonijnej fudze.

ROZDZIAŁ 5

Drako, Vorpis, Phoenix, 3172

- Planeta?

- Vorpis.

Planeta, która ma tak wiele w sobie, na sobie...

- Witajcie, podróżni...

...gdy tymczasem księżycy, rozmyślał Katin, gdy opuszczali lądowisko bramą oświetloną blaskiem świtu, przechowując swą szarą chwałę zminiaturyzowaną w postaci skał i pyłu.

- Doba na Vorpisie trwa trzydzieści trzy godziny, grawitacja jest większa zaledwie o tyle, by przyspieszyć tętno o zero przecinek trzy procent ziemskiego w okresie aklimatyzacji trwającym sześć godzin...

Minęli stumetrową kolumnę: łuski, błyszczące w promieniach świtu, przebijały się przez mgłę otulającą płaskowyż: wąż, poruszający się, animowany, symbol całego wypełnionego cekinami sektora nocy, wił się na posterunku. Załoga wkroczyła na ruchomy chodnik, spłaszczone na końcach słońce ścierało różem nocne siniaki.

- ...cztery miasta, każde liczące ponad pięć milionów mieszkańców. Vorpis wytwarza piętnaście procent dynaplastów w Drako. W obfitujących w bogactwa regionach równikowych z płynnych skał wydobywa się ponad trzy tuziny różnych minerałów. Tutaj, w tropikalnych regionach polarnych, sieciojeźdźcy polują na arolat i akwalat w kanionach rozcinających płaskowyż. Vorpis jest słynna w całej galaktyce z Instytutu Alkańskiego, który znajduje się w Phoenix, mieście na półkuli północnej...

Minęli punkt, za którym głos automatycznego informatora już nie docierał i zapadła cisza. Chodnik wiózł ich z dala od schodów; Lorq, stojąc wśród swojej załogi, obejrzał się w stronę placu.

- Kapitanie, dokąd pojedziemy? - Sebastian zabrał ze statku tylko jedno ze swoich zwierząt. Zakołysało się i wskoczyło mu na połamane ramię.

- Pojedziemy mgłopelzaczem do miasta, a stamtąd do Instytutu Alkańskiego. Kto chce, może pojechać ze mną, pochodzić po muzeum, albo powłóczyć się parę godzin po mieście. A jeśli ktoś woli wrócić na statek...

- ...i nie zobaczyć Instytutu Alkańskiego...?

- ...ile kosztuje wstęp...?

- ...przecież kapitan ma tam ciotkę...

- ...więc chyba wejdziemy za darmo - dokończył Idas.

- Nie martwcie się o to - rzekł Lorq, gdy truchtali rampą w stronę stanowisk mgłopelzaczy.

Okolice biegunów planety były upstrzone wysokimi, spłaszczonymi skałami - niektóre miały po kilka mil kwadratowych powierzchni. Między nimi pełzały i rozlewały się pasma gęstych mgieł, które nie mieszały się z azotowo-tlenową atmosferą roztaczającą się powyżej. Tlenek aluminium w postaci pyłu i siarczan arsenu, zmieszane z parami węglowodorów, wydobywały się z niestabilnego podłoża i wypełniały przestrzeń między skałami. Tuż poniżej płaskowyżu, na którym znajdowało się lądowisko, był mniejszy płaskowyż, gdzie uprawiano rośliny, występujące raczej w regionach o wyższych szerokościach geograficznych planety (kaształy, rdzawnice, szkarłaty); tu tworzyły naturalny park. Na największym płaskowyżu znajdowało się Phoenix.

Mgłopelzacz, samoloty z napędem inercyjnym wykorzystujące ładunek elektryczny, jaki odkładał się między dodatnio jonizowaną atmosferą a ujemnie jonizowanymi tlenkami, unosiły się na powierzchni mgły jak łodzie.

Między przezroczystymi cegłami hali w powietrzu unosiły się cyfry oznaczające godziny odjazdu; dalej widać było strzałki kierujące tłumy na rampę załadowniczą:

PARK ANDROMEDA - PHOENIX - MONTCLAIR

Wielki ptak, broczący ogniem, unosił się wśród wielobarwnych kształtów między butami, bosymi stopami i sandałami.

Na pokładzie mgłopełzacza Katin oparł się o poręcz i patrzył przez plastikową ścianę, jak białe fale załamują się i rozwijają w słońcu, by roztrzaskać się o kadłub.

- Czy kiedyś przyszło wam do głowy - rzekł Katin, gdy zbliżył się do niego Mysz, z lizakiem w ustach - jak trudno byłoby człowiekowi z przeszłości zrozumieć terażniejszość? Wyobraźmy sobie kogoś, kto umarł, powiedzmy, w dwudziestym szóstym stuleciu, by obudzić się tutaj. Zdajecie sobie sprawę z tego, jak bardzo byłby przerażony i zdezorientowany, gdyby pojawił się na pokładzie mgłopełzacza?

- Naprawdę? - Mysz wyjął lizaka z ust. - Chcesz? Nie mam ochoty na więcej.

- Dzięki. Weźmy - szczeka Katina zadrżała, gdy odgryzał kryształki cukru z lnianego paska - kwestię czystości. Między piętnastym a dwudziestym piątym stuleciem nastąpił tysiącletni okres, kiedy to ludzie używali mnóstwo czasu i energii na to, żeby wszystko było *czyste*. Skończył się on z chwilą, kiedy ostatnia choroba zakaźna przeniosła się z kategorii uleczalnych do kategorii nieistniejących. Istniało coś tak niewiarygodnego, jak „przeziębienie” - nawet w dwudziestym pierwszym wieku prawie wszyscy chorowali co najmniej raz w roku. Fetysz ten miał pewne uzasadnienie: istotnie istniała korelacja między brudem a chorobami. Kiedy jednak zakażenia przestały istnieć, czyszczenie stało się niepotrzebne. Gdyby nasz przybysz sprzed pięciuset lat zobaczył, jak chodzisz po pokładzie z jedną nogą obutą, a drugą bosą, a potem obserwował, jak siadasz do stołu nie zadawszy sobie trudu umycia tej nogi - masz pojęcie, jaki by był zdezorientowany?

- Serio?

Katin skinął głową.

Mgła rozstąpiła się u podstawy skały. Migotała.

- Mysz, zainspirował mnie pomysł złożenia wizyty w Instytucie Alkańskim. Tworzę coś w rodzaju całej teorii

dotyczącej historii. Ma pewien związek z moją powieścią. Czy mogę przez chwilę napawać się własną erudycją? Wszystko wam wyjaśnię. Przyszło mi do głowy, że jeśli ktoś rozpatrzy... - umilkł.

Minęła chwila wystarczająco długa, by przez twarz Myszy przemknęło kilka różnych min.

- O co chodzi? - spytał, gdy uznał, że w rozmiękającej szarości nie znajdzie się nic, co mogłoby przyciągnąć uwagę Katina. - O co chodzi z tą teorią?

- Cyana Von Ray Morgan?

- Co?

- „Kto”, Mysz. Cyana Von Ray Morgan. Przyszła mi do głowy absolutnie idealna myśl: właśnie zrozumiałem, kim jest ciotka kapitana, obecnie kustosz w Instytucie Alkańskim. Kiedy Tyj wróżyła z kart, kapitan wspomniał coś o wuju, który został zabity jeszcze w dziecięcych czasach kapitana.

Mysz zmarszczył czoło.

- Taaaa...

Katin potrząsnął głową, udając niedowierzenie.

- Kto co zrobił? - spytał Mysz.

- Morgan i Underwood.

Mysz spojrział w dół i rozejrzał się na boki, i we wszystkich kierunkach, jakby szukał zaginionych skojarzeń.

- To się chyba stało, kiedy nie było cię jeszcze na świecie - odezwał się w końcu Katin. - Ale pewnie o tym słyszałeś albo gdzieś to widziałeś. Wtedy sprawę relacjonowały wszystkie kanały psychoramyczne w galaktyce. Miałem tylko trzy lata, ale...

- Morgan zabił Underwooda! - wykrzyknął Mysz.

- Underwood zabił Morgana - poprawił go Katin. - Ale z grubsza o to chodzi.

- Na Arce - przypomniał sobie Mysz. - To Plejady.

- Miliardy ludzi w całej galaktyce mogło przeżywać tę sprawę dzięki sieciom psychoramicznym. Nie, nie mogłem mieć wtedy więcej niż trzy lata. Byłem w domu z rodzicami i oglądałem inaugurację, kiedy ten niewiarygodny facet w błękitnej kamizelce wydostał się z tłumu i zaczął biec przez Plac

Chronaiki z drutem w dłoni.

- On został uduszony! - krzyknął Mysz. - Morgan został uduszony. Widziałem o tym psychoramę! Raz w Mars City, kiedy lataliśmy na trasie o kształcie trójkąta, widziałem skróconą wersję. To był jakiś reportaż albo coś w tym rodzaju.

- Underwood prawie odciął Morganowi głowę - wyjaśnił Katin. - Kiedy pokazywali to po raz kolejny, samą scenę morderstwa wycięto. Ale pięć miliardów ludzi doznało emocji człowieka, który właśnie miał zostać zaprzysiężony jako sekretarz Plejad na drugą kadencję, a został zaatakowany przez szaleńca i zabity. Wszyscy doznaliśmy wrażenia, jakby to na nasze plecy skoczył Underwood, słyszeliśmy krzyki Cyany Morgan, która próbowała go odciągnąć, słyszeliśmy, jak przedstawiciel Kolsyn krzyczy coś o trzecim ochroniarzu - to właśnie była przyczyna zamieszania, jakie pojawiło się później w śledztwie - i poczuliśmy strunę, którą Underwood zacisnął na naszych szyjach, czuliśmy, jak się wpija, machaliśmy prawymi rękami, i czuliśmy dotyk dłoni pani Tai na lewych. A potem umarliśmy - Katin potrząsnął głową. - Potem ten głupi operator projektora nazywał się Naibn'n i z powodu swej głupoty o mało nie skończył z wypalonym mózgiem, bo paru wariatów uznało, że był zamieszany w spisek - przełączył psychomat na Cyanę, zamiast na zamachowca, żeby wszyscy mogli się dowiedzieć, kim jest i co robi, więc przez kolejne trzydzieści sekund byliśmy rozhisteryzowaną kobietą kucającą na placu, trzymającą broczące krwią ciało męża, pośrodku chaosu stworzonego przez równie rozhisteryzowanych dyplomatów, przedstawicieli rządu i strażników, patrzącą, jak Underwood zaczyna uciekać, przedziera się przez tłum, a potem znika.

- Tej części w Mars City nie pokazali. Ale pamiętam żonę Morgana. To ciotka kapitana?

- To chyba siostra jego ojca.

- Skąd wiesz?

- Przede wszystkim z nazwiska: Von Ray Morgan. Pamiętałem, jak czytałem, kiedy miałem jakieś siedem albo osiem lat, że ma coś wspólnego z Instytutem Alkańskim.

Podobno była błyskotliwą i wrażliwą kobietą. Przez jakieś pierwsze dziesięć lat po zamachu skupiała się na niej uwaga tych straszliwie wyrafinowanych kręgów społecznych; Cyana krążyła między Drako a Plejadami, widywano ją na Plaży Płomieni na planecie Chobe; czasem też pokazywała się na regatach kosmicznych ze swoimi dwoma córeczkami. Spędzała dużo czasu ze swoją kuzynką, Laile Selvin, która sama przez jedną kadencję pełniła obowiązki Sekretarza Plejad. Serwisy informacyjne cały czas tkwiły w niezdecydowaniu, nie wiedząc, czy pisać o niej z pewną nutą skandalu, czy też uszanować potworności, jakie przeszła w związku z zamachem na Morgana. Dziś, gdy pojawia się na jakimś otwarciu wystawy albo innym wydarzeniu, zawsze o tym wspominają, choć przez kilka ostatnich lat trochę jej odpuścili. Jeśli ona naprawdę jest kustoszem w Instytucie, to pewnie ma za dużo pracy, żeby przejmować się tym, co o niej mówią.

- Słyszałem o niej - Mysz pokiwał głową i w końcu uniósł wzrok.

- W tamtym czasie prawdopodobnie była najbardziej znaną kobietą w galaktyce.

- Jak myślisz, zostaniemy jej przedstawieni?

- Hej - rzekł Katin, trzymając się balustrady i odchylając do tyłu - to byłoby naprawdę coś! Może moja powieść powinna właśnie traktować o Morganie, to byłaby taka nowoczesna powieść historyczna.

- Ach, tak - mruknął Mysz. - Ta twoja książka.

- Jakoś nie mogę się do niej zabrać, bo mam problem ze znalezieniem tematu. Zastanawiam się, jak pani Morgan zareagowałaby na taki pomysł. Och, moja powieść nie miałaby nic wspólnego z tymi sensacyjnymi raportami, które zaraz po zdarzeniu pojawiały się w psychoramach. Chciałbym spróbować stworzyć wyważone, wysmakowane dzieło sztuki, traktując temat jako coś, co spowodowało u całego pokolenia kryzys wiary w uporządkowany i racjonalny świat ludzi...

- Przypomnisz mi, kto tam kogo zabił?

- Underwood - wiesz, właśnie do mnie dotarło, że zabijając Sekretarza Morgana miał tyle samo lat, co ja teraz.

- Bo nie chciałbym się pomylić, jeśli ją poznamy. Złapali go, prawda?

- Pozostawał na wolności przez dwa dni, dwa razy oddawał się w ręce władz i dwukrotnie puszczano go wolno, razem z około dwustoma innymi ludźmi, którzy przyznali się do popełnienia tej zbrodni w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin. Dotarł aż do portu kosmicznego, gdzie zamierzał dołączyć do swoich dwóch żon w jednej z górniczych stacji Kolonii Zewnętrznych; w końcu został zatrzymany przez urzędników emigracyjnych. Tam jest dość materiału na tuzin powieści! Marzyłem o temacie, który byłby historycznie ważny. Może to będzie szansa, bym przedstawił moją teorię. Która, jak właśnie zamierzałem powiedzieć...

- Katinie?

- Hm... tak? - Katin, który wpatrywał się w miedziane chmury, spojrzał znów na Mysz.

- Co to jest?

- Co?

- Tam.

W postrzępionych wzgórzach mgły błysnął metal, po czym z fal wynurzyła się pofalowana czarna sieć i unosiła się nad mgłą, jakieś trzydzieści stóp od nich. Do środka sieci był przypięty za ręce i nogi mężczyzna; miał rozpiętą kamizelkę, a czarne włosy wymykały mu się spod maski. Przeleciał koło nich i mgła zakryła go ponownie.

- Przypuszczam, że to sieciojeździec buszujący w kanionach między płaskowyżami za miejscowym arolatem - wyjaśnił Katin - czy może akwalatem.

- Naprawdę? Podobno nigdy tu nie byłeś...

- Nie byłem. Ale na uniwersytecie widziałem dziesiątki eksponatów z Instytutu. Każda większa uczelnia ma system do zwiedzania sensorycznego. Nigdy jednak nie byłem tu osobiście. Po prostu słuchałem automatycznego przewodnika, kiedy jechaliśmy.

- Och...

Na powierzchni mgły pojawili się jeszcze dwaj jeźdźcy z sieciami. Mgła błyszcząca. Gdy ci dwaj opadli, wynurzył się

czwarty i piąty, a potem szósty.

- Patrzcie, całe stado.

Jeźdźcy przebili się przez mgłę, unoszący się, elektryczni; znikali, by znów się wynurzyć nieco dalej.

- Sieci - rozmyślał głośno Katin, wychylając się przez balustradę. - Wielka sieć, rozpostarta między gwiazdami, pośród czasu - mówił cicho i powoli. Jeźdźcy znikli. - Moja teoria: gdyby wyobrazić sobie społeczeństwo jako... - spojrział w dół, gdy usłyszał dźwięk podobny do wiatru.

Mysz wyjął swoją fletnię. Z ciemności, spośród drżących palców zawirowały i splotły się szare pasma światła.

Pośród imitacji mgły zaśniły złote pasma i wzniosły się w takt heksatonicznej melodii. Wiatr był ostry i chłodny. Poczuli zapach wiatru, lecz nie czuli powiewu.

Kolejni pasażerowie podchodzili bliżej, by patrzeć: trzech, czterech, pięciu. Za balustradą znów pojawili się sieciojeźdźcy i ktoś, kto rozumiał, co było dla chłopca inspiracją, rzekł:

- Och, rozumiem, co on chciał... - i umilkł, jak i pozostali.

Spektakl zakończył się.

- Piękne to było!

Mysz uniósł wzrok, Tyÿ stała za Sebastianem.

- Dzięki - uśmiechnął się i zaczął wkładać instrument z powrotem do worka. - Och - dostrzegł coś i znów uniósł wzrok. - Mam coś dla ciebie - sięgnął do sakwy. - Znalazłem to na podłodze na statku. Chyba... ci upadła?

Mysz spojrział na Katina i zobaczył, jak grymas na jego twarzy znika. Potem przeniósł wzrok na Tyÿ i poczuł, że odruchowo się uśmiecha na widok jej uśmiechu.

- Ci dziękuję - włożyła kartę do kieszeni kurtki. - Karta ci się spodobała?

- Co?

- Nad każdą zdobytą kartą medytować musisz.

- Medytowałeś? - spytał Sebastian.

- Och, tak. Dużo na nią patrzyłem. Kapitan też.

- To dobrze - uśmiechnęła się Tyÿ.

Mysz jednak już zmagął się ze sznurkiem ściągającym worek fletni.

- Naprawdę nie chcecie tam iść? - spytał w Phoenix Katin.
Mysz znów robił coś ze sznurkiem.

- Nie.

Katin wzruszył ramionami.

- Myślałem, że wam się spodoba.

- Widziałem już różne muzea. Po prostu chcę trochę pochodzić.

- Dobrze - odparł Katin. - Doskonale. W takim razie zobaczymy się po powrocie do portu.

Odwrócił się i pobiegł po kamiennych schodach, za kapitanem i resztą załogi. Dotarli do ruchomego chodnika, który powiózł ich nad graniami, w stronę lśniącego Phoenix.

Mysz spojrział w dół, na mgłę gęstniejącą przy łupkowych ścianach. Większe pełzacze - pokład jednego z takich właśnie opuścili - cumowały przy skałach z lewej strony. Mniejsze podskakiwały w górę i w dół z prawej. Ze skał wypiętrzały się łukowato mostki, przewieszane nad wąwozami wcinającymi się tu i ówdzie w płaskowyż.

Mysz w skupieniu pogmerał sobie w uchu paznokciem małego palca i ruszył w lewo.

Młody Cygan starał się przeżyć życie tak, by używać wyłącznie oczu, uszu, nosa, palców u nóg i rąk. Przeważnie mu się to udawało. Czasem jednak, jak choćby na pokładzie „Roca”, gdy Tyÿ czytała z kart, albo podczas późniejszych rozmów z kapitanem i Katinem, był zmuszony przyjąć do wiadomości fakt, że jego przeszłość miała wpływ na teraźniejsze działania. I nastał czas introspekcji. Zagłębiając się w przeszłość, Mysz odnalazł dawny strach. Teraz jednak wiedział, że miał on dwa drażniące aspekty: jeden można było ukoić, gładząc reaktywne płytki fletni czuciowej. Ukojenie drugiego wymagało długich, prywatnych sesji poświęconych definiowaniu samego siebie. Próbował definiować:

Osiemnaście, dziewiętnaście?

Być może. Tak czy inaczej, wiek rozsądku, jak to nazywano, mam już za sobą, jakieś cztery lata wcześniej. I w Drako mogę

głosować. Choć nigdy tego nie robiłem. Znow wybieram drogę przez skały i doki do innego portu. Dokąd idziesz, Mysz? Gdzie byłeś i co zamierzasz zrobić, gdy tam dotrzesz? Usiądź i pobaw się przez chwilę. Tylko to ma znaczyć coś więcej. Taaak. To znaczy coś więcej dla kapitana. Szkoda, że wtedy nie wściekłem się z powodu tego światła na niebie. Prawie to czuję, gdy słyszę, jak on o tym mówi. Któż inny mógłby uruchomić moją fletnię i naśladować słońce? To też byłoby całkiem spore światło. Ślepy Dan... ciekawe, jak to wyglądało. Nie chcesz przeżyć następnych pięciu piątych swego życia z rękami i oczami w idealnym stanie? Przykuć się do skały, znaleźć jakieś dziewczęta i narobić im dzieci? Nie. Ciekawe, czy Katin jest szczęśliwy ze swoimi teoriami i notatkami, notatkami i teoriami? Co by się stało, gdybym próbował grać na mojej fletni tak, jak on próbuje pisać tę książkę, myśląc, mierząc? Przede wszystkim nie miałbym czasu na zadawanie sobie tych wszystkich głupich pytań. Na przykład: Co sądzi o mnie kapitan? Potyka się o mnie, śmieje się, podnosi mnie z podłogi i chowa do kieszeni. Ale to znaczy coś więcej. Kapitan ma swoją szaloną gwiazdę. Swoją szaloną bliznę. Katin tworzy swoje pajęczyny ze słów, których nikt nie słucha. Ja, Mysz? Cygan z fletnią zamiast krtani. Tylko że mnie to nie wystarcza. Kapitanie, dokąd mnie zabierasz? Dalej. Pewnie, że pojedę. Nie ma dla mnie innego miejsca. Może kiedy tam dotrę, dowiem się, kim jestem? Albo umierająca gwiazda rzuci na mnie dość światła, bym mógł zobaczyć...

Mysz przemaszerował następnym mostkiem; kciuki wetknięte w kieszenie spodni, spuszczone oczy.

Brzęczenie łańcuchów.

Spojrzał w górę.

Łańcuchy zwisały z dziesięciostopowego cylindra, ciągnącego jakiś kształt ukryty częściowo we mgle. Na skale obok magazynu jacyś ludzie wylegiwali się przy wielkiej maszynie. Siedzący w kabinie operator wyciągarki miał na twarzy maskę. Okryta siatką bestia wynurzyła się z mgły, przypominające pletwy skrzydła łopotąły. Sieć z łańcuchów pobrzękiwała.

Arolat (a może to był akwalat) mierzył jakieś dwadzieścia

metrów. Haki z mniejszych wyciągarek opadły. Sieciojeźdźcy, trzymający bestię za boki, pochwycili je.

Mysz podszedł do krawędzi wąwozu, gdzie stali inni obserwujący. Ktoś zawołał:

- Alex jest ranny!

Na krańku zjechała w dół platforma; weszło na nią pięć osób.

Stworzenie uspokoiło się. Pełzając po sieci, jakby była prostą drabiną, załoga poluzowała jedną część ogniów. Jeździec bezwładnie zwiśł na środku.

Ktoś o mało nie puścił swojego odcinka. Ranny jeździec, jak wahadło, uderzył w błękitny bok.

- Trzymaj tam, Bo!

- Dobrze jest! Trzymam!

- Powoli, wyciągnijcie go!

Mysz spojrział na dół, w mgłę. Pierwszy jeździec dotarł na skałę; uprząż brzęknęła o kamień dziesięć stóp od niego. Ruszył, ciągnąc sieć za sobą. Odpiął paski z nadgarstków, wypiął wtyczki z ramion, ukląkł i odpiął dolne złącza z mokrych kostek. Przerzucił sieć przez ramię i ruszył wzdłuż szerokiego doku. Pływaki mgielne na skraju sieci nadal przejmowały większość jej ciężaru; unosiła się w powietrzu. Mysz ocenił, że bez nich, bez uwzględnienia nieco mniejszej siły ciężenia, cały mechanizm pułapki ważyłby pewnie ze siedemset funtów.

Trzech kolejnych jeźdźców pojawiło się na krawędzi; wilgotne włosy opadały im wzdłuż masek - tylko u jednego z nich sterczały rude loki - włokąc swoje sieci. Alex kuśtykał między dwoma kolegami.

Zjawiło się czterech kolejnych jeźdźców. Jasnowłosa, krępy mężczyzna odpiął sieć od lewego nadgarstka i spojrział na Mysz. Czerwone osłony oczu w masce poruszyły się, gdy odrzucił głowę do tyłu.

- Hej... - z jego ust wydobył się gardłowy pomruk. - To coś na twoim udzie. Co to jest?

Wolną dłonią odrzucił włosy z czoła.

Mysz spojrział w dół i znów w górę.

- Hm?

Mężczyzna machnął lewą stopą, by odrzucić sieć. Na prawej

nodze nie miał buta.

- To fletnia czuciowa, prawda?

Mysz uśmiechnął się.

- Tak.

Mężczyzna skinął głową.

- Dzieciaka, który grał na tym jak szatan, kiedyś znałem...

Zamilkł, przekrzywił głowę. Wsunął kciuk pod brzeg maski. Oślony ust i oczu odpadły.

Mysz doznał dziwnego wrażenia; jakby coś łaskotało go w gardle; może to był jakiś inny aspekt jego wady wymowy. Zacisnął szczękę, a następnie otworzył usta, po czym zacisnął wargi i znów rozwarł. W taki sposób też nie dało się mówić. Spróbował więc wymówić jakiegokolwiek słowa, bez znaku zapytania na końcu; udało mu się wydać z siebie niekontrolowany okrzyk:

- Leo!

Wyraz zezowatej twarzy zmienił się.

- Mysz! To ty!

- Leo, co ty... Ale...!

Leo zrzucił sieć z drugiego nadgarstka, kopniakiem zrzucił wtyczkę z kostki, po czym zebrał w garść pęk ogniwi.

- Do domu jeźdźców ze mną chodź! Pięć lat... nie, więcej...

Mysz nadal uśmiechał się, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. Sięgnął po ogniwa i razem pociągnęli sieć po skale - z pomocą pływaków mgielnych.

- Hej, Caro, Bolsum! To Mysz jest!

Dwóch mężczyzn odwróciło się.

- O tym dzieciaku wam mówiłem, pamiętacie? To on jest. Hej, Mysz, ani o pół stopy wyższy nie jesteś! I fletnię nadal masz? - Leo spojrział na sakwę. - Dobry jesteś, założę się. Ale już wtedy dobry byłeś.

- Kupiłeś sobie kiedyś fletnię, Leo? Moglibyśmy zagrać razem...

Leo potrząsnął głową z uśmiechem, w którym czaiło się zażenowanie.

- W Stambule ostatni raz fletnię trzymałem. Od tego czasu nie. Wszystko zapomniałem.

- Och - rzekł Mysz, wyczuwając stratę w jego głosie.
- Hej, czy to ta fletnia, co ją wtedy w Stambule ukradłeś?
- Mam ją przy sobie od tego czasu.

Leo wybuchnął śmiechem i objął ramieniem chude ramiona Myszy. Śmiech (czyżby Mysz wyczuł u Leo poprawę humoru?) drżał w słowach rybaka.

- I od tego czasu na fletni grasz? Dla mnie teraz zagraj. Pewnie! Te zapachy, dźwięki i kolory mi pokaż - wielkie palce musnęły ciemną łopatkę Myszy pod kamizelką. - Hej, Bo, Caro, mamy tu prawdziwego mistrza fletni czuciowej!

Dwóch jeźdźców obróciło się w ich stronę.

- On naprawdę na tym gra?

- Był tu taki facet, co naprawdę wydobywał ładne tony z czegoś takiego... - zatoczył w powietrzu dwa łuki pokrytymi bliznami dłońmi. - Wiesz, co mam na myśli?

- Mysz lepiej grał - upierał się Leo.

- Leo cały czas gadał o tym dzieciaku, którego znał jeszcze na Ziemi. Mówił, że nauczył go grać, ale kiedy daliśmy mu fletnię... - potrząsnął głową i roześmiał się.

- Ale to ten dzieciak jest! - zawołał Leo, klepiąc Mysz po ramieniu.

- Co?

- Och!

- Mysz to jest!

Podeszli do wysokich drzwi domu jeźdźców.

Z wysokich regałów zwisały sieci, tworząc istny labirynt. Jeźdźcy wieszali je na hakach opuszczanych z sufitu na wielokrążkach. Po rozwieszeniu jeźdźcy mogli naprawiać pęknięte ogniwa, regulować sprzęgła reaktywne, które wprawiały sieć w ruch i nadawały jej kształt, sterowane impulsami nerwowymi z gniazd.

Dwóch jeźdźców wytaczało ogromną maszynę z wieloma zębami.

- Co to jest?

- Maszyna do zabijania arolatów.

- Arolatów? - pokiwał głową Mysz.

- Na nie właśnie polujemy. Na akwalaty koło Czarnej Skały

polują.

- Aha.

- Ale, Mysz, co ty tu robisz? - maszerowali pośród brzęczących ogniw sieci. - Jakiś czas tu zostaniesz? Z nami trochę popracujesz? Załogę, do której potrzebują kogoś nowego znam...

- Jestem na przepustce, zszedłem ze statku, który zatrzymał się tu na jakiś czas. To „Roc”, należy do kapitana Von Raya.

- Von Raya? Statek z Plejad?

- Zgadza się.

Leo opuścił mechanizm z hakami z wysoko zawieszonych belek i zaczął rozwieszać swoją sieć.

- Co on w Drako robi?

- Kapitan musi odwiedzić Instytut Alkański, szuka pewnej informacji technicznej.

Leo pociągnął za łańcuch od wielokrażka i haki uniosły się o jakieś dziesięć stóp w górę. Zaczął rozwieszać następną warstwę.

- Von Ray, tak. To dobry statek musi być. Kiedy na Drako po raz pierwszy przyleciałem... - naciągnął czarne ogniwa na następny hak - nikt z Plejad do Drako nie przybywał. Jeden czy dwóch może. - Ogniwa wskoczyły na swoje miejsce. Leo znów podciągnął łańcuch. - Dziś wielu ludzi z Federacji spotykam. Dziesięciu pracuje na tym brzegu. A statki latają tam i z powrotem - potrząsnął głową z niezadowoleniem.

Ktoś zawołał z drugiej strony placu.

- Hej, gdzie medyk? - Głos odbił się echem wśród sieci. - Alek czeka już od pięciu minut.

Leo szarpnął sieć, upewniając się, że mocno trzyma. Obejrzeni się w stronę drzwi.

- Nie martwicie się! Zaraz przyjdzie! - wrzasnął. Chwyił Mysz za ramię. - Ze mną chodź!

Pomaszerowali wśród zwisających sieci. Inni jeźdźcy byli nadal przypięci.

- Hej, będziesz na tym grać?

Spojrzeni w górę.

Jeździec zszedł do połowy wysokości i zeskoczył.

- To zobaczyć chciałem.
- Pewnie, że zagra - oznajmił Leo.
- Wiesz, tak naprawdę, to ja... - zaczął Mysz. Choć cieszył się ze spotkania Leo, lubił swoje chwile zadumy przeżywać w samotności.

- Dobrze! Bo Leo cały czas o tym tylko gadał.

Gdy tak szli wśród sieci, dołączali do nich inni jeźdźcy.

Alex siedział u podnóża schodów, przy balkonie obserwacyjnym. Trzymał się za ramię i opierał głowę o balustradę. Czasem wciągał powietrze, aż zapadały mu się nieogolone policzki.

- Posłuchaj - rzekł do Leo Mysz - może gdzieś pójdziemy i napijemy się czegoś? Pogadamy. Zagram dla was, zanim odlecimy...

- *Teraz graj!* - nalegał Leo. - Potem pogadamy.

Alex otworzył oczy.

- Czy to jest ten facet - skrzywił się - o którym nam opowiadałeś, Leo?

- Mysz, posłuchaj. Kilka lat minęło, twoja sława cię wyprzedza. - Leo przyciągnął przewróconą beczkę po smarze, która zazgrzytała na betonie. - Siadaj tu.

- Daj spokój, Leo - Mysz przeszedł na grekę. - Naprawdę nie mam na to ochoty. Twój przyjaciel jest ranny i potrzebny mu spokój.

- *Malakas!* - odparł Alex i splunął krwistą pianą między otartymi kolanami. - Zagraj coś. Pomoże mi zapomnieć o bólu. Do licha, kiedy ten medyk wreszcie tu dotrze?

- Coś dla Alexa zagraj.

- To tylko... - Mysz spojrział na rannego sieciojeźdźca i przeniósł wzrok na innych ludzi stojących pod ścianą.

Na twarzy Alexa pojawił się uśmiezek, przez który przebijał ból.

- Zagraj jakiś numer, Mysz.

Nie chciał grać:

- Dobrze.

Wyjął fletnię z sakwy i przełożył pasek przez głowę.

- Medyk pewnie zaraz tu będzie - rzekł.

- Mam nadzieję, że się pospieszy - mruknął Alex. - Rękę mam na pewno złamaną i nie czuję nogi. No i krwawię w środku - splunął znów czerwienią. - Muszę znów ruszyć za dwie godziny, dobrze by było, jakby mnie szybko połatali. Jak nie będę mógł wyruszyć po południu, pozwę ich. Płacę to pieprzone ubezpieczenie.

- Poskłada cię jakoś - uspokoił go inny z jeźdźców. - Polisa przecież obowiązuje. Zamknij się i pozwól małemu grać...

Zamilkł, bo Mysz właśnie wydobył z fletni pierwszą nutę.

Światło padło na szkło i zmieniło je w miedź. Wkłęsał fasadę Instytutu Alkańskiego ozdobiły tysiące tysięcy okrągłych szybek.

Katin maszerował ścieżką wzdłuż strumienia, który wił się w muzealnym ogrodzie. Nad brzegiem rzeki unosiła się ta sama ciężka mgła, która otulała biegunowe okolice Vorpisu. Przed nimi strumień przepływał pod połyskliwym łukiem.

Kapitan szedł tuż przed Katinem, więc ich równej długości cienie kładły się na wypolerowanych kamieniach. Pośród fontann, na podwyższeniu lądowały kolejne platformy wypełnione gośćmi; każda grupa liczyła kilkaset osób. W ciągu kilku sekund rozpraszali się oni jednak po różnorodnych ścieżkach wijących się wśród kwarcowych skał. W miejscu, gdzie padało skupione światło odbite od szybek, w odległości kilkuset metrów od muzeum, na brązowym owalnym cokole stała Wenus z Milo: bezrękie, marmurowe piękno w czerwonym świetle poranka.

Lynkeos zmrużył różowe oczy i odwrócił twarz od poświaty. Idący za nim Idas patrzył to do przodu, to do tyłu, do góry i na dół.

Tyż, trzymając Sebastiana za rękę, szła nieco za nim; jej włosy unosiły się od podmuchu, jaki wytwarzały skrzydła bestii siedzącej na jego błyszczącym ramieniu.

A teraz to światło, rozmyślał Katin, gdy przeszli pod łukiem do lobby o kształcie soczewki, powinno stać się błękitne. Istotnie, żaden księżyc nie ma naturalnej atmosfery aż takiej, by powodowała równie efektowną dyfrakcję. Ech, ale i tak

tęsknię za księżycową samotnością. Ta efektowna budowla z tworzywa, metalu i kamienia była kiedyś największą konstrukcją stworzoną przez człowieka. Jak daleko dotarliśmy od dwudziestego siódmego stulecia? Czy w całej galaktyce jest choć tuzin budynków większych niż ten? Dwa tuziny? W jakiej dziwnej sytuacji znajduje się dziś akademicki buntownik: konflikt między ujętą w ten sposób tradycją a absurdem tej przestarzałej architektury. Cyana Morgan gnieździ się w tym grobowcu historii ludzkości. Biały sokół duma nad kupką kości.

Z sufitu zwisał ośmiokątny ekran, na którym wyświetlano ogłoszenia. Teraz migotały tam jakieś świetlne fantazje.

- Proszę o połączenie z numerem 739-E-6 - kapitan Von Ray zwrócił się do recepcjonistki.

Obróciła dłoń i nacisnęła kilka przycisków na komunikatorze przyczepionym do nadgarstka.

- Proszę bardzo.

- Hej, Bunny - rzekł Lorq.

- Lorq Von Ray? - krzyknęła dziewczyna głosem, który nie należał do niej. - Przyleciałeś zobaczyć się z Cyaną?

- Tak jest, Bunny. Jeśli tylko nie jest zajęta, chciałbym wpaść i pogadać.

- Chwileczkę. Sprawdzę.

Bunny - bez względu na to, gdzie owa Bunny znajdowała się w otaczającym ich ogromnym ulu - wyłączyła kontrolę nad recepcjonistką na chwilę wystarczająco długą, by ta uniosła brwi w zdumieniu.

- Przyleciał pan, by zobaczyć się z Cyaną Morgan? - spytała własnym głosem.

- Zgadza się - uśmiechnął się Lorq.

W tej chwili wróciła Bunny.

- Doskonale, Lorqu. Spotka się z wami w południowo-zachodnim skrzydle, sala 12. Tam są mniejsze tłumy.

Lorq zwrócił się do załogi.

- Może pochodzicie sobie trochę po muzeum? Za godzinę będę miał to, czego mi potrzeba.

- Czy on powinien zabierać ze sobą to... - dziewczyna spojrzała na Sebastiana z grymasem... - coś do muzeum. Nie

mamy żadnych udogodnień dla zwierząt.

Znów wtrąciła się Bunny.

- Ten pan należy do twojej załogi, prawda, Lorqu? A zwierzę jest nauczone czystości. - Zwróciła się do Sebastiana. - Będzie grzeczny?

- Oczywiście, że będzie grzeczny - Sebastian poklepał pazur zaciśnięty na swoim ramieniu.

- Możesz go więc zabrać - przyzwoliła Bunny za pośrednictwem ciała dziewczyny. - Cyana zaraz będzie na miejscu.

Lorq obrócił się do Katina.

- Może pójdziesz ze mną?

Katin próbował nie okazywać zaskoczenia.

- Dobrze, kapitanie.

- Południowo-zachodnie skrzydło, sala 12 - rzekła dziewczyna.

- Wystarczy wyjechać windą jeden poziom w górę. Czy to wszystko?

- Tak, to wszystko - Lorq zwrócił się do załogi. - Do zobaczenia później.

Katin ruszył za nim.

Na marmurowych blokach przy spiralnej windzie zamontowano trzymetrową głowę smoka. Katin spojrzał w górę na wypiętrzenia na podniebieniu kamiennego pyska.

- Mój ojciec przekazał to muzeum - powiedział Lorq, gdy wsiadali do windy.

- Tak?

- Pochodzi z Nowej Brazylii. - Szczęka opadła, gdy wznosili się wzdłuż centralnej kolumny. - Kiedy byłem mały, bawiłem się w paszczach jego kuzynów.

W dole widać było malutkie figurki turystów.

Wjechali pod złoty dach.

Wyszli z windy.

Obrazy rozstawiono w różnych odległościach od centralnego źródła światła w galerii. Lampa wyposażona w wiele soczewek rzucała na każdy z zawieszonych obrazów najlepsze przybliżenie (ustalone przez licznych naukowców Instytutu) światła, w jakim prawdopodobnie powstał dany obraz:

sztucznego lub naturalnego, światła czerwonego słońca, światła białego słońca, żółtego czy błękitnego.

Katin przyglądał się kilkunastu osobom wędrującym po wystawie.

- Pojawi się tu pewnie za jakąś minutę - rzekł kapitan. - Zawsze tak jest.

- Aha - Katin przeczytał tytuł obrazu.

Wyobrażenia moich ludzi.

W górze wisiał ekran z ogłoszeniami, nieco mniejszy niż ten w lobby.

Teraz widniała na nim informacja, że obrazy i zdjęcia były dziełami artystów, którzy żyli na przestrzeni ostatnich trzystu lat i przedstawiały ludzi z różnych planet przy pracy lub zabawie. Spoglądając na listę twórców, Katin zdziwił się, że rozpoznaje zaledwie dwa nazwiska.

- Chciałem, żebyś poszedł ze mną, bo muszę porozmawiać z kimś, kto rozumie, co tu się naprawdę dzieje.

Katin spojrzał na niego, zaskoczony.

- Moje słońce - moja Nova. W myślach już przyzwyczałem się do jej blasku. A jednak, w całym tym świetle, nadal jestem człowiekiem. Przez całe życie otaczający mnie ludzie zwykle robili to, czego od nich oczekiwałem. A kiedy nie robili...

- Zmuszałeś ich?

Lorq przymknął zażółcone oczy.

- Kiedy nie robili, zastanawiałem się, co innego mogliby dla mnie zrobić w zamian. Jest tyle innych rzeczy, które ktoś musi zrobić. Chcę porozmawiać z kimś, kto rozumie. Ale samo rozmawianie nie załatwia sprawy. Chciałbym zrobić coś, co uświadomi ci całość spraw.

- Chyba... nie do końca rozumiem.

- Zrozumiesz.

Portret kobiety (Bellatrix IV): miała ubranie sprzed jakichś 20 lat. Siedziała przy oknie, uśmiechając się w żółtym świetle nienamalowanego słońca.

Idź z Ashtonem Clarkiem (brak miejsca pochodzenia): stary mężczyzna. Jego kombinezon roboczy wyszedł z mody jakieś 100 lat temu. Właśnie miał odpiąć się od jakiejś dużej maszyny.

Ale była tak duża, że nie było widać, co to jest.

- Zastanawia mnie to, Katinie. Moja rodzina - przynajmniej ze strony ojca - jest z Plejad. A mimo to wyrastałem, mówiąc we własnym domu jak Drakończyk. Mój ojciec należał do tego otorbionego jądra starej daty obywateli Plejad, którzy nadal pielęgowali wiele idei odziedziczonych po przodkach z Ziemi i Drako; tylko że Ziemia była martwa od pięćdziesięciu lat, gdy najwcześniejszy z tych malarzy był w stanie unieść pędzel. Kiedy założę rodzinę, moje dzieci pewnie będą mówić tak samo. Czy nie wydaje ci się dziwne, że ty i ja prawdopodobnie jesteśmy bardziej związani niż powiedzmy, Tyj i Sebastian?

- Jestem z Luni - przypomniał mu Katin. - Ziemię znam tylko dlatego, że długo tam byłem.

Lorq zignorował tę uwagę.

- Jesteśmy podobni na wiele sposobów, ty, Sebastian i ja. W definiowaniu podstawowej wrażliwości jesteśmy bardziej bliscy niż Tyj i ja.

Interpretacja grymasu na poranionej twarzy kapitana znów zajęła Katinowi przepelnioną niezręcznością sekundę.

- Niektóre z naszych reakcji na pewne sytuacje będą lepiej przewidywalne dla nas niż dla ciebie. Tak, wiem, to nie sięga dalej. - Zamilkł na chwilę. - Nie jesteś z Ziemi, Katinie. Ale Mysz tak. I tak samo Prince. Czy między nimi istnieje taka sama relacja, jak między Sebastianem a mną? Ten Cygan mnie fascynuje. Nie rozumiem go. A przynajmniej nie tak, jak ciebie. Prince'a też nie rozumiem.

Portret siedojeźdźca. Katin spojrział na datę: ten jeździec, z wyrazem zadumy na negroidalnych rysach, przesiewał mgłę dwieście osiemdziesiąt lat temu.

Portret młodego mężczyzny: tak, współczesny. Za nim było coś przypominającego las... drzewa? Nie. Bez względu na to, czym to było, nie były to drzewa.

- W połowie dwudziestego wieku, a dokładnie w roku 1950 - Katin spojrział znów na kapitana - na Ziemi był niewielki kraj zwany Wielką Brytanią, z którego pochodziło pięćdziesiąt siedem dialektów języka angielskiego, czasem wzajemnie niezrozumiałych. Był także duży kraj o nazwie Stany

Zjednoczone, o populacji prawie czterokrotnie większej niż populacja Wielkiej Brytanii, zajmujący prawie sześciokrotnie większą powierzchnię. Były różne odmiany akcentów, ale tylko dwie niewielkie enklawy, jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi, mówiły dialektem niezrozumiałym dla użytkowników odmiany standardowej. Używam tych dwóch krajów w moim porównaniu, bo w obu mówiono zasadniczo tym samym językiem.

Portret płaczącego dziecka (2852 r., Wega IV)

Portret płaczącego dziecka (3052 r., Nowa Brazylia II)

- A co chcesz przez to powiedzieć, Katinie?

- Stany Zjednoczone powstały wskutek istniej eksplozji społecznej: komunikacja, przepływ ludzi, przepływ informacji, powstanie filmów, radia i telewizji, które spowodowały standaryzację mowy i struktur myślowych - nie samych myśli, ale tego, że osoba A mogła zrozumieć nie tylko osobę W, X i Y. Ludzie, informacje i idee przemieszczają się dziś po galaktyce o wiele szybciej niż przemieszczały się w Stanach Zjednoczonych w latach 50. Potencjał zrozumienia jest o wiele większy. Ty i ja urodziliśmy się rozdzieleni jedną trzecią galaktyki. Jeśli nie liczyć jednego weekendowego wypadu na Uniwersytet Drako na Centaurze, aż do teraz nigdy nie byłem poza Układem Słonecznym. A mimo to ty i ja mamy o wiele bardziej zbliżoną strukturę informacyjną niż Kornwalijszczyk i Walijszczyk tysiąc lat temu. Pamiętaj o tym, kiedy próbujesz oceniać Mysz, czy Prince'a Reda. Choć Wielki Wąż oplata kolumny na setkach planet, ludzie na Plejadach czy Koloniach Zewnętrznych rozpoznają go. Meble Republiki Wegi implikują te same informacje na temat ich właścicieli, co te tutaj. Ashton Clark znaczy tyle samo dla ciebie i dla mnie. Morgan zabił Underwooda i stał się częścią doświadczenia nas obu... - zamilkł, bo Lorq zmarszczył brwi.

- Chcesz powiedzieć, że Underwood zabił Morgana.

- Och, tak, oczywiście... to znaczy... - na twarz Katina wypłynęło zakłopotanie. - Tak... ale nie miałem na myśli...

Między obrazami pojawiła się kobieta w bieli. Miała wysoko upięte, srebrne włosy.

Była szczupła.

Była niemłoda.

- Lorq! - wyciągnęła ręce. - Bunny powiedziała, że tu jesteś. Myślałam, że przyjdziecie do mojego biura.

Oczywiście, pomyślał Katin. Większość jej zdjęć, jakie widział, wykonano piętnaście albo dwadzieścia lat temu.

- Dziękuję, Cyano. Mogliśmy pójść sami. Nie chciałem sprawiać ci kłopotu. Pewnie jesteś zajęta. Ale to długo nie potrwa.

- Nonsens! Idziecie ze mną. Właśnie rozważałam oferty na pół tony wegańskich rzeźb świetlnych.

- Z okresu Republiki? - spytał Katin.

- Niestety, nie. Gdyby tak było, moglibyśmy je łatwo odsprzedać. Ale są o sto lat za młode, by były cokolwiek warte. Chodźcie. - Gdy prowadziła ich między płótnami, spojrziała na metalową bransoletkę zakrywającą gniazdo na jej nadgarstku. Jedna z mikrotarcz migiała.

- Przepraszam, młody człowieku - zwróciła się do Katina. - Czy masz przy sobie jakieś... urządzenie rejestrujące?

- Ale... tak, mam.

- Muszę poprosić cię, byś go tu nie używał.

- Och. Nie miałem...

- Ostatnio zdarza się to coraz rzadziej, ale kiedyś miałam problemy z zachowaniem prywatności. - Położyła pomarszczoną dłoń na jego ramieniu. - Rozumiesz, prawda? Mamy tu automatyczne pole kasujące, które wymaże całą zawartość urządzenia, jeśli będzie ono nadal pracować.

- Katin jest członkiem mojej załogi, Cyano. Ale to zupełnie inna załoga niż ostatnim razem. Nie mamy przed sobą tajemnic.

- Tak też przypuszczałam - Katin zobaczył, jak chowa rękę w fałdach białego brokatu.

- Kiedy dziś rano przybyłam do muzeum - Katin i Lorq spojrzeli na nią, gdy to mówiła - nadeszła wiadomość dla ciebie od Prince'a.

Dotarli do końca galerii.

- Trzymam cię za słowo, jeśli chodzi o tajemnicę - zwróciła się

do Lorqa. Jej brwi wyglądały jak metaliczne maźnięcia na twarzy.

Brwi Lorqa przypominały zardzewiały metal; Katin pomyślał, że to musi być jakaś cecha dziedziczna.

- Czy on jest na Vorpisie?

- Nie mam pojęcia. - Drzwi otworzyły się i przeszli przez nie. - Ale on wie, że ty tu jesteś. Czyż nie jest to ważniejsze?

- Wylądowaliśmy półtorej godziny temu. I dziś wieczorem odlatujemy.

- Ta wiadomość nadeszła jakąś godzinę i dwadzieścia minut temu. Punkt nadania zaszyfrowano i operatorzy nie mogą go tak łatwo rozpracować. Próbują teraz rozwiązać problem...

- Nie przejmuj się tym. - Lorq zwrócił się do Katina. - Ciekawe, co tym razem ma do powiedzenia?

- Wszyscy zaraz się przekonamy - odparła Cyana. - Jak powiedziałeś: żadnych tajemnic. Ale i tak wolałabym rozmawiać w moim gabinecie.

W tej galerii panował chaos: czy to magazyn, czy jakiś zbiór nieuporządkowanych eksponatów?

Katin zamierzał o to zapytać, ale Lorq go ubiegł:

- Cyano, co to za śmietnik?

- Przypuszczam - spojrzała na datę wybitą złotą kalkomanią na starej drewnianej skrzyni - że to 1923, firma Aeolian Company. Tak, to kolekcja dwudziestowiecznych instrumentów muzycznych. Tutaj Ondes Martenot, wynaleziony przez francuskiego kompozytora o takim samym nazwisku w 1928 roku. Tam znów mamy... - schyliła się, by odczytać przywieszkę - ...fortepian Duo-Art wykonany w roku 1931. A to... samogrające skrzypce Virtuoso firmy Mills, 1916.

Katin zajrzał przez szybkę w skrzyni.

Struny i młoteczki, kołeczki, łańcuszki i piórka wisały w cieniu.

- Do czego to było przeznaczone?

- Stało w barach i parkach rozrywki. Ludzie wrzucali monetę do szczeliny, a wtedy zaczynało automatycznie grać na umieszczonych w środku skrzypcach z akompaniamentem pianoli; do programowania używano taśmy perforowanej. -

Przeciągnęła srebrny paznokieć po liście tytułów. - „The Darktown Strutters Ball”...

Maszerowali przez istny chaos thereminów, banjo i lir korbowych.

- Niektórzy z młodszych naukowców kwestionują sens angażowania się Instytutu w historię XX wieku. A prawie jedna czwarta naszych galerii jest poświęcona temu okresowi. - Ułożyła ręce na brokatowej tkaninie. - Może nie podoba im się to, że od ośmiuset lat tym okresem tradycyjnie zajmuje się wielu naukowców; nie chcą dostrzec tego, co oczywiste. U zarania tego fascynującego stulecia ludzkość składała się z wielu społeczeństw żyjących na jednej planecie; pod koniec była zasadniczo tym samym, czym jest teraz, informacyjnie jednoczonym społeczeństwem żyjącym na wielu światach. Od tego czasu liczba tych światów rośnie; nasze społeczeństwo informacyjne kilkakrotnie zmieniło charakter, ucierpiało z powodu kilku katastrofalnych erupcji, ale zasadniczo się nie zmieniło. Do chwili, aż ludzkość nie stanie się czymś zupełnie, ale to zupełnie innym, ten okres nadal pozostanie w sferze zainteresowań badaczy, właśnie w tym stuleciu staliśmy się tym, czym jesteśmy dzisiaj.

- Przeszłość mnie nie interesuje - oznajmił Lorq. - Nie mam na to czasu.

- Mnie ona intryguje - podsunął Katin. - Chcę napisać książkę, może będzie właśnie o tym.

Cyana uniosła wzrok.

- Naprawdę? Jaką książkę?

- Przypuszczam, że powieść.

- Powieść? - Minęli znajdujący się w galerii ekran z ogłoszeniami: szaiy. - Zamierzasz napisać powieść. To fascynujące. Miałam kiedyś przyjaciela; był antykwariuszem i próbował napisać powieść. Skończył tylko jeden rozdział, ale utrzymywał, że to niesamowite doświadczenie; dużo dowiedział się o tym, jak naprawdę przebiega ten proces.

- Pracuję nad nią już od jakiegoś czasu - rzekł Katin.

- Cudownie. Może - kiedy skończysz - pozwolisz Instytutowi wykonać psychonagranie w hipnozie, żebyśmy zarejestrowali

to twórcze doświadczenie? Mamy tu sprawną dwudziestowieczną prasę drukarską. Może wydrukowalibyśmy kilka milionów egzemplarzy i rozprowadzali je z psychonagraniami do bibliotek i innych instytucji edukacyjnych? Jestem pewna, że zarząd zainteresowałby się tym pomysłem.

- Jeszcze nawet nie myślałem o jej wydrukowaniu... - dotarli do następnej galerii.

- Instytut Alkański to jedyne miejsce, gdzie możesz to zrobić. Pomyśl o tym.

- Na pewno pomyślę.

- Kiedy zamierzacie usunąć ten bałagan, Cyano?

- Drogi bratanku, mamy więcej eksponatów niż jesteśmy w stanie wystawić. Gdzieś to musimy trzymać. W tym muzeum jest tysiąc dwieście galerii publicznych i siedemset prywatnych. Jak również trzy tysiące pięćset pomieszczeń magazynowych. Dość dobrze znam zawartość większości z nich. Choć nie wszystkich.

Szli pod potężnym ożebrowaniem, które sięgało dachu. Chłodne światło, padające z sufitu, rzucało przypominające zęby i gniazda cienie na mosiężny podest, na którym stała czaszka o rozmiarach biodra słonia.

- To wygląda jak eksponat osteologii porównawczej gadów dla Ziemi oraz... - Katin spojrział przez płataninę kości. - Nie byłbym w stanie powiedzieć, skąd to pochodzi...

Łopatka, miednica, kość obojczykowa...

- Daleko jeszcze do twojego biura, Cyano?

- Jakies osiemset metrów lotem arolata. Wsiądziemy do najbliższej windy.

Przeszli pod łukiem w stronę szybu windy.

Spiralna winda zawiozła ich na górę, mijając kilkanaście kondygnacji.

Korytarz zdobiony pluszem i mosiądzem.

Jeszcze jeden korytarz, szklana ściana...

Katin wciągnął powietrze do płuc: całe Phoenix rozciągało się przed nimi, od wież w centrum po zasnuwane mgłami nabrzeże. Choć Instytut Alkański nie był już najwyższym budynkiem w

galaktyce, zdecydowanie był najwyższy w Phoenix.

Zakrzywiona rampa sięgała samego serca budynku. Na pokrytej marmurem ścianie wisiało siedemnaście płócien serii Dehaya „Pod światłem Syriusza”.

- Czy to są...?

- Falsyfikaty - kopie molekularne Nylesa Folvina, wykonane na Wedze w dwudziestym ósmym stuleciu. Przez długi czas były słynniejsze niż oryginały - te można zobaczyć w Zielonej Południowej Sali. Te fałszywki mają tak bogatą historię, że Bunny podjęła decyzję o powieszeniu ich tutaj.

Drzwi.

- Jesteśmy na miejscu.

Otwierały się na ciemność.

- A teraz, drogi bratanku...

Weszli do środka. Trzy słupy światła padły z jakiegoś wysoko położonego miejsca i zarysowały ich sylwetki na czarnym dywanie.

- ...czy mógłbyś być tak uprzejmy i objaśnić mi, po co wróciłeś? I co chodzi w tej aferze z Prince'em?

Obróciła się twarzą w stronę Lorqa.

- Cyano, chcę kolejną Novą.

- Co chcesz?

- Wiesz, że musieliśmy przerwać pierwszą ekspedycję. Zamierzam znów spróbować; Nie potrzebuję żadnego specjalnego statku. Przekonaliśmy się o tym poprzednim razem. Mam nową załogę i nową taktykę.

Reflektory śledziły ich ruchy na dywanie.

- Ależ Lorqu...

- Przedtem wszystko planowaliśmy dokładnie, a nasze ruchy były jak natarte smarem, owinięte siatką, napędzane przekonaniem o naszej precyzji. Teraz jesteśmy zaledwie bandą desperatów, szcurów portowych, i jest z nami Mysz; napędza nas tylko nasze oburzenie. Ucieczka jest jednak straszną rzeczą, Cyano.

- Lorqu, nie możesz tak po prostu lecieć i powtórzyć...

- Kapitan też się zmienił, Cyano. Dawniej „Roc” latał pod wodzą połowy człowieka, człowieka, który znał tylko

zwycięstwo. Teraz jestem w pełni człowiekiem. Znam także smak porażki.

- Czy ty naprawdę chcesz, żebym...

- Uniwersytet Alkańsld badał jeszcze jedną gwiazdę, która była bliska przekształcenia się w Novą. Chcę poznać jej nazwę i dowiedzieć się, kiedy do tego dojdzie.

- I zamierzasz tak po prostu tam polecieć? A co z Prince'em? Czy on wie, że szukasz kolejnej Novej?

- Nic mnie to nie obchodzi. Powiedz, jak nazywa się moja gwiazda, Cyano.

Na jej szczupłych rysach malowała się niepewność. Dotknęła czegoś w srebrnej bransoletce.

Nowe światło:

Z podłogi wysunęło się kilka instrumentów. Cyana usiadła na ławce, która wysunęła się razem z nimi, i spojrzała na światelka kontrolki.

- Nie wiem, czy dobrze robię, Lorqu. Oburzenie? Jeśli ta decyzja nie ma takiego wpływu na moje życie, jak na twoje, łatwiej będzie mi poddać się nastrojowi, którego ode mnie wymagasz. Aaron był odpowiedzialny za powołanie mnie na stanowisko kuratora.

Dotknęła pulpitu i nad nimi pojawiły się...

- Dotąd zawsze przyjmowano mnie w domu Aarona Reda jakby był moim bratem. Maszyna jednak dotarła do punktu, w którym nie jest to możliwe. Ty spowodowałaś, że znalazłam się w tej sytuacji: muszę podjąć decyzję, która zakończy dla mnie czas wyjątkowego komfortu.

...pojawiły się gwiazdy.

Katin nagle zrozumiał, jak duże jest to pomieszczenie. Jakieś pięćdziesiąt stóp od nich pojawiła się masa świetlnych punktów; w powietrzu wisiała olbrzymia obracająca się projekcja holograficzna galaktyki.

- W tej chwili trwa kilka ekspedycji badawczych. Nova, którą przeoczyliście, była tutaj - dotknęła przycisku i rozpałała się jedna z miliardów gwiazd, tak jasno, że Katin zmrużył oczy. Szybko zbladła i znów cała sala pod kopułą była oświetlona światłem gwiazd. - W tej chwili jedna z ekspedycji obserwuje

gromadzenie się...

Zamilkła.

Sięgnęła i otworzyła małą szufladę.

- Lorqu, naprawdę niepokoi mnie cała ta sprawa...

- Mów dalej, Cyano. Chcę poznać nazwę tej gwiazdy. Chcę taśmy z jej współrzędnymi galaktycznymi. Chcę mojego słońca.

- I zrobię wszystko, żeby ci je dać. Ale najpierw musisz sprawić przyjemność starej kobiecie.

Sięgnęła do szuflady i wyjęła coś. W tylnej części ust Katina narodził się odgłos zaskoczenia; Katin zdusił go. Była to talia kart.

- Chcę sprawdzić, jakie wskazówki da nam tarot.

- Już pytałem kart, zanim zacząłem to przedsięwzięcie. Jeśli są w stanie podać mi współrzędne galaktyczne, doskonale. Jeśli nie, nie mam na to czasu.

- Twoja matka pochodziła z Ziemi i zawsze wykazywała pewien brak zaufania do mistycyzmu, choć przyznawała, że jest on intelektualnie skuteczny. Mam nadzieję, że wdałeś się w ojca.

- Cyano, mówiłem ci, że już pytałem kart. Po raz drugi niczego nowego mi nie powiedzą.

Rozłożyła karty rewersem do góry.

- Może jest coś, co powiedzą *mnie*. Poza tym nie chcę całej wróżby. Wybierz jedną.

Katin patrzył, jak kapitan wyciąga kartę z talii, i zastanawiał się, czy karty przygotowały ją na jedno krwawe południe na Chronaiki Plaza, ćwierć wieku temu.

Talia była inna niż typowe trójwymiarowe karty dioramiczne, jakie miała Tyż. Postaci były narysowane. Karty - żółte. Niewykluczone, że pochodziły z siedemnastego wieku albo były jeszcze starsze.

Na karcie wybranej przez Lorqę widać było nagie ciało zwisające z drzewa na sznurze przywiązany do kostki.

- Wisielec - zsunęła talię. - Odwrócony. Cóż, nie jestem zaskoczona.

- Czy *Wisielec* nie sugeruje zbliżania się wielkiej mądrości duchowej, Cyano?

- Odwrócony - przypomniała. - Zostanie ona osiągnięta, ale ogromnym kosztem - zabrała mu kartę i umieściła ją z powrotem w talii. - To są współrzędne gwiazdy, której szukasz - przycisnęła kolejny guzik.

Na jej dłoń wypadła papierowa wstążka. Oddarły ją malutkie metalowe ząbki. Podniosła papier, by go przeczytać.

- Wszystkie współrzędne są tutaj. Obserwujemy ją od dwóch lat. Masz szczęście. Przewidujemy, że wybuch nastąpi za dziesięć do piętnastu dni.

- Doskonale - Lorq sięgnął po taśmę. - Chodź, Katinie.

- A co z Prince'em, kapitanie?

Cyana wstała z ławki.

- Nie chcesz zobaczyć tej wiadomości?

Lorq zatrzymał się.

- Dobrze. Odtwórz ją.

Katin dostrzegł, jak w twarzy Lorqa coś ożywa. Podeszedł do konsoli. Cyana Morgan przeszukiwała indeks wiadomości.

- Proszę - wcisnęła guzik.

Po drugiej stronie pomieszczenia Prince zwrócił się twarzą w ich stronę.

- Co się, u licha... - jego dłoń w czarnej rękawiczce roztrzaskała stojący na stole kryształowy dzbanek i wytłaczaną tacę. - Co ty sobie wyobrażasz, Lorq? - Dłoń znów się pojawiła, tym razem sztylet i rzeźbiona drewniana laska stuknęły o podłogę z drugiej strony stołu. - Cyano, pomagasz mu, prawda? Ty zdradliwa dziwko. *Jestem zły. Jestem wściekły. Jestem Prince Red! Jestem Drako! Jestem rannym wężem, ale zduszę was!*

Adamaszkowy obrus zmięty w czarnych placach, odgłos rozłupywanego drewna.

Katin po raz drugi przełknął swoje przerażenie.

Wiadomość była trójwymiarową projekcją. Nieostre okno za Prince'em rzucało poranne światło jakiegoś słońca - pewnie Sol - na porozrzucane śniadanie.

- Mogę zrobić wszystko, co tylko zechcę. Spróbujcie tylko mnie powstrzymać - nachylił się nad stołem.

Katin spojrział na Lorqa, a potem na Cyanę Morgan.

Jej dłoń, blada i upstrzona żyłkami, zacisnęła się na zmiętej brokatowej tkaninie.

Pobrużdżona, zacisnięta dłoń Lorqa spoczęła na pulpicie; dwa palce chwyciły jakiś przełącznik.

- Obraziłeś mnie, Lorqu. A ja potrafię być naprawdę podły, tak dla kaprysu. Pamiętasz to przyjęcie, na którym musiałem rozwalić ci łeb, żeby nauczyć cię dobrych manier? Pewnie nawet nie pamiętasz tego chłopaka, którego ze sobą przyprowadziłeś, nieproszonego, muszę dodać - na moje małe przyjęcie. Nazywał się Brian Anthony Sanders - pospolity, grubiański, głupi, nieznośnie nieuprzejmy młody człowiek. Zanim jeszcze zostaliśmy sobie przedstawieni, wypowiedział jakąś obraźliwą uwagę o mojej ręce. Wyśmiałem go, bo już się nauczyłem jak to się robi. Nawet uprzejmie mu coś odpowiedziałem - odpowiadałem na jego grubiańskie pytania, jakby nie rodziły żadnych skutków. Ale nigdy o nich nie zapomnę. Po przyjęciu, kiedy wrócił na swój uniwersytet, dowiedział się, że cofnięto mu stypendium i anulowano wyniki egzaminów końcowych za ostatni semestr, za ściąganie, a wkrótce, o czym miło mi poinformować, został usunięty. Pięć lat później - bo ja *nadal* nie zapomniałem - mój księgowy złożył wizytę w firmie, w której ten człowiek pracował. Tydzień później został zwolniony za sprzeniewierzenie kilku tysięcy funtów @sg, należących do jego pracodawcy - i spędził trzy lata w więzieniu, gdzie, jak przypuszczam, regularnie twierdził, że jest niewinny, aż współwięźniowie zaczęli się z niego wyśmiewać. Pięć lat później - a o ile pamiętam, nie radził sobie specjalnie dobrze (pewnie pamiętasz go jako dość krępego osobnika; wtedy był już nieźle wychudzony) - kazałem moim ludziom znowu się nim zająć, a podrzucenie drobnych narkotyków do mieszkania w kompleksie dla samotnych mężczyzn, gdzie wtedy zamieszkiwał, nie było specjalnie trudne - i został wyrzucony na ulicę. Dwa lata po *tym* incydencie, kiedy uznałem, że znowu mogę poświęcić godzinę na pogorszenie jakości jego życia, odkryłem, że nadal nie ma gdzie mieszkać i ma poważny problem z piciem. Co za ironia, i to niejedna: gdy go znaleźliśmy, niedaleko drogi prowadzącej do

hangarów w pobliżu lądowiska, spał w rozpadającej się skrzyni, która kiedyś została użyta do przesłania wyprodukowanego przez Red Shift atmosferycznego ciągu turbinowego. I gdzieś wtedy, w jakimś wypadku czy wskutek czegoś innego stracił trzy palce lewej dłoni - uwierz mi, nie miałem z tym nic wspólnego. Wtedy jednak był zbyt biedny, żeby dało się je odtworzyć. Wówczas było już zbyt trudno skierować jego uwagę na te narkotyki, które sprawiły, iż stał się bezdomny - zatrudniona przeze mnie młoda kobieta zabrała go na miesiąc do prawdziwego mieszkania i codziennie podawała mu duże dawki... a potem znikła, zostawiając go na ulicy i o niej przypominał już tylko nowy nałóg. Gdy ostatnim razem sprawdziłem - a było to zaledwie trzy miesiące temu - dowiedziałem się, że po barwnej, upstrzonej recydywą przestępczej karierze, kiedy to próbował podsycać swój nałóg, Brian Anthony Sanders zmarł... niecały rok temu, z powodu wychłodzenia organizmu w ślepych zaułku jakiegoś nieistotnego miasta, liczącego parę milionów mieszkańców, tysiące lat świetlnych od ciebie i ode mnie, na pewno przeklinając bogów losu, którzy obracali wniwecz jego wszelkie wysiłki zmierzające w kierunku szczęśliwego życia - jakby po prostu był szczególnie uczulony na... nekającego go pecha. Świadomość, że to ja byłem tym uporczywym, niezmordowanym czynnikiem tego pecha, sprawia mi ogromną przyjemność, Lorqu. To chyba coś, o czym każdy marzy: sprawić, by nieuprzejmi płacili za swą bezmyślność przez resztę życia. Zapewniam cię, że to uczucie tak przyjemne, jak tylko jesteś w stanie to sobie wyobrazić. W sumie nie zajęło mi to więcej niż pięć godzin, na przestrzeni całej dekady. W moich momentach chwały jednak wolę powiedzieć... *ja go zabiłem!* Ja tego dokonałem, rozumiesz, zabiłem go razem z kilkudziesięcioma innymi, którzy drażnili mnie tak jak on. Wcale nie było to dużym wydatkiem - a jaką przyniosło mi satysfakcję! A teraz posłuchaj, Lorqu Von Ray: twoje istnienie jest dla mnie obrazą. Zamierzam poświęcić się całkowicie naprawieniu tej sytuacji. Teraz nastawiam się na to, że będę musiał zrobić znacznie więcej i mając mniej czasu, ale cię

zabiję!

Cyana Morgan spojrzała nagle na bratanka, dostrzegła jego dłoń na przełączniku.

- Lorqu! Co robisz...?

Chwyliła go za nadgarstek, ale złapał i odepchnął jej dłoń.

- Wiem o tobie o wiele więcej, niż wtedy, gdy ostatnim razem wysłałem ci wiadomość - powiedział Prince zza stołu.

- Lorqu, zabierz rękę z tego przełącznika! - błagała Cyana. - Lorqu... - zamilkła, sfrustrowana.

- Kiedy ostatnim razem z tobą rozmawiałem, powiedziałem ci, że cię powstrzymam. A teraz chcę ci powiedzieć, że jeśli będę musiał cię zabić, żeby cię powstrzymać, to cię zabiję. I kiedy następnym razem będę z tobą rozmawiał...

Unióśł dłoń w rękawiczce. Jego palec wskazujący drżał...

Prince zamigotał i znikł, a Cyana szarpnęła za rękę Lorqa. Przełącznik pstryknął.

- Co chciałeś zrobić?

- Kapitanie...?

Odpowiedział im tylko śmiech Lorqa pod wirującymi gwiazdami.

- Przesłałeś wiadomość Prince'a do publicznego systemu informacyjnego! - krzyknęła rozzłoszczona Cyana. - Ten bluźniący szaleniec pojawił się na wszystkich ekranach w instytucie!

Z wściekłością uderzyła w klawisz odpowiedzi.

Wskaźniki ściemniały.

Pulpit i ławka schowały się w podłozie.

- Dziękuję, Cyano. Dostałem to, po co przyszedłem.

Do pomieszczenia wpadła straż muzealna. Promień oświetlił ich, gdy przeszli przez drzwi.

- Proszę o wybaczenie, bardzo przepraszam, ale zdarzył się... och, moment - strażnik pstryknął czymś na komunikatorze na nadgarstku.

- Cyano, czyś ty całkiem oszalała?

- Na litość boską, Bunny, to byt przypadek!

- Przypadek! To byt Prince Red, prawda?

- Oczywiście, że tak. Bunny, posłuchaj...

Lorq chwycił Katina za ramię*

- Chodźmy.

Opuścili strażnika/Bunny kłócących się z Cyaną.

- Dlaczego...? - Katin spróbował zadać kapitanowi pytanie zza ramienia.

Lorq zatrzymał się.

„Pod światłem Syriusza nr 11” (fałszerstwo Folvina) błysnęło za jego plecami fioletową kaskadą.

- Nie potrafię powiedzieć, co zamierzałem zrobić. Może to ci coś powie. Damy znać pozostałym.

- Ale jak ich znajdziemy? Nadal wędrują po muzeum.

- Tak sądzisz? - znów ruszył Lorq.

Dolne galerie opanował chaos.

- Kapitanie... - Katin spróbował wyobrazić sobie tysiące turystów skonfrontowanych z gwałtownością Prince'a; przypomniał sobie pierwszą konfrontację na pokładzie „Roca”.

Na onyksowej podłodze salonu FitzGeralda roіło się od turystów.

- ...jeśli tak ma wyglądać sztuka...

- ...przedstawienie czegoś takiego bez uprzedzenia...

- ...mnie wydało się to bardzo realistyczne! Połyskliwe alegorie dwudziestowiecznego geniuszu zdobiły sklepienie ściany światłem. Dzieci paplały do rodziców. Studenci gadali ze sobą. Lorq maszerował między nimi; Katin trzymał się tuż za nim.

Podążyli spiralą nad lobby, ponad głową smoka.

Czarne skrzydła wzbily się nad tłum i cofnęły się.

- Inni muszą być tam! - krzyknął Katin, wskazując na Sebastiana.

Katin minął kamienną szczękę. Lorq przegonił go koło błękitnego kafelka.

- Kapitanie, właśnie zobaczyliśmy...

- ...Prince'a Reda, jak na statku...

- ...na ekranach z ogłoszeniami, to było...

- ...wszędzie, w całym muzeum. Wróciliśmy...

- ...tutaj, żebyś nas łatwo znalazł...
- ...kiedy przyjdiesz. Kapitanie, co...
- Chodźmy - Lorq przerwał bliźniętom, kładąc im dłonie na ramionach. - Sebastian! Tyj! Musimy wracać na przystań i znaleźć Mysz!

- I opuścić tę planetę, i znaleźć twoją Novą!
- Najpierw na przystań. Potem porozmawiamy o tym, co dalej.

Przepchnęli się przez tłum w stronę łuku.

- Chyba musimy się pospieszyć, żeby zdążyć przed Prince'em - rzekł Katin.

- Czemu?

To Lorq.

Katin spróbował rozszyfrować wyraz jego twarzy.

Był całkowicie nieodgadniony.

- Mam otrzymać trzecią wiadomość. Będę na nią czekał.

Potem ogród: ostentacyjny i złocisty.

- Dzięki, doktoru! - zawołał Alex. Ugniatał swoją rękę: pięść, rozciągnięcie, zgięcie. - Hej, mały - zwrócił się do Myszy. - Wiesz, ty naprawdę umiesz grać na fletni czuciowej. Wybacz, że medyk przerwał nam w połowie. Ale i tak dzięki - uśmiechnął się i spojrzał na zegar ścienny.

- Chyba w końcu uda mi się wykonać zadanie. *Malakas!* - ruszył pomiędzy pobrękującymi zasłonami.

- Odlóż teraz ją, dobrze? - zaproponował ze smutkiem Leo.

Mysz zaciągnął sznurki sakwy i wzruszył ramionami.

- Może jeszcze później zagram - założył pasek na ramię i dotknął palcami załamań skóry. - O co chodzi, Leo?

Rybak wetknął lewą rękę za wytarte ogniwa pasa.

- Nostalgę przez siebie poczułem, mały - wsunął też prawą rękę. - Tyle czasu minęło, ty już chłopcem nie jesteś - Leo przysiadł na schodach. Na jego ustach wykwitł na krótko uśmiech. - Szczęśliwy tu nie jestem, chyba. Może na zmianę znowu czas. Tak? - skinął głową. - Tak.

- Tak sądzisz? - Mysz obrócił się na beczce, by zwrócić się

twarzą do niego. - Dlaczego teraz?

Leo ściągnął usta. Wyraz jego twarzy powiedział tyle samo, co wzruszenie ramion.

- Kiedy widzę stare, rozumiem, że nowego potrzebuję. I już o odejściu od dawna myślę.

- Dokąd chcesz lecieć?

- Chyba na Plejady.

- Przecież ty jesteś z Plejad, Leo. Myślałem, że mówiłeś coś o jakimś nowym miejsku?

- W Plejadach jakieś setki planet są. Na tuzinie może łowiłem. Czegoś nowego chcę, tak, ale też domu, po dwudziestu pięciu latach.

Mysz patrzył na wyraziste rysy, na blade włosy: podobieństwo? Dopasowujesz wszystko jak mgłomaskę, pomyślał Mysz; potem umieszczasz ją na twarzy, która musi ją nosić. Leo tak bardzo się zmienił. Mysz, który prawie nie miał dzieciństwa, tyle z tego stracił.

- Ja chcę tylko nowego, Leo. Nie poleciałbym do domu. Nawet gdybym go miał.

- Kiedyś jak ja Plejad, zapragniesz Ziemi albo Drako.

- Tak - Mysz narzucił sakwę na ramiona. - Może zapragnę. Czemu nie? Za dwadzieścia pięć lat?

I wtedy, jak echo:

- Mysz...?

Oraz:

- Hej. Mysz?

I znów:

- Mysz, jesteś tam?

- Hej! - Mysz wstał i przyłożył dłonie do ust. - Katin? - jego krzyk był jeszcze brzydszy od mowy.

Wysoki, z wyrazem zdziwienia na twarzy, Katin wyłonił się między sieciami.

- Co za niespodzianka. Nie przypuszczałem, że cię tu znajdę. Rozpytywaliśmy o ciebie ludzi na przystani i ktoś powiedział, że tu grasz.

- Czy kapitan skończył już w Instytucie? Dostał to, czego chciał?

- Tak, a nawet więcej. W Instytucie czekała na niego wiadomość od Prince'a. Odtworzył ją przez publiczny system ogłoszeniowy - Katin zagwizdał.- Co za złośliwość!

- Dostał swoją Novą?

- Dostał. Tylko teraz czeka na coś jeszcze. Nie rozumiem go.

- Ruszamy więc w stronę gwiazdy?

- Nie. Chce lecieć na Plejady. Musimy poczekać parę tygodni. Ale nie pytaj mnie, co zamierza tam zrobić.

- Plejady? - spytał Mysz. - Tam ma być ta Nova?

Katin obrócił dłonie spodami do góry.

- Nie przypuszczam. Może myśli, że przelot przez własne terytorium będzie bezpieczniejszy.

- Czekaj chwilę! - Mysz zwrócił się znowu do Leo. - Leo, może kapitan podrzuci cię na Plejady.

- Co? - Leo uniósł podbródek, który opierał na dłoniach.

- Katinie, kapitan Von Ray nie będzie miał nic przeciwko zabraniu Leo na Plejady, prawdą?

Katin miał niepewną minę. Wyraz jego twarzy był skomplikowany, aż w końcu stał się nieokreślony.

- Leo to mój stary przyjaciel. Jeszcze z Ziemi. Nauczył mnie grać na fletni, kiedy byłem mały.

- Kapitan ma tyle na głowie...

- Tak, ale chyba nie miałyby nic przeciwko, gdyby...

- O wiele lepiej niż ja teraz on gra - wtrącił Leo.

- Założę się, że kapitan by to zrobił, gdybym go poprosił.

- Kłopotu kapitanowi nie chciałbym robić...

- Możemy go spytać - Mysz zarzucił sakwę na plecy. - Chodź, Leo. Gdzie jest kapitan, Katinie?

Katin i Leo wymienili spojrzenia nieprzedstawionych sobie dorosłych, umieszczonych w jednej lidze z powodu młodzieńczego entuzjazmu.

- No i co? Idziemy!

Leo wstał i poszedł za Myszą i Katinem w stronę drzwi.

Siedemset lat temu pierwsi koloniści na Vorpisie wykuli Esclaros Des Nuages w płaskowyżu Phoenix. Między

stanowiskami cumowniczymi dla mniejszych mgłopelzaczy i przystaniami sieciojeźdźców schody skrywały się w białej mgle. Teraz były zniszczone i wyszczerbione.

Lorq przechadzał się między kwarcowymi ścianami; podczas południowej sjesty na stopniach było pusto. Mgła spowijała dolne stopnie; białe fale toczyły się jedna po drugiej od horyzontu, każda pomalowana błękitnym cieniem z lewej, położona słońcem z prawej, jak rozszalałe baranki.

- Hej, kapitanie!

Lorq spojrzął w górę schodów.

- Kapitanie, możemy chwilę pogadać? - Mysz schodził po schodach jak krab. Sakwa z fletnią objęła mu się o udo. - Karin powiedział, że lecimy stąd na Plejady. Spotkałem właśnie faceta, którego znałem jeszcze na Ziemi, starego przyjaciela. Nauczył mnie gry na fletni czuciowej - potrząsnął sakwą. - Pomyślałem, że skoro lecimy w tym kierunku, moglibyśmy podrzucić go do domu. To mój naprawdę dobry przyjaciel...

- Dobrze.

Mysz przekrzywił głowę.

- Co?

- Lot na Plejady trwa zaledwie pięć godzin. Jeśli pojawi się na statku przed startem i zostanie w twojej komorze zabezpieczającej, nie mam nic przeciwko.

Mysz obrócił głowę w drugą stronę; zdecydował, że się podrapie.

- Och. Tak. Dobrze - roześmiał się. - Dzięki, kapitanie! - odwrócił się i zaczął wspinać się po schodach. - Karinie, Leo! Kapitan mówi, że się zgadza - obrócił się i krzyknął: - Jeszcze raz dzięki!

Lorq zszedł kilka stopni w dół.

Usiadł i oparł się ramieniem o szorstką ścianę.

Liczył fale.

Gdy doszedł do wysokiej trzycyfrowej liczby, przestał.

Polarne słońce krążyło na horyzoncie: mniej złote, bardziej błękitne.

We mgle przed Lorqiem tworzyły się i rozpadały postacie: Aaron Red, Dana, jego ojciec. A potem... krępy, zarozumiały

nastolatek w nowej kamizelce, gotowy do zabawy; smukły Australijczyk, tak cyniczny wobec wszelkich aspektów przepychu i władzy. Prince zabił jednego z was. Ja drugiego. Który z nas jest zatem większym potworem...?

Kiedy dostrzegł sieć, opuścił ręce wzdłuż ud, zatrzymał się na węzłach kolan.

Ogniwa zabrzęczały na dolnych stopniach. Jeździec wyprostował się, do pasa w kłębiącej się mgłę. Mgłopływaki podtrzymywały sieć. W kwarcu odbiły się błękitne iskry.

Lorq stał oparty o ścianę. Uniósł głowę.

Ciemnowłosa jeździec wspinał się po schodach, metalowa sieć falowała nad nim i za nim. Ogniwa uderzyły o ścianę i zabrzęczały. Pół tuzina stopni poniżej jeździec zdjął mgłomaskę.

- Lorqu?

Lorq rozwarł zaciśnięte dłonie.

- Jak mnie znalazłaś, Ruby? Wiedziałem, że to zrobisz. Powiesz mi, jak to zrobiłaś?

Oddychała ciężko; nie była przyzwyczajona do ciężaru, który niosła. Uprząż naprężyła się, rozluźniła, a potem znów napięła między jej piersiami.

- Kiedy Prince odkrył, że odleciałeś z Trytona, wysłał taśmy do sześciu tuzinów miejsc, do których mogłeś się udać. Instytut to tylko jedno z nich. Potem kazał mi donieść, którą odebrałeś. Byłam wtedy na planecie Chobe'a, kiedy odtworzyłeś tę taśmę z Instytutu, przybyłam jak najszybciej - sieć opadła na stopnie. - Kiedy dowiedziałam się, że jesteś tutaj, na Vorpis, w Phoenix... cóż, wymagało to sporo pracy. Uwierz mi, nie chciałabym tego robić ponownie.

Oparła rękę o skałę. Sieć zabrzęczała.

- W tej rundzie zamierzam zaryzykować, Ruby. Ostatnio próbowałem rozgrywać tak, że to komputer narzucał ruchy - potrząsnął głową. - Teraz będę grał z ręki, na oko i ze słuchu. Dotąd udawało mi się nie najgorzej. I wszystko rozegra się o wiele szybciej. Zawsze lubiłem szybkość. To chyba jedyna cecha, która czyni mnie tą samą osobą, którą byłem, gdy się poznaliśmy.

- Prince powiedział mi kiedyś coś bardzo podobnego - uniosła wzrok. - Twoja twarz - w jej rysach pojawił się ból. O mało nie dotknęła blizny; uniosła rękę, a potem ją opuściła. - Dlaczego czegoś z tym...? - nie dokończyła.

- Jest użyteczna. Dzięki niej przydają mi się te wszystkie wypolerowane powierzchnie nowych wspaniałych światów.

- W jaki sposób ci się przydają?

- Przypominają mi, po co tu jestem.

- Lorqu... - w jej głosie dało się słyszeć irytację - co ty robisz? Jak ci się wydaje, co możesz w ten sposób osiągnąć? Albo wydaje się twojej rodzinie?

- Mam nadzieję, że ani ty, ani Prince jeszcze nie wiecie. Nie próbowałem tego ukrywać. Ale próbuję ci przekazać wiadomość nieco archaicznymi metodami. Jak sądzisz, jak długo plotka będzie pokonywać odległość między tobą a mną? - Lorq oparł się o skałę. - Co najmniej trzy tysiące ludzi wie, co Prince próbuje zrobić. Odtworzyłem im dziś jego wiadomość. Nie mamy już tajemnic, Ruby. Jest wiele miejsc, w których można się ukryć; jest jedno, gdzie mogę stanąć w pełnym świetle.

- Wiemy, że próbujesz zrobić coś, co ma zniszczyć ród Redów. To jedyna rzecz, w którą jesteś gotów zainwestować tyle czasu i wysiłku.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć ci, iż się mylisz - zaplótł palce. - Ale nadal nie wiesz, co to naprawdę jest.

- Wiem, że ma coś wspólnego z gwiazdą.

Skinął głową.

- Lorqu, mam ochotę krzyknąć na ciebie, wrzeszczeć - kim ci się wydaje, że jesteś?

- Kim jestem, by urągać Prince'owi i pięknej Ruby Red? Jesteś piękna, Ruby, a ja oto stoję przed twoją pięknnością tak samotny, nagle przeklęty przez cel. Ty i ja, Ruby, światy, na których byliśmy, nie wpasowały się w nasze znaczenia. Jeśli przeżyję, wtedy przeżyje świat, setka światów, sposób życia. Jeśli przeżyje Prince... - wzruszył ramionami. - Może istotnie to jest gra. Wszyscy powtarzają nam, że żyjemy w społeczeństwie pozbawionym znaczenia, że w naszym życiu nie ma niczego

solidnego. Światy kołyszają się dookoła nas, a ja nadal chcę grać. Gra to jedyna rzecz, do której przygotowano mnie w życiu, nieustępliwa gra, będę grał bezwzględnie - ale stylowo.

- Zdumiewasz mnie, Lorqu. Prince jest tak przewidywalny - jej brwi powędrowały w górę. - Zaskoczyło cię to? Prince i ja dorastaliśmy razem. Ale ty stawiasz mnie przed obliczem nieznanego. Podczas tego przyjęcia, wiele lat temu, kiedy mnie pragnąłeś, czy to także było częścią gry?

- Nie... tak... Wiem, że nie opanowałem wtedy zasad.

- A teraz?

- Wiem, że lepiej jest tworzyć własne. Rubys, chcę czegoś, co ma Prince - nie... Chcę *wygrać* coś, co ma Prince. Kiedy już będę to miał, mogę się odwrócić i wyrzucić to coś do śmieci. Ale chcę to zdobyć. Zmagamy się, a ile żywotów i ile światów zostanie wytraconych z torów? Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Powiedziałaś wtedy: „Jesteśmy szczególnymi ludźmi, tylko z powodu posiadanej władzy”. Gdybym jednak próbował cały czas o tym myśleć, chyba by mnie to sparaliżowało. I oto jestem, tutaj, w tej sytuacji, z tym wszystkim, co mam do zrobienia. Ale nauczyłem się, Rubys, jak *ja* mogę grać. Wszystko co robię - ja, osoba, którą jestem i którą się stałem - muszę to robić tak, by wygrać. Pamiętaj o tym. Teraz wyświadczyłaś mi jeszcze jedną przysługę. I mam wobec ciebie dług, więc cię ostrzegę. Dlatego właśnie czekałem.

- Cóż takiego zamierzasz zrobić, że wymaga ogłoszenia aż tak rozdętych przeprosin?

- Jeszcze nie wiem - zaśmiał się Lorqu. - Rzeczywiście wypadło jakoś oficjalnie. Ale to prawda.

Odetchnęła głęboko. Na jej wysokim czole pojawiła się zmarszczka, a wiatr rozwał jej włosy, aż opadły na ramię. Jej oczy pozostały w cieniu.

- Chyba jestem ci winna takie samo ostrzeżenie.

Skinął głową.

- Uznajmy więc, że je przekazałam.

Wstała.

- Rozumiem.

- Dobrze.

Cofnęła ramię, po czym nagłym wyrzutem wysunęła je do przodu.

Trzysta stóp kwadratowych sieci z ogniów łańcucha przeleciało jej nad głową i spadło na niego.

Ogniwa opadły na jego uniesione dłonie; posiniaczyły je. Ugiął się pod ciężarem.

- Ruby...!

Szarpnęła drugim ramieniem; opadła kolejna warstwa.

Cofnęła się i szarpnęła siecią; podcięła mu nogi i upadł.

- Nie! Pozwól mi...!

Poprzez migoczące ogniwa dostrzegł, że znów włożyła maskę; jej oczy zmieniły się w błyszczące szkło, na ustach i nozdrzach pojawiła się maskownica. Wszystko wyrażały jej smukłe ramiona, nagle zarysowujące się niewielkie mięśnie. Pochyliła się, na jej brzuchu zarysowały się fałdy. Obwody wzmacniające zwiększyły siłę jej ramion jak pięćset do jednego. Lorq został szarpnięty w stronę schodów. Upadł, chwycił się ściany. Kamień i metal raniły go w ręce i nogi.

Ogniwa sieci były wytrzymałe, ale brakowało im precyzji ruchu. Spęczenie przebiegło przez sieć; schował się po nim i w ten sposób zyskał dwa kroki. Ruby szarpnęła sieć i tak stracił cztery. Próbował pełzać na plecach, potem na boku. Próbowała go przetoczyć. Mgła sięgała jej do łydek; cofnęła się głębiej w duszące opary, zgarbiła się, aż jej czarna maska znalazła się na poziomie powierzchni mgły.

Szarpnął się, jak najdalej od niej, spadł jeszcze pięć stopni. Leżąc na boku chwycił ogniwa i podniósł się. Ruby potknęła się. Poczuł, jak kolejny kamień przeorał mu ramię.

Lorq puścił sieć, przestał wstrzymywać oddech. Znów spróbował unikać tego, co na niego spadało.

Usłyszał, jak Ruby wciąga powietrze.

Odsunął sieć z twarzy i otworzył oczy. Coś na zewnątrz...

Coś pędziło, ciemne i skrzydlate, między ścianami.

Ruby wyrzuciła ramię, by je odgonić. Sieć wzbiła się w górę nad Lorqiem.

Coś wzleciało w górę, unikając uderzenia siecią.

Dwadzieścia pięć kilogramów metalu opadło z powrotem w

mgłę. Ruby zachwiała się i znikła.

Lorq zszedł kilka stopni w dół. Mgła sięgała mu do ud. Kąsająca arsenikowa mgła otoczyła jego rękę. Zakaszłał i chwycił się skały.

Ciemna istota unosiła się teraz nad nim. Ciężar na chwilę ustąpił; Lorq podciągnął się po kamieniach na brzuchu. Wdychał świeże powietrze, dysząc i czując, jak kręci mu się w głowie. Obejrzał się.

Sieć unosiła się nad nim, jakby szamocząc się z bestią. Lorq podciągnął się jeszcze o jeden stopień; stworzenie uwolniło się. Ogniwa trzepnęły go mocno w nogę, a następnie z niej zsunęły. Zjechały po schodach i znikły.

Lorq usiadł i zmusił się, by spojrzeć w górę, śledząc lot stworzenia między kamieniami. Wyleciało ponad mury, wykonało dwa kręgi i wróciło na ramię Sebastiana: przysadzisty wszczępieniec spoglądał w dół z muru.

Lorq wstał, zacisnął powieki, potrząsnął głową i ruszył w górę Esclaros des Nuages.

Sebastian przypinał stalową linkę do zagiętego pazura stworzenia, gdy Lorq dotarł do niego, na górę schodów.

- I znów... - Lorq zaczerpnął powietrza i opuścił rękę na wyścielane złotem ramię Sebastiana - ci dziękuję.

Popatrzyli ze skały w dół, gdzie żaden jeździec nie mącił mgły.

- W niebezpieczeństwie jesteś.

- Tak.

Tyż szybkim krokiem przemierzyła przystań i znalazła się u boku Sebastiana.

- Co to było? - Jej oczy, żywe jak metal, błędziły od jednego mężczyzny do drugiego. - Czarną skrzelowatą piłę uwolniłam!

- Wszystko w porządku - zwrócił się do niej Lorq. - Przynajmniej teraz. Starcie z Królową Mieczy miałem. Ale ocaliło mnie two zwierzę.

Sebastian wziął Tyż za rękę. Jej palce poczuły podobny kształt, uspokoiła się.

- Czas nam lecieć? - spytał poważnie Sebastian.

- Za twoim słońcem? - spytała Tyż.

- Nie. Za waszym.

Sebastian zmarszczył brwi.

- Na Mroczną, Martwą Siostrę polecimy - wyjaśnił Lorq.

Cień i cień; cień i światło; bliźnięta maszerowały przez przystań. Wyraz zdziwienia malował się na twarzy Lynkeosa, lecz nie Idasa.

- Ale...? - zaczął coś mówić Sebastian. Poczul ruch ręki Tyÿ w swojej dłoni i zamilkł.

Lorq nie chciał odpowiadać na niezadane pytanie.

- Pozostałych zaraz zbierzemy. To, czego chciałem, już mam. Tak, czas na nas.

Katin przesunął się do przodu, by złapać się ogniów. Sieci zabrzczały w całej szopie.

Leo zaśmiał się.

- Hej, Mysz. W ostatnim barze za dużo wypił twój przyjaciel.

Katin odzyskał równowagę.

- Nie jestem pijany... - podniósł wzrok i spojrzał na rozwieszony metal. - Jeszcze mógłbym wypić dwa razy tyle i nic.

- Zabawne. Ja jestem - Mysz otworzył sakwę. - Leo, mówiłeś, że chcesz, bym grał dalej. Co chcesz zobaczyć?

- Cokolwiek, Mysz. Cokolwiek, co chcesz zagrać, graj.

Katin znów potrząsnął sieciami.

- Od gwiazdy do gwiazdy, Mysz; wyobraź sobie wielką sieć rozpościerającą się wszędzie tam, gdzie dociera człowiek. To macierz, w której dzieje się historia. Widzisz? To właśnie to. To moja teoria. Każdy człowiek jest węzłem tej sieci, a sznurki między nimi to powiązania kulturowe, ekonomiczne i psychologiczne, które łączą poszczególne osoby. Każde wydarzenie historyczne jest jak fala na tej sieci - potrząsnął znów ogniwami. - Przepływa przez całą sieć, rozciągając lub kurcząc te więzi, które łączą ludzi ze sobą. Jeśli zdarzenie ma charakter katastrofalny, więzi się rwą. Sieć ulega rozdarciu. De Efling i 34-Alvin spierają się tylko co do tego, gdzie te fale się zaczynają i jak szybko się przemieszczają. Ale ich ogólny pogląd jest taki sam, wiesz? Chciałbym uchwycić ten wyrzut i zakres

sieci w mojej... mojej powieści, Mysz. Chcę, by się rozprzestrzeniła na całą sieć. Muszę jednak znaleźć ten kluczowy temat, to wydarzenie, które wstrząśnie historią, sprawi, że ogniwa zaczną dla mnie brzęczeć i błyszczeć. Księżyc, Mysz - udać się na wygnanie na jakąś piękną skałę, gdzie będę mógł doskonalić me umiejętności oraz podziwiać przyprływy i odpływy sieci. Właśnie tego chcę, Mysz. Ale temat jakoś nie nadchodzi!

Mysz siedział na podłodze i przyglądał się spodniej części sakwy; wysunęło się jakieś pokrętło sterujące fletnią.

- Dlaczego po prostu nie napiszesz o sobie?

- Och, faktycznie, doskonały pomysł! Kto miałby to czytać, ty?

Mysz znalazł pokrętło i nacisnął mocniej trzpień.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek przeczytał coś tak długiego jak powieść.

- Ale gdyby tematem był, powiedzmy, spór między dwoma rodzinami, jak rodzina Prince'a i kapitana, to może przynajmniej *chciałbyś*?

- Ile dotąd zrobiłeś notatek do tej książki? - Mysz wpuścił do hangaru odrobinę światła.

- Nie mam jeszcze nawet jednej dziesiątej tego, czego potrzebuję. Choć to dzieło jest skazane na zapomnienie jak eksponat muzealny, zostanie wyczelowane - zakołysał się na sieci - stworzone - ogniwa sieci zaczęły brzęczeć - i będzie wyjątkowe! Doskonałe!

- Urodziłem się - rzekł Mysz. - Muszę umrzeć. Cierpię. Pomóż mi. Patrz, właśnie napisałem za ciebie książkę.

Katin spojrział na swoje wielkie palce wplecione w sieć i po chwili rzekł:

- Mysz, czasem doprowadzasz mnie do płaczu.

Zapach migdałów.

Zapach kminu.

Zapach kardamonu.

Splatające się melodie.

Obgryzione paznokcie, spuchnięte kostki; wierzchy dłoni Katina migotały wśród jesiennych kolorów; jego cień tańczył wśród sieci na betonowej podłodze.

- Hej, patrzcie! - zaśmiał się Leo. - Mysz, ty grasz! Ty grasz!
Cienie tańczyły dalej, aż rozległy się głosy:
- Hej, czy wy tu nadal...
 - ...jesteście? Kapitan powiedział, żebyśmy...
 - ...was sprowadzili. Już...
 - ...czas na nas. Dalej...
 - ...lecimy!

ROZDZIAŁ 6

- Paź buław.
- Sprawiedliwość.
- Sąd Ostateczny. Ta lewa moja. Królowa pucharów.
- As pucharów.
- Gwiazda. Lewa moja. Pustelnik.
- Wygrywa atutami! - zaśmiał się Leo. - Śmierć.
- Głupiec. Moja lewa. Teraz: rycerz denarów.
- Trójka denarów.
- Król denarów. Moja lewa. Piątka mieczy.
- Dwójka.
- Mag. Lewa moja.

Katin patrzył na wygaszony stolik szachowy, gdzie Sebastian, Tyś i Leo, po godzinnych wspominkach, grali w trójkę w tarotawista.

Nie znał dobrze tej gry, ale rozpamiętywał, że go do niej nie zaproszono. Przyglądał się graczom przez jakiś kwadrans, zaglądając Sebastianowi przez ramię (ciemne stworzenie przypadło do jego stóp): owłosione dłonie tasowały i rozdawały karty. Na podstawie swej niewielkiej wiedzy Katin próbował złożyć jakąś błyskotliwą wypowiedź, by móc włączyć się do gry.

Grali tak szybko...

Zrezygnował.

Podszedł do miejsca, gdzie Mysz i Idas siedzieli na rampie z nogami zwieszonymi nad basenem; uśmiechnął się. Sięgnął do kieszeni i nacisnął klawisz rejestratora, zapisując kolejną notatkę.

- Hej, Mysz, a co by było, gdybym obrócił to pokrętło? - rzekł Idas.

- Zostaw! - Mysz odepchnął czarną dłoń Idasa od fletni. - Oślepisz wszystkich tutaj!

Idas skrzywił się.

- Ta, którą miałem, kiedy się jeszcze z nią włóczyłem, nie miała... - zamilkł, jakby czekając na dokończenie, które nie nadeszło.

Palce Myszy zsunęły się z drewna na plastik. Przesunął nimi po strunach i wydobyl kilka niewzmocnionych nut.

- Możesz naprawdę zrobić komuś krzywdę, jeśli nie będziesz umiał tego poprawnie używać. Jest bardzo kierunkowe, a natężenie światła albo dźwięku, jakie można z niego wydobyć, może spowodować odklejenie się siatkówki albo przebicie błony bębenkowej. Wiesz, nieprzejrzyste obrazy są tworzone za pomocą lasera.

Idas potrzęsnał głową.

- Nigdy nie grałem na czymś takim na tyle długo, żeby się dowiedzieć, jak naprawdę działają te wszystkie...

Wyciągnął dłoń, by dotknąć strun, które były bezpieczniejsze.

- Pewnie, ładnie to wygląda...

- Hej - rzekł Karin.

Mysz odburknał coś i wrócił do strojenia brzękotek.

Katin usiadł obok Myszy i przez chwilę patrzył.

- Tak sobie pomyślałem - rzekł - że dziewięć na dziesięć razy, kiedy mówię „hej” do kogoś, kto przechodzi, lub kiedy osoba, z którą rozmawiam, oddala się, by zrobić coś innego, spędzam jakiś kolejny kwadrans na odtwarzanie w głowie tego incydentu, zastanawiając się, czy mój uśmiech nie został przypadkiem wzięty za niestosowne spoufalanie się, albo mój poważny wyraz twarzy - niesłusznie zinterpretowany jako chłód. Powtarzam sobie kilkanaście razy tę interakcję, zmieniając ton głosu i próbując ekstrapolować zmianę, która mogłaby u tej osoby wywołać reakcję...

- Hej - Mysz podniósł wzrok znad fletni. - Wszystko gra. Ja cię lubię. Po prostu byłem zajęty, i tyle.

- Och - Katin uśmiechnął się, po czym uśmiech ustąpił zmarszczeniu brwi. - Wiesz, Mysz, zazdroścę kapitanowi On ma misję do spełnienia. A jego obsesja wyklucza zastanawianie się, co o nim sądzą inni ludzie.

- Ja nie przeżywam tego wszystkiego tak jak ty - rzekł Mysz. - Nie za bardzo.

- A ja tak - Idas rozejrzał się dookoła. - Kiedy jestem zupełnie sam, robię wszystkie... - opuścił ciemną głowę i zaczął przyglądać się kostkom u rąk.

- To miło z jego strony, że daje nam trochę wolnego czasu i możemy lecieć z Lynkeosem - rzekł Katin.

- Tak - odparł Idas. - Chyba że... - i odwrócił dłonie, by śledzić ciemne linie w ich wnętrzu.

- Kapitan ma za dużo rzeczy na głowie - oznajmił Mysz. - A wcale ich nie chce. Podczas tej części podróży nie musi za wiele robić, więc znalazł sobie coś, żeby zająć czymś myśli. Tak mi się wydaje.

- Sądzisz, że kapitan ma koszmarne sny?

- Może - Mysz trącił struny fletni i poczuli woń cynamonu, tak ostrą, że zapiekły ich nosy i podniebienia.

Katin poczuł, że łzawią mu oczy.

Mysz potrząsnął głową i obrócił pokrętło, którego dotknął Idas.

- Przepraszam.

- Rycerz... - po drugiej stronie pomieszczenia Sebastian uniósł wzrok i zmarszczył nos - ...mieczy.

Katin, który jako jedyny miał wystarczająco długie nogi, dotknął palcem u stopy wody pod rampą. Kolorowy żwirzek zatrzęsł się; Katin wyjął rejestrator i pstryknął przełącznikiem nagrywania.

- Powieści opowiadały głównie o związkach - gdy mówił, przyglądał się zaburzonym wzorom mozaiki za liśćmi. - Popularność zawdzięczały temu, że przeczyły samotności ludzi, którzy je czytali, ludzi zasadniczo zahipnotyzowanych machinacjami własnej świadomości. Na przykład kapitan i Prince, z powodu swoich obsesji, są całkowicie powiązani przez...

Mysz pochylił się i przemówił do ozdobionego klejnotami pudełeczka:

- Kapitan i Prince pewnie nie spotkali się twarzą w twarzą od dziesięciu lat!

Rozzłoszczony Katin wyłączył urządzenie. Rozmyślał nad jakąś ripostą, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Włączył

więc rejestrator z powrotem.

- Należy pamiętać, że społeczeństwo, które pozwala, by coś takiego się działo, to społeczeństwo, które dopuściło do wymarcia powieści. Pisząc powieść nie zapominajmy, że tematem powieści jest to, co się dzieje między twarzami ludzi, rozmawiających ze sobą.

Znów pstryknięcie.

- *Po co ty piszesz tę powieść?* - spytał Mysz. - To znaczy, co chcesz z nią zrobić?

- A po co ty grasz na fletni? Jestem przekonany, że przyczyna jest zasadniczo taka sama.

- Tylko że gdybym ja nic nie robił, tylko się przygotowywał, to nigdy niczego bym nie zagrał i na tym polega różnica.

- Zaczynam rozumieć, Mysz. To nie mój cel cię dręczy, ale moje metody na drodze do jego osiągnięcia.

- Katinie, ja *rozumiem*, co ty robisz. Chcesz stworzyć coś pięknego. Ale to tak nie działa. Pewnie, musiałem długo ćwiczyć, żeby grać na tym instrumencie. Ale gdybyś ty próbował zrobić coś takiego, musiałbyś zmusić ludzi, by doznawali życia dookoła nich i wzruszali się nim, nawet jeśli chodzi tylko o jakiegoś faceta, który szuka czegoś w piwnicy Instytutu. To się nie uda, jeśli sam choć trochę nie zrozumiesz tego uczucia.

- Mysz, jesteś wspaniałym, dobrym, pięknym człowiekiem. Tylko że się mylisz. Te piękne formy, które tkasz dzięki swojej fletni... spojrzałem ci w twarz na tyle blisko, że wiem, ile z nich powstało z powodu przerażenia.

Mysz uniósł wzrok i na jego czoło wystąpiły zmarszczki.

- Mógłbym godzinami siedzieć i słuchać, jak grasz. Ale to tylko krótkie chwile radości, Mysz. Doznajemy ich wtedy, gdy wszystko, co wiemy o życiu, zostanie wypreparowane do abstrakcji, a potem zostanie użyte jako główna deklaracja istotnego wzorca, który jest zarówno piękny, jak i trwały. Tak, istnieje część mnie, której nie byłem w stanie odkorkować, by użyć jej w tym przedsięwzięciu, coś, co płynie i tryska w tobie, spływa z twoich palców. Istnieje jednak ogromna część ciebie, która gra, by utopić dźwięk w czyichś krzykach - pokiwał głową,

widząc grymas na twarzy Myszy.

Mysz wydał ten dźwięk ponownie.

Katin wzruszył ramionami.

- Przeczytałbym twoją książkę - rzekł Idas.

Mysz i Katin unieśli wzrok.

- Przeczytałem... cóż, przeczytałem trochę książek - wciąż przyglądał się swym dłoniom.

- Przeczytałbyś?

Idas skinął głową.

- W Zewnętrznych Koloniach ludzie czytają książki, czasem nawet powieści. Tylko nie ma ich już za dużo... no, są ale stare... - spojrzał na ramę na ścianie; widać tam było Lynkeosa, wyglądał jak niezrodzony duch. W drugiej widniał kapitan. Idas obejrzał się; w jego oczach malowało się poczucie straty. - W Zewnętrznych Koloniach było inaczej niż... - wskazał gestem wnętrze statku, jakby miał na myśli wszystko pochodzące z Drako. - Powiedzcie, czy dobrze znacie to miejsce, do którego lecimy?

- Nigdy tam nie byłem - rzekł Katin.

Mysz potrząsnął głową.

- Zastanawiałem się, czy wiecie, skąd można zdobyć trochę... - opuścił wzrok. - Nieważne...

- Musisz ich spytać - odparł Katin, wskazując na grających w karty. - To ich dom.

- Och - mruknął Idas. - Tak. Chyba... - odepchnął się od rampy, wskoczył z pluskiem do wody, brodząc po żwirku, po czym ociekając, pomaszerował po wykładzinie.

Katin spojrzał na Mysz i potrząsnął głową.

Błękitna wykładzina całkowicie wchłonęła wodę.

- Szóstka mieczy.

- Piątka mieczy.

- Przepraszam, czy ktoś z was zna...

- Dziesiątka mieczy. Moja lewa. Paż kielichów.

- ...planetę, na którą lecimy? Czy może wiecie...

- Wieża.

(- Wolałbym, żeby ta karta, odwrócona, nie pojawiła się we wróżbie kapitana - szepnął do Myszy Katin. - Wierz mi, nie

zwiastuje niczego dobrego).

- Czwórka pucharów.
- Moja lewa. Dziewiątka buław.
- ...gdzie możemy kupić...
- Siódemka buław.
- ...trochę rozkoszy?
- Koło fortuny. Lewa moja - Sebastian uniósł głowę. - Rozkoszy?

Badacz, który nadał najbardziej oddalonej planecie Mrocznej, Martwej Siostry nazwę Elizjum, musiał mieć specyficzne poczucie humoru. Mimo dostępności tylu urzędzeń planetofornujących były to nadal zamrożone węgielki, krążące wokół niej w odległości podobnej, w jakiej Pluton okrąży Sol, jałowe i niezamieszkałe.

Ktoś kiedyś podsunął wątpliwą teorię sugerującą, że wszystkie trzy pozostałe planety były kiedyś księżycami, krążącymi w cieniu jakiejś gigantycznej planety, gdy doszło do katastrofy, a im udało się uciec potędze, która zniszczyła ich protektorkę. Biedne księżyce, jeśli rzeczywiście jesteście księżycami, rozmyślał Katin, gdy koło nich przelatywali. Skończyłście niewiele lepiej niż planeta. Taka lekcja na temat aspiracji.

Kontynuując badania, badacz odzyskiwał poczucie proporcji. Jego uśmiezek zgasł przy środkowej planecie; nazywano ją Dis.

Jego los sugerował, że ukłucie wyrzutów sumienia nadeszło za późno. Kpiąc z bogów, tylko raz zasłużył na klasyczną nagrodę. Jego statek rozbił się na planecie położonej najbliższej gwiazdy. Nie nadano jej nazwy i do dziś określa się ją po prostu jako „tamtą planetę”, bez zadęcia, pompy ani wielkich liter. Dopiero przybycie drugiego badacza pozwoliło odkryć tajemnicę, jaką skrywała planeta. Te wielkie równiny, które z dużej odległości wyglądały na zestalony żużel, okazały się oceanami - połączeniami zamrożonej wody. Pewnie, górna warstwa, jakieś trzy do trzydziestu metrów, była wymieszana ze wszelkiego rodzaju śmieciami i gruzem. Ostatecznie stwierdzono, że kiedyś cała

planeta była pokryta wodą do głębokości od czterech do pięćdziesięciu kilometrów. Jakież dziewięćdziesiąt siedem procent tej wody wyparowało w kosmos, gdy Mroczna, Martwa Siostra zmieniła się w Nową. Odsetek suchego lądu, jaki pozostał, był nieco wyższy niż w przypadku Ziemi. Atmosfera, którą nie da się oddychać, całkowity brak życia, bardzo niskie temperatury? To nieistotne problemy przy wielkim darze, jakim są morza, i łatwo je rozwiązać. W pierwszych latach pobytu na Plejadach ludzkość zasiedliła więc ten zwęglony i zamrożony świat. Najstarsze miasto tamtej planety - choć nie największe, gdyż zmiany ekonomiczne, jakie nastąpiły w ciągu ostatnich trzystu lat, spowodowały przemieszczanie się populacji - otrzymało starannie wybraną nazwę: Miasto Strasznej Nocy.

A „Roc” opadał w stronę czarnego bąbla miasta na skraju Diabiego Pazura.

Federacja Planet, Inny Świat, MSN, 3172

- ...osiemnaście godzin - te słowa zakończyły wypowiedź infogłosu.

- Czy wystarczająco blisko domu? - spytał Mysz.

Leo rozejrzył się po polu.

- Po tym świecie nie chodziłem nigdy - westchnął rybak. Gdzieś daleko morze spękanego lodu piętrzyło się na horyzoncie. - Ale „wielkie segmentowane i sześciopłetwe nary stadami pływają w tym morzu. Rybacy polują na nie harpunami tak wielkimi, że naraz pięciu wysokich mężczyzn poluje”. Na Plejadach jesteśmy, domu wystarczająco blisko - uśmiechnął się, a para z jego oddechu zasłoniła jego błękitne oczy.

- To twój świat, prawda, Sebastianie? - spytał Katin. - Pewnie się cieszysz z powrotu do domu.

Sebastian odepchnął czarne skrzydło, które szeleściło mu przed oczami.

- Nadal mój, ale... - rozejrzył się dookoła i wzruszył

ramionami. - Z Thule pochodzę. To większe miasto; w odległości ćwierci obwodu planety stąd leży. To daleko stąd; i zupełnie tam inaczej - spojrzał w nocne niebo. Siostra wisiała wysoko, zapuchnięta perła pod osłoną chmur barwy spizu. - Zupełnie inaczej - potrząsnął głową.

- Nasz świat, tak - dodała Tyj. - Ale nie nasz dom wcale.

Kapitan, który maszerował kilka kroków przed nimi, obejrzał się, gdy rozmawiali.

- Patrzcie - wskazał na bramę. Jego twarz pod blizną była nieruchoma. - Tej kolumny nie oplata żaden smok. Tu jest dom. Dla was i dla mnie, dla mnie i dla ciebie, tu jest dom!

- Wystarczająco blisko domu - powtórzył Leo. Ale w jego głosie czaiła się rezerwa.

Idąc za kapitanem, przeszli przez pozbawioną smoka bramę.

Krajobraz miał wszystkie barwy palonych pierwiastków:

Miedź - utlenia się na cętkowaną, żółtawą zieleń.

Żelazo - czarny i czerwony popiół.

Siarka - jej tlenki mają brązową barwę czerwonego błota.

Kolory rozmazane po całym mglistym horyzoncie, powtórzone na ścianach i wieżach Miasta. Gdy Lynkeos osłonił oczy i srebrzyste rzęsy, by spojrzeć na niebo, gdzie wił się jak szalony rój cieni, czarne liście mrugały na tle wyczerpanego słońca, które wyglądało, jakby był wieczór i nie można było liczyć na nic więcej, nawet w południe. Obejrzał się na stworzenie na ramieniu Sebastiana, które rozpostarło skrzydła i szarpnęło się na smyczy.

- A czy to skrzelowate stworzenie cieszy się, że wróciło do domu? - wyciągnął białą rękę w stronę przycupniętego stwora, by natychmiast cofnąć ją przed czarnym pazurem. Bliźnięta wymieniły spojrzenia i zaśmiały się.

Zaczęli zjeżdżać w stronę Miasta Strasznej Nocy.

W połowie drogi Mysz zaczął iść w kierunku przeciwnym do ruchu schodów.

- To nie... to nie Ziemia?

- Że co? - Katin przesunął się obok Myszy i podążył za nim.

- Spójrz w dół, Katinie. To nie jest Układ Słoneczny. To nie Drako.

- To twoja pierwsza podróż tak daleko od Sol, prawda?

Mysz skinął głową.

- Nie różni się aż tak bardzo.

- Spójrz na nie, Katinie.

- Miasto Strasznej Nocy - rozmyślał głośno Katin. - Tyle światel. Pewnie boją się ciemności.

Pokręcili się jeszcze przez chwilę, patrząc na coś, co przypominało gigantyczną szachownicę: ozdobne figury, gromada królów, królowych i wież strzelała w górę nad skoczkami i pionami.

- Chodźmy - rzekł Mysz.

Dwudziestometrowe ostrza z metalu, które stanowiły gigantyczne schody, zmiotły ich w dół.

- Musimy dogonić kapitana.

Ulice w pobliżu lądowiska były pełne tanich pensjonatów. Nad przejściami zwieszały się markizy, reklamując tancerki i psychoramy. Mysz spojrział przez przezroczystą ścianę: ludzie pływali w klubie rekreacyjnym.

- Nie różni się jakoś bardzo od Trytona. Sześć pensów @sg? Tu jest znacznie taniej.

Połowę przechodniów stanowili oficerowie lub załogi statków. Ulice były zatłoczone. Mysz usłyszał muzykę. Dochodziła z otwartych drzwi barów.

- Hej, Ty! - Mysz wskazał markizę. - Pracowałaś kiedyś w takim miejscu?

- Tak, w Thule.

Wróżby ekspertów; litery błysnęły, skurczyły się, a potem znów urosły.

- Zostaniemy w mieście...

Obrócili się w stronę kapitana.

- ...przez pięć dni.

- Będziemy spać na statku? - dopytywał się Mysz. - Czy tu, w mieście, żeby trochę się zabawić?

Wyobraźcie sobie bliznę. Otoczcie ją trzema blisko położonymi liniami blisko szczytu: kapitan zmarszczył czoło.

- Chyba wszyscy zdajecie sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźliśmy - potoczył wzrokiem po budynkach. - Nie. Nie zatrzymamy się ani tu, ani na statku.

Przeszedł przez skrzydła budki komunikacyjnej. Nie zadał sobie trudu zasunięcia paneli; przesunął dłonią przed płytką indukcyjną.

- Tu Lorq Von Ray. Yorgos Setsumi?

- Gdy spotkanie z doradcami się zakończy, przekażę wiadomość.

- Android wystarczy - rzekł Lorq. - Niewielkiej przysługi potrzebuję.

- Panie Von Ray, zawsze z panem chce osobiście rozmawiać. Chwileczkę, jest już, jak sądzę.

W kolumnie wyświetlaczowej zmateriałizowała się jakaś postać.

- Tak dawno nie widziałem cię, Lorqu. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Czy ktoś zamierza używać Taafite na Złocie w ciągu najbliższych dziesięciu dni?

- Nie. Jestem teraz w Thule i pozostanę tu przez kolejny miesiąc. Jak sądzę, jesteś w Mieście i szukasz jakiegoś miejsca, w którym mógłbyś się zatrzymać?

Katin zauważył, że przestali mówić dialektem.

W głosie kapitana i pana Setsumi były pewne trudne do uchwycenia podobieństwa, które ubarwiały ich mowę. Katin dostrzegł wspólne dziwactwa, po których rozpoznawał wywodzących się z wyższych klas mieszkańców Plejad. Spojrzał na Tyÿ i Sebastiana, by sprawdzić, czy oni to dostrzegli. Niewielki ruch mięśni wokół oczu - ale reakcja była widoczna. Katin spojrział znów na kolumnę wyświetlaczową.

- Mam ze sobą trochę ludzi, Yorgy.

- Lorqu, moje domy są twoimi domami. Mam nadzieję, że tobie i twoim gościom będzie tam wygodnie.

- Dzięki, Yorgy - Lorq wyszedł z kabiny.

Załoga wymieniła spojrzenia.

- Niewykluczone - oświadczył Lorq - że kolejne pięć dni spędzone na innej planecie będzie ostatnimi dniami, jakie spędzę gdziekolwiek.

Przyglądał im się uważnie, doszukując się reakcji, które oni próbowali ukrywać.

- Równie dobrze możemy więc spędzić ten czas przyjemnie. Tędy.

Kolejka jednoszynowa pędziła po szynie; lecieli nad Miastem.

- To Złoto jest? - spytała Tyÿ Sebastiana.

Siedzący obok nich Mysz przycisnął twarz do szyby.

- Gdzie?

- Tam - Sebastian wskazał coś między kwadratami ulic. Pośród przecnic płynęła rzeka z płynnego metalu.

- Hej, to tak jak na Trytonie - rzeki Mysz. - Czy to jest jądro planety, stopione ilirionem?

Sebastian potrząsnął głową.

- Cała planeta jest na to za duża. Tylko przestrzeń pod miastem. Tę szczelinę Złotem zwą.

Mysz patrzył jak połyskiwe, ogniste wychodnie rozwierają się obok jaskrawego pęknięcia.

- Mysz?

- Co? - uniósł wzrok, gdy Katin wyjął rejestrator. - Czego chcesz?

- Zrób coś.

- Co?

- Próbuję przeprowadzić pewien eksperyment. Zrób coś.

- Co mam zrobić?

- Cokolwiek, co przychodzi ci do głowy. No, dalej.

- Cóż... - Mysz zmarszczył brwi. - No, dobrze.

Mysz coś zrobił.

Bliźniacy, z drugiej strony wagonu, obrócili się i zaczęli się gapić.

Tyÿ i Sebastian spojrzeli na Mysz, po czym na siebie, a następnie znów na Mysz.

- Postaci - powiedział Katin do rejestratora - utrwalają się

najskuteczniej poprzez czyny. Mysz cofnął się od okna i zaczął obracać ręką. Z wyrazu jego twarzy wnosząc, że był zarówno rozbawiony moim zaskoczeniem z powodu gwałtowności jego postępowania, jak i ciekawy, czy jestem usatysfakcjonowany. Opuścił ręce z powrotem na okno, oddychał trochę ciężko, i zaciskał palce na parapecie...

- Hej - wtrącił Mysz - ja tylko machałem ręką. To dyszenie, zaciśnięte palce... to nie było częścią...

- „Hej”, rzekł Mysz, wystawiając kciuk przez otwór w spodniach, na udzie. „Ja tylko machałem ręką. To dyszenie, zaciśnięte palce... to nie było częścią...”.

- Do licha!

- Mysz schował palec, zdenerwowany zwinął dłoń w pięść, krzyknął „Do licha!” i odwrócił się, sfrustrowany. Istnieją trzy rodzaje działań: celowe, nawykowe i bezcelowe. By postaci mogły dać się natychmiast poznać i zauważyć, muszą być przedstawione przez wszystkie trzy.

Katin spojrział na przód wagonu.

Kapitan patrzył przez zakrzywioną taflę, która sięgała dachu. Żółte oczy utkwili w pochłaniającym świetle, które pulsowało jak ogieńki w wielkim palenisku, światło było tak słabe, że nie musiał ich mrużyć.

- Jestem i tak - przyznał Katin, przemawiając do ozdobionego klejnotami pudełka - nieco zakłopotany. Lustro moich obserwacji obraca się i to, co najpierw wziąłem za działania bezcelowe, okazało się nawykowymi; zobaczyłem już tyle razy. To, co wziąłem za nawyk, teraz wydaje się częścią większego planu. Coś, co pierwotnie wziąłem za działanie celowe, teraz oszałamia brakiem celu. Lustro znów się obraca, a postać, którą miałem za ogarniętą szalem celowości, ujawnia, że jej obsesja jest tylko nawykiem; jego nawyki są w bezcelowy sposób pozbawione znaczenia; zaś działania, które uważałem za bezcelowe, teraz ujawniają wyjątkowo demoniczny koniec.

Kapitan odwrócił wzrok żółtych oczu od zmęczonej gwiazdy. Twarz Lorqa wybuchła w okolicy blizny na widok jakiejś groteski w wykonaniu Myszy, której nie zauważył Katin.

Wściekłość, zastanawiał się Katin. Wściekłość. Tak, on się

śmieje. Ale czy ktokolwiek byłby w stanie odróżnić w tej twarzy śmiech od wściekłości?

Pozostali roześmiali się.

Chyba więc jakoś się da.

- Co to za dym? - spytał Mysz, obchodząc osadzoną w kamieniach kratę, z której coś parowało.

- To tylko kanalizacji wylot, jak sądzę - rzekł Leo. Rybak spojrział na mgłę wijącą się wokół słupa, na końcu którego znajdowała się piękna, fluorescencyjna latarnia uliczna. Przy gruncie para tworzyła kule i opadała. Przy latami tańczyła i drżała.

- Taafite jest na końcu tej ulicy - wyjaśnił Lorq.

Szli pod górę, mijając kolejne wyloty kanalizacji, z których uchodziła para w świetle wiecznego wieczora.

- Chyba Złoto jest...

- ...tuż za tą skarżą?

Lorq skinął bliźniętom głową.

- Co to jest to całe Taafite? - spytał Mysz.

- Miejsce, gdzie będzie nam wygodnie - w rysach kapitana odbiło się subtelne cierpienie.

- I gdzie nie będę się musiał wami przejmować - Lorq próbował dać Myszy kuksańca, ale ten uchylił się.

- To tutaj.

Dwunastopowa brama z kawałkami kolorowego szkła osadzonymi w kutym żelazie opadła, gdy Lorq przyłożył dłoń do płytki.

- Pamięta mnie.

- Taafite nie należy do ciebie? - spytał Katin.

- Należy do mojego dawnego przyjaciela ze szkoły, Yorgosa Setsumi, który jest właścicielem firmy Pleiades Mining. Kilkanaście lat temu często z tego miejsca korzystałem. Wtedy zamek został zaprogramowany tak, by rozpoznawać moją dłoń. Podobnie i ja udostępniałem mu niektóre z moich domów. Teraz już nie widzimy się zbyt często, ale kiedyś dobrze się znaliśmy.

Wkroczyli do ogrodu Taafite.

Rosły tu kwiaty, które nigdy nie były oglądane w pełnym świetle. Ich kwiecie miało barwę purpurową, kasztanową, fioletową - koloty wieczorne. Przypominające mikię łuski pająkowatych drzew tyldowych błyszcząły na pozbawionych liści gałęziach. Było tam dużo niskich krzewinek, ale wszystkie wyższe rośliny były smukłe i rzadko ulistnione, by dawały jak najmniej cienia.

Przednia ściana Taafite była zakrzywioną szklaną formą. Na długim odcinku nie było żadnych ścian: dom i ogród płynnie się ze sobą łączyły. Coś w rodzaju ścieżki prowadziło do schodów wyciętych w skale poniżej czegoś, co prawdopodobnie było drzwiami wejściowymi.

Gdy Lorq przyłożył rękę do płytki drzwiowej, w całym domu zaczęły się zapalać z migotaniem światła, nad nimi, w oknach, daleko na końcach korytarzy, odbijały się na rogach, przebijały przez przezroczyste ściany, żyłkowane jak fiołkowy jadeit albo tafle czarnego, odlewane bursztynu. Także poniżej: część kondygnacji była przezroczysta i widać było światła zapalające się w dole.

- Wejdźcie.

Ruszyli za kapitanem po beżowej wykładzinie. Katin ruszył przodem, by przyjrzeć się stojącym na półce statuetkom z brązu.

- Benin? - zwrócił się do kapitana.

- Chyba tak. Yorgos lubuje się w sztuce trzynastowiecznej Nigerii.

Gdy Katin zwrócił się w stronę przeciwległej ściany, otworzył szeroko oczy.

- To przecież nie mogą być oryginały - zmrużył oczy. - Falszerstwa Van Meererena?

- Nie. Chyba po prostu stare dobre kopie.

Katin zachichotał.

- Nadal przypomina się „Pod światłem Syriusza” Dehaya.

Szli dalej korytarzem.

- Tu gdzieś chyba jest bar - Lorq skręcił w stronę drzwi.

Światła były tu przyćmione - z powodu tego, co znajdowało

się za szybą o wysokości czterdziestu stóp.

Światło żółtych lamp błdziło po połaci połyskującego mleczną poświatą piasku, spływającego przez sita ze skalnej ściany. Na obrotowej platformie do pomieszczenia właśnie wjeżdżały zakąski. Na wiszących w powietrzu szklanych półkach tkwiły blade rzeźby: brązowe statuetki z Beninu w holu, tu cykladzkie marmury, świetliste i pozbawione wyrazu.

Na zewnątrz pomieszczenia było Złoto.

Między niewyraźnymi rozpadlinami lawa płonęła światłem jasnym jak w dzień.

Rzeka płynnej skały płynęła, wijąc się między cieniami rozpadlin, oświetlając drewniane belki na suficie.

Mysz wykonał krok do przodu i poruszył ustami.

Tyż i Sebastian przymknęli oczy.

- Czyż to nie jest coś...

- ...na co warto popatrzeć?

Mysz pobiegł dookoła piaskowej sadzawki i oparł się o szkło, z dłońmi przy twarzy. Odwrócił głowę przez ramię i uśmiechnął się.

- To jak tkwić w samym środku Piekła na Trytonie!

Stworzenie siedzące na ramieniu Sebastiana zsunęło się, machnęło skrzydłami i opadło na podłogę, po czym skryło się za swoim panem; na środku Złota coś eksplodowało. Opadający ogień rzucił światło na ich twarze.

- Jakiego trunku z tego świata chcecie najpierw skosztować? - spytał Lorq bliźniaków, przyglądających się butelkom na platformie.

- Tego w czerwonej butelce...

- ...ten zielony nieźle wygląda...

- ...ale nie tak dobrze jak ten, który pijaliśmy na Tubmanie...

- ...na pewno. Na Tubmanie mają coś, co nazywa się rozkosz...

- ...kapitanie, wiesz, co to jest rozkosz?

- Tylko nie rozkosz - Lorq uniósł butelki, po jednej w każdej dłoni. - Czerwony czy zielony? Oba są dobre.

- Chyba skuszę się na trochę...

- ...ja też. Ale czy on nie ma...

- ...pewnie nie. Więc wezmę...

- ...czerwony...

- ...zielony.

- Po jednym z każdego. Chodźcie.

Tyż dotknęła ramienia Sebastiana.

- O co chodzi? - zmarszczył brwi.

Wskazała w stronę ściany; jedna z półek odplynęła od długiego obrazu.

- Widok z Thule na Zatechły Wąwóz! - Sebastian chwycił Leo za ramię. - Patrz! To dom jest!

Rybak podniósł wzrok.

- Przez tylne okno domu, gdzie się wychowałem, jak wyjrzysz - powiedział Sebastian - właśnie to zobaczysz.

- Hej - Mysz postukał Katina w ramię.

Katin oderwał się od rzeźby, której się przyglądał, i spojrzał w ciemną twarz Myszy.

- Co?

- Ten stółek. Pamiętasz te przedmioty z Republiki Wegańskiej, o których rozmawialiśmy na statku?

- Tak.

- Czy ten stółek jest stamtąd?

- Katin uśmiechnął się.

- Nie. Wszystko tutaj jest wzorowane na stylistyce z czasów sprzed lotów kosmicznych. Całe pomieszczenie wypełniają dość wierne repliki przedmiotów z jakiegoś eleganckiego amerykańskiego domu z dwudziestego pierwszego albo dwudziestego drugiego stulecia.

Mysz skinął głową.

- Ach, tak.

- Bogaci zawsze fascynują się przeszłością.

- Nigdy nie byłem w takim miejscu - Mysz rozejrzył się po pomieszczeniu. - Niezłe, nie?

- Owszem. Niezłe.

- Zapraszamy po napitki! - zawołał Lorq stojący przy platformie.

- Mysz! A może zagrasz na fletni teraz? - Leo wziął dwa kubki i wcisnął jeden w dłoń Myszy, a drugi - Katinowi. - Zagraj. Niedługo do lodowego portu odejdę. Mysz, dla mnie zagraj.

- Zagraj coś, do czego można by zatańczyć...
- ...zatańczcie z nami, Työ, Sebastianie...
- ...Sebastianie, zatańczysz z nami?

Mysz zaczął grzebać w sakwie.

Leo podszedł do platformy i wziął kubek dla siebie, wrócił i usiadł na stołku. Złoto tłumilo obrazy z fletni. Muzykę zdobiły ostre, uporczywe tony ćwierćnut. Pachniało balem.

Na podłodze Mysz oparł korpus fletni o poczerniałą i zrogowaciałą stopę, wystukał rytm palcem w bucie i dał czadu. Jego palce fruwały. Światło bijące od Złota, z opraw pod sufitem, z fletni Myszy, smagało twarz kapitana do szaleństwa. Dwadzieścia minut później rzekł:

- Mysz, zamierzam wypożyczyć cię na chwilę.

Mysz przestał grać.

- Czego chcesz, kapitanie?
- Towarzystwa. Wychodzę.

Tańczący spoważnieli.

Lorq obrócił pokrętko na platformie.

- Nagrałem to rejestratorem czuciowym.

Muzyka znów rozbrzmiała. Widmowe wizje należącej do Myszy fletni znów zaczęły brykać, wraz z obrazami roztańczonej Työ, Sebastiana i bliźniaków, dźwiękiem ich śmiechu...

- Dokąd idziemy, kapitanie? - spytał Mysz. Odłożył fletnię na skrzynię.

- Tak się zastanawiałem... czegoś nam tu brakuje. Potrzebujemy trochę rozkoszy.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz...

- ...skąd to zdobyć?

- Plejady to mój dom - odparł kapitan. - Nie będzie nas może przez godzinę. Chodź, Mysz.

- Hej, Mysz, zostawiasz...

- ...tu z nami swoją fletnię?

- Nic jej nie będzie. Nie pozwolimy...

- ...żeby jej się coś stało.

Mysz ściągnął usta i patrzył to na bliźniaków, to na instrument.

- Dobrze. Możecie na niej pograć. Ale uważajcie, dobrze?
Podszedł do Lorqa, który czekał przy drzwiach.

Leo dołączył do nich.

- Odejść muszę.

Gdzieś we wnętrzu Myszy narodziło się zdziwienie, jak rana spowodowana czymś nieuniknionym. Zamrugał.

- Dziękuję, kapitanie, za lot.

Pomaszerowali korytarzem, a potem przez ogród Taafite. Za bramą zatrzymali się przy dymiącym wylocie kanalizacji.

- Do lodowego portu tędy - Lorq wskazał na ulicę wiodącą w dół. - Kolejką do ostatniej stacji pojedź.

Leo skinął głową. Wzrok jego błękitnych oczu napotkał brązowe oczy Myszy i na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

- Cóż, Mysz. Może zobaczymy się jeszcze pewnego dnia, co?

- Tak - odparł Mysz. - Może.

Leo obrócił się i ruszył spowitą parą ulicą. Obcasy jego butów stukały.

- Hej... - zawołał Mysz po chwili.

Leo obejrzał się.

- Ashton Clark.

Leo uśmiechnął się, po czym ruszył znów.

- Wiesz - zwrócił się Mysz do Lorqa - pewnie już nigdy w życiu go nie zobaczę. Chodźmy, kapitanie.

- Czy jesteśmy teraz niedaleko lądowiska? - spytał Mysz. Schodzili po zatłoczonych stopniach kolejki jednoszynowej.

- Można tam dojść pieszo. Od Taafite dzieli nas jakieś pięć mil wzdłuż biegu Złota.

Polewaczki musiały niedawno przejeżdżać. Przechodnie odbijali się w mokrej nawierzchni. Kilku młodych ludzi - dwóch chłopców miało dzwoneczki na szyi - przebiegło ze śmiechem obok starego człowieka. Obrócił się, szedł za nimi, pokonując kilka kroków, z wyciągniętą ręką. Po czym znów się odwrócił w stronę Myszy i Lorqa.

- Staremu człowiekowi pomożecie? Jutro, jutro pracę znajdę, wepnę się gdzieś. Ale dziś...

Mysz spojrział na żebraka, ale Lorq maszerował dalej.

- Co tu jest? - Mysz wskazał na wysoki, oświetlony pasaż. Ludzie tłoczyli się przy drzwiach na lśniącej ulicy.

- Tu nie dają rozkoszy.

Minęli róg.

Po drugiej stronie ulicy kilka par zatrzymało się przy ogrodzeniu. Lorq przeszedł na drugą stronę.

- Tu jest drugi koniec Złota.

Poniżej poszarpanego zbocza w ciemności widać się jaskrawa skała. Jakaś para odwróciła się, trzymając się za ręce, z rozświetlonymi twarzami.

Chodnikiem szedł mężczyzna w kamizelce z lamy; jego włosy, ręce i ramiona lśniły. Na szyi miał zawieszoną tacę z klejnotami. Para zatrzymała go. Kobieta kupiła od sprzedawcy klejnot i ze śmiechem umieściła go na czole partnera. Wyszywane cekinami wstęgi widać się od centralnego skupiska klejnotów i splatały z jego długimi włosami. Zaśmiali się, idąc po mokrej ulicy.

Lorq i Mysz dotarli do końca ogrodzenia. Kilku umundurowanych żołnierzy patrolu Plejad kroczyło po kamiennych stopniach. Trzy dziewczyny przebiegły obok nich z krzykiem. Przegoniło ich pięciu chłopców i krzyk przeszedł w śmiech. Mysz obejrzał się i zobaczył, że tłoczą się wokół sprzedawcy klejnotów.

Lorq ruszył w dół po stopniach.

- Co tam jest? - Mysz pospieszył za nim.

Obok szerokich stopni ludzie siedzieli przy stolikach kafejek wykutych w kamiennej ścianie.

- Wygląda na to, że wiesz, dokąd idziesz, kapitanie. - Mysz dotknął łokcia Lorqa. - *Kto to jest?* - Obejrzał się za jednym z przechodniów. Pośród tłumu lekko ubranych ludzi maszerowała kobieta w ciężkiej parce obszytej futrem.

- To jedna z lodowych rybaczek - wyjaśnił kapitan. - Leo niedługo też będzie się tak ubierał. Spędzają większość czasu w dala od ogrzewanych części Miasta.

- Dokąd idziemy?

- Chyba to było gdzieś tam - skręcili wzdłuż ciemnej półki

skalnej. W skale wycięto kilka okien. Spod zasłon sączyło się błękitne światło. - Te miejsca zmieniają właścicieli co kilka miesięcy, a ja nie byłem w Mieście od pięciu lat. Jeśli nie znajdziemy miejsca, którego szukam, znajdzie się coś innego.

- O jakim miejscu mówisz?

Jakaś kobieta pisnęła. Drzwi stanęły otworem. Wybiegła, ślaniając się na nogach. Z ciemności wyłoniła się jakaś ręka, chwyciła ją, uderzyła dwa razy i szarpnęła do środka. Rozległ się kolejny pisk i drzwi zamknęły się z trzaskiem. Stary człowiek - sądząc po futrze, kolejny lodowy rybak - podtrzymał młodszego.

- Do domu cię zabierzemy. Trzymaj wysoko głowę. Wszystko dobrze będzie. Do domu cię zabierzemy.

Mysz patrzył, jak mijają ich niepewnym krokiem. Jakaś para zatrzymała się koło kamiennej klatki schodowej. Kobieta potrząsnęła głową. W końcu on skinął głową i ruszyli z powrotem.

- Miejsce, o którym między innymi myślę, było kiedyś używane do prowadzenia kwitnącej działalności: werbowania ludzi do pracy w kopaniach Zewnętrznych Kolonii i pobierania prowizji od każdego rekruta. Proceder był całkowicie legalny; w końcu we wszechświecie jest wielu głupich ludzi. Byłem kiedyś sztygarem w jednej z tych kopalń i znam to od drugiej strony. To nie wygląda dobrze - Lorq spojrzął na drzwi. - Inna nazwa, to samo miejsce.

Ruszył w dół po schodach. Mysz obejrzał się szybko za siebie i podążył za nim. Weszli do długiego pomieszczenia; pod jedną ze ścian był bar z bali. Kilka wielobarwnych paneli nadawało mu nieco koloru.

- I ci sami ludzie.

Podszedł do nich mężczyzna starszy od Myszy, młodszy od Lorqa, o spletanych włosach i brudnych paznokciach.

- Co mogę wam podać, chłopcy?

- Masz coś, co poprawi nam nastrój?

Przymknął jedno oko.

- Usiąźcie.

Ciemne postaci przemknęły i zatrzymały się przy barze.

Lorq i Myszy usiedli w łoży. Mężczyzna przyniósł krzesło, odwrócił je i usiadł na nim okrakiem u szczytu stołu.

- Jak bardzo chcecie sobie poprawić nastrój?

Lorq położył dłonie na stole wnętrzami do góry.

- Na dole mamy - mężczyzna zerknął w stronę drzwi, gdzie ludzie wchodzili i wychodzili - ...ścieżkołaznię...?

- Co to jest? - spytał Mysz.

- Miejsce o kryształowych ścianach, które odbijają kolory twoich myśli - wyjaśnił Lorq. - Zostawiasz ubrania przy drzwiach i unosisz się między kolumnami światła na falach gliceryny. Podgrzewają ją do temperatury ciała, wyłączają wszystkie twoje zmysły. Po chwili, gdy zostaniesz pozbawiony kontaktu z rzeczywistością zmysłów, zaczynasz wariować. Twoje własne fantazje zapewniają ci program rozrywkowy. - Spojrzał na mężczyznę. - Potrzebujemy czegoś, co moglibyśmy zabrać ze sobą.

Za wąskimi wargami mężczyzny pojawiły się ostre zęby.

Na scenie po drugiej stronie baru naga dziewczyna wkroczyła w krąg koralowego światła i zaczęła nucić pieśń. Siedzący przy barze klaskali do rytmu.

Mężczyzna patrzył to na Mysz, to na Lorq.

Lorq złożył dłonie.

- Rozkosz.

Brwi mężczyzny powędrowały w górę pod zmierzwionymi włosami opadającymi na czoło.

- Tak właśnie myślałem - sam także złożył ręce. - Rozkosz.

Mysz spojrzał na dziewczynę. Miała nienaturalnie lśniąca skórę. Gliceryna, pomyślał Mysz. Tak, gliceryna. Oparł się o kamienną ścianę i szybko się odsunął. Po zimnej skale spływały krople wody. Mysz potarł ramię i spojrzał znów na kapitana.

- Poczekamy.

Mężczyzna skinął głową. Po chwili zwrócił się do Myszy:

- Z czego żyjecie, ty i ten przystojniak?

- Służymy na... frachtowcu.

Kapitan skinął lekko głową, tylko tyle, by dać do zrozumienia, że się zgadza.

- Wiecie, że w Koloniach Zewnętrznych czeka dobra praca.

Nie zastanawialiście się nigdy nad tym, czy nie zaciągnąć się do jakiejś kopalni?

- Pracowałem w tych kopalniach przez trzy lata - odparł Lorq.

- Och - mężczyzna umilkł.

- Zamierzasz posłać po rozkosz? - spytał po chwili Lorq.

- Już to zrobiłem - na ustach mężczyzny wykwitł niewyraźny uśmiešek.

Dziewczyna skończyła pieśń, a rytmiczne klaskanie przy barze przeszło w aplauz. Zeskoczyła ze sceny i pobiegła w ich kierunku. Mysz zobaczył, że szybko wzięła coś od jednego z mężczyzn przy barze. Otoczyła ramieniem mężczyznę siedzącego z nimi. Spletli dłonie, a potem dziewczyna pobiegła w cień; Mysz dostrzegł, że dłoń mężczyzny opada na stół, a pod kostkami dłoni coś się skrywa. Lorq położył rękę na dłoni mężczyzny, całkowicie ją nakrywając.

- Trzy funty @sg - rzekł mężczyzna.

Lorq położył na stole trzy banknoty drugą ręką.

Mężczyzna odsunął dłoń i sięgnął po banknoty.

- Chodź, Mysz. Dostaliśmy to, czego chcieliśmy.

Lorq wstał od stołu i ruszył w stronę drzwi.

Mysz podreptał za nim.

- Hej, kapitanie, ten człowiek wcale nie mówił tak, jak się mówi na Plejadach.

- W takich miejscach zawsze mówią twoim językiem, bez względu na to, jaki to język. Właśnie tak zdobywa się klienta.

Gdy dotarli do drzwi, mężczyzna nieoczekiwanie ich zatrzymał. Skinął na Lorq.

- Chciałem tylko przypomnieć, że zawsze możecie tu wrócić, kiedy będziecie chcieli jeszcze. Do zobaczenia, przystojniaku.

- Żegnaj, brzydalu - Lorq pchnął drzwi. Noc była chłodna. Zatrzymał się u góry schodów, pochylił głowę nad złożonymi dłońmi i odetchnął głęboko. - Pociągnij sobie.

- Co mam zrobić?

- Weź głęboki oddech, wstrzymaj na chwilę powietrze, potem wypuść.

Mysz pochylił się; cień, który padł na ziemię nie należał do niego. Mysz podskoczył.

- Dobrze. Jak tam?

Mysz spojrział w górę na żołnierza patrolu, a Lorq popatrzył na niego z góry.

Lorq zmrużył oczy i otworzył dłonie.

Żołnierz uznał, że zignoruje Mysz i przyjrzy się Lorqowi.

- Och - nasunął dolną wargę na górne zęby. - To coś niebezpiecznego mogło być. Coś nielegalnego, prawda?

Lorq pokiwał głową.

- Mogło być.

- Te wszystkie miejsca dookoła, uważać trzeba.

Lorq ponownie skinął głową.

Tak samo żołnierz.

- A może by tak prawo nagiąć trochę, pozwolicie?

Mysz zobaczył na twarzy kapitana cień uśmiechu; nie całkiem pozwolił mu objawić się na twarzy. Lorq uniósł dłonie w stronę żołnierza.

- Proszę.

Żołnierz pochylił się, wciągnął powietrze, wstał.

- Dzięki - i odszedł w ciemność.

Mysz śledził go wzrokiem, potrząsnął głową, wzruszył ramionami i przywołał na twarz cyniczny grymas.

Otoczył dłonie Lorqa swoimi, pochylił się, opróżnił płuca, po czym znów nappełnił je powietrzem. Wstrzymał oddech prawie na minutę, po czym wybuchnął:

- A *teraz* co ma się stać?

- Nie martw się - odparł Lorq. - To już.

Ruszyli wzdłuż półki skalnej, mijając błękitne okna.

Mysz spojrział na rzekę z rozświetlonej skały.

- Wiesz - odezwał się po chwili - szkoda, że nie mam ze sobą fletni. Chciałbym zagrać.

Zbliżali się do stopni, przy których znajdowały się otwarte kafejki, oświetlone jasnym światłem. W powietrzu brzęczała wzmocniona muzyka. Ktoś przy stole upuścił szklankę: rozbiła się na kamieniu, a dźwięk rozmył się w morzu oklasków. Mysz spojrział na swoje ręce.

- Palce od tego swędzą.

Ruszyli w górę po schodach.

- Kiedy byłem mały i mieszkałem na Ziemi, w Atenach, była tam podobna ulica. Odós Mnisicléous - biegła przez całą Plakę. Pracowałem trochę na Place, wiesz? *Złote Więzienie, O kai H.* A gdy się idzie schodami z Adrianou, w górze widać tylny ganek Erechtejonu, w świetle reflektorów, nad ścianą Akropolu na szczycie wzgórze. A ludzie przy stołach na chodnikach rozbijają talerze, rozumiesz, i się śmieją. Byłeś kiedyś na Place w Atenach, kapitanie?

- Raz, dawno temu - odparł Lorq. - Kiedy byłem w twoim wieku. I tylko przez jeden wieczór.

- W takim razie nie wiesz, jak wygląda okolica. W jeden wieczór nie mogłeś się dowiedzieć - szorstki szept Myszy nabierał pędu. - Idziesz ulicą po kamiennych stopniach, aż miniesz wszystkie kluby nocne i zostanie tylko kurz, trawa i żwir, ale idziesz dalej, a ruiny sterczą nad ścianą. Dochodzisz do miejsca zwanego Anafiotika. To znaczy „Małe Anafi”, rozumiesz? Anafi była wyspą, której większość została zniszczona przez trzęsienie ziemi, dawno, dawno temu. I są tam malutkie, kamienne domy, na zboczu góry, i uliczki szerokie na osiemnaście cali, ze schodami, więc idzie się jak po drabinie. Znałem faceta, który miał tam dom. A kiedy skończyłem pracę, zapraszałem dziewczyny. I było wino. Nawet kiedy byłem jeszcze bardzo młody, znajdowałem jakieś dziewczyny. - Mysz pstryknął palcami. - Na dach wchodziło się po zardzewiałych metalowych schodach koło drzwi, żeby przepędzić koty. A potem bawiliśmy się, piliśmy wino i patrzyliśmy na miasto, które rozpościerało się u stóp góry jak dywan ze świateł, a potem na mały klasztor sterczący na górze jak drzazga z kości. Kiedyś graliśmy za głośno i starsza pani z domu powyżej rzuciła w nas dzbankiem. Zaśmialiśmy się tylko, zaczęliśmy do niej wołać i zaprosiliśmy ją do nas na szklanke wina. A niebo już wtedy szarzało nad klasztorem. Podobało mi się to, kapitanie. To też mi się podoba. Potrafię grać o wiele lepiej niż wtedy. Dlatego właśnie dużo gram. Chcę wygrać rzeczy, które widzę wokół siebie. Tylko że wokół mnie jest tak dużo rzeczy, które ja widzę, a ty nie. I to też muszę zagrać. To, że nie możesz czegoś dotknąć, nie oznacza, że nie możesz tego

powąchać, zobaczyć czy usłyszeć. Na jednym ze światów chodzę w jedną stronę, a na drugim w inną, i podoba mi się to, co na nich widzę. Znasz to uczucie, krzywizna twojej dłoni w dłoni kogoś najważniejszego dla ciebie? To jak zamknięte w sobie spirale galaktyk. Znasz krzywiznę twojej dłoni, kiedy ta druga dłoń zniknie i próbujesz sobie przypomnieć, jakie to uczucie? Nie ma drugiej takiej krzywizny. Chcę je wszystkie zagrać, jedna przeciwko drugiej. Katin mówi, że się boję. Pewnie, że tak, kapitanie. Wszystkiego, co mnie otacza. Więc wszystko, co widzę, przyciskam do gałek ocznych, wtykam do tego palce i język. Podoba mi się to, co stało się dziś: lubię żyć w strachu. Bo dziś mnie przeraża. Ale przynajmniej nie boję się bać. Katin pomieszał wszystko z przeszłością. Pewnie, przeszłość sprawia, że to, co jest terazniejszością, staje się przyszłością. Kapitanie, obok nas roztrzaskuje się rzeka. Ale możemy się napić tylko z jednego miejsca, które nazywa się „dziś”. Gram na fletni, rozumiesz, i to jest takie zaproszenie dla wszystkich, żeby przyszli i napili się. Kiedy gram, chcę, żeby wszyscy klaskali. Bo kiedy gram, jestem tam, w górze, z tancerzami na linie, balansującymi na lśniącej krawędzi szaleństwa, gdzie nadal pracuje mój umysł. Tańczę na ogniu. Kiedy gram, prowadzę wszystkich tancerzy, gdzie ty i ty - Mysz wskazał palcem na przechodzących ludzi - i on, i ona, nie mogą się dostać bez mojej pomocy. Kapitanie, z tamtych trzech lat, kiedy miałem piętnaście lat i mieszkalem w Atenach, pamiętam jeden poranek na tym dachu. Opierałem się o kratę, po której pięła się winorośl, lśniące liście muskały mi policzek, a światła miasta gasły, gdy nadszedł świt, i tańce ustały, a dwie dziewczyny rozkładały czerwony koc pod metalowym stołem. I nagle zadałem sobie pytanie: „Co ja tutaj robię?”. I potem znów: „Co ja tutaj robię?”. I zdanie to stało się melodią w mojej głowie, graną w kółko. Bałem się, kapitanie. Byłem podekscytowany, szczęśliwy, i śmiertelnie przerażony, i założyłem się, że byłem uśmiechnięty tak szeroko, jak teraz. Tak właśnie działałem, kapitanie. Nie mam głosu, bym mógł śpiewać czy krzyknąć. Ale mogę grać na mojej fletni, prawda? A co teraz robię, kapitanie? Wspinam się po innej ulicy kamiennych

schodków, wiele światów dalej, wtedy świt, teraz noc, szczęśliwy i diabelsko przerażony. Co ja tutaj robię? Taaak! Co ja tutaj robię...?

- Rapujesz, Mysz - Lorq puścił słup u góry schodów. - Wracajmy do Taafite.

- Och, tak, jasne, kapitanie - Mysz nagle spojrzął na poranioną twarz. Kapitan odwzajemnił spojrzenie. Pomiedzy głębokimi zmarszczkami i światełkami Mysz dostrzegł humor i współczucie. Zaśmiał się. - Szkoda, że nie mam przy sobie fletni. Wygrałbym ci oczy z głowy. Wykręciłbym ci nos na lewą stronę i byłbyś dwa razy brzydszy niż teraz, kapitanie! - Spojrzął na drugą stronę ulicy: na kiedyś mokry chodnik, ludzi i światła, i odbicia, rozmyte w kalejdoskopie łez. - Szkoda, że nie mam przy sobie fletni - wyszeptał znów Mysz. - Gdybym ją miał... teraz.

Ruszyli z powrotem w stronę stacji kolejki.

- Jedzenie, spanie, bieżące wynagrodzenia: jak wyjaśnilibyście współczesne koncepcje tych trzech rzeczy komuś, powiedzmy, z dwudziestego trzeciego wieku?

Katin siedział nieco na uboczu, prawie wśród uczestników zabawy, śmiejących się na brzegu Złota. Od czasu do czasu pochylał się nad rejestratorem.

- Sposób naszego postępowania w przypadku tych procesów całkowicie wykraczałby poza możliwość zrozumienia kogoś, kto żył siedemset lat temu, nawet gdyby rozumiał koncepcję odżywiania dożylnego i koncentratów żywnościowych. Nadal nie miałby aparatu poznawczego pozwalającego zrozumieć, jak wszyscy członkowie społeczeństwa, z wyjątkiem tych naprawdę bogatych albo naprawdę biednych, przyjmują codzienną porcję pożywienia. Część tego procesu wydawałaby się całkowicie niezrozumiała - a pozostała część obrzydliwa. Aż dziw, że picie wygląda nadal tak samo. W tym samym czasie, w którym zaszły wszystkie te zmiany - chwała Ashtonowi Clarkowi - powieść zasadniczo umarła. Zastanawiam się, czy jest tu jakiś związek. Ponieważ wybrałem tę archaiczną formę sztuki, czy

powiniennem kierować ją do odbiorców, którzy przeczytają ją jutro, czy też takich, którzy żyją przeszłością? Przeszłość czy przyszłość, jeśli wyeliminuję te elementy z narracji, może to nadać mej pracy większą dynamikę.

Rejestrator czuciowy był włączony i miał nagrywać wrażenia pierwotne oraz wtórne, więc w pomieszczeniu było pełno tancerzy i duchów tancerzy. Idas wygrywał kontrapunkty dźwięków i obrazów na fletni Myszy. Rozmowy, prawdziwe i zarejestrowane, wypełniały pokój.

- Poprzez tych wszystkich tańczących dookoła mnie, uprawiam mą sztukę dla mitologicznej publiczności złożonej z jednej osoby. W jakich innych okolicznościach mogę mieć nadzieję na komunikację?

Tyż wyszła spomiędzy Tyż i Sebastiana.

- Katinie, miga sygnalizator drzwi.

Katin wyłączył rejestrator.

- Pewnie Mysz i kapitan wrócili. Nie przejmuj się, Tyż, wpuszczę ich.

Wyszedł z pokoju i popędził wzdłuż holu.

- Hej, kapitanie - Katin otworzył drzwi - zabawa trwa... - puścił gałkę. Poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła; równie dobrze mogłoby stanąć. Cofnął się od drzwi.

- Przypuszczam, że rozpoznasz mnie i moją siostrę...? W takim razie nie będę się kłopotał przedstawianiem. Czy możemy wejść?

Usta Katina zaczęły układać się w jakieś słowo.

- Wiemy, że go tu nie ma. Poczekamy.

Stalowa brama, ozdobiona kawałkami szkła, zamknęła się nad tumanem pary. Lorq spojrział na sylwetki roślin rysujące się na tle bursztynowej bryły Taafite.

- Mam nadzieję, że zabawa nadal trwa - rzekł Mysz. - Głupio byłoby przejść całą tę drogę i zwinąć się w kąciku do snu!

- Rozkosz ich obudzi - Lorq wspinał się na kamienne stopnie; wyjął dłonie z kieszeni. Lekki wiatr przemknął przez klapy jego marynarki, schłodził przestrzenie między palcami. Kapitan

położył dłoń na płycie drzwiowej. Drzwi stanęły otworem. Lorq wszedł do środka.

- Sądząc z odgłosów, jeszcze nie zasnęli.

Mysz uśmiechnął się i susami ruszył w stronę salonu. Zabawa była nagrywana, a potem odtwarzana i nagrywana wielokrotnie. Splatające się melodie młóciły liczne Tyj tańczące w różnych rytmach. Bliźnięta stały się dwunastoraczkami. Sebastian, Sebastian i Sebastian, na różnych etapach upicia, nalewał czerwone, zielone i błękitne drinki.

Lorq kroczył za Myszą.

- Lynkeosie, Idasie! Mamy waszą... nie potrafię powiedzieć, kto jest kim. Uciszcie się na chwilę!

Uderzył w wyłącznik ścienny rejestratora.

Bliźniacy unieśli wzrok znad brzegu piaskowego basenu; białe ręce rozwarły się, czarne połączyły.

Tyj siedziała u stóp Sebastiana, obejmując dłońmi kolana. Szare oczy błyszczały pod mrugającymi powiekami.

U Katina jabłko Adama podskakiwało na długiej szyi.

Prince i Ruby przerwali kontemplowanie Złota.

- Chyba popsuliśmy zabawę. Ruby proponowała, żeby nie zwracali na nas uwagi i kontynuowali, ale... - wzruszył ramionami. - Cieszę się, że mogliśmy się spotkać. Yorgy nie chciał mi powiedzieć, gdzie jesteście. To twój prawdziwy przyjaciel. Ale ja jestem jeszcze bardziej prawdziwym wrogiem - czarna winylowa kamizelka zwisała luźno na białej jak kość piersi. Czarne spodnie, czarne buty. Ramię: czarna rękawiczka obszyta białym futrem.

Dłoń wylądowała na mostku Lorqa, uderzyła go mocno, i jeszcze raz. W rękawicze była ręka.

- Zagroziłeś mi w sposób dość istotny, a zarazem ciekawy. Jak zamierzasz tego dokonać?

Strach Lorqa oplatała sieć wywyższenia.

Prince podszedł bliżej i skrzydło należącego do Sebastiana zwierzęcia omiotło mu łydkę.

- Proszę...

Prince spojrział w dół na stworzenie. Zatrzymał się przy

piaskowej sadzawce, pochylił się między bliźniętami, zanurzył swą sztuczną rękę w piasku i zwinął ją w pięść.

- Aaaaaah.

Jego oddech syczał nawet wtedy, gdy Prince otwierał usta. Stał się i rozwarł palce.

Ciemne szkło upadło na dywan, dymiąc. Idas gwałtownie cofnął stopę. Lynkeos tylko szybciej mrugał.

- Czy to jest odpowiedź na moje pytanie?

- Uznaj to za pokaz mojej miłości do siły i piękna. Rozumiesz?

- kopnął gorące kawałki szkła po dywanie. - Bach! Ma zbyt wiele zanieczyszczeń, by mogło konkurować z Murano. Przybyłem tu...

- Żeby mnie zabić?

- Żeby cię przekonać.

- Co cię tu sprowadziło, poza przekonaniem?

- Moja prawa ręka. Wiem, że nie masz żadnej broni. Ja ufam mojej własnej. Obaj gramy ze słuchu, Lorqu. Ashton Clark ustalił reguły.

- Prince, co ty próbujesz zrobić?

- Sprawić, żeby wszystko pozostało takie, jakie było.

- Bezruch to śmierć.

- Ale mniej niszcząca, niż twoje szalone posunięcia.

- Jestem piratem, nie pamiętasz?

- Szybko podążasz drogą do stania się największym przestępcą tysiąclecia.

- Zamierzasz powiedzieć mi coś, o czym nie wiem?

- Mam szczerą nadzieję, że nie. Dla dobra nas samych, znajdujących się tutaj, dla dobra otaczających nas światów... - Prince roześmiał się nagle. - Według każdego logicznego przedłużenia argumentu, Lorqu, słuszność leży po mojej stronie, dopóki trwa bitwa. Czy przyszło ci to do głowy?

Lorq zmrużył oczy.

- Wiem, że chcesz ilirionu - mówił dalej Prince. - Chcesz go tylko z jednego powodu: żeby naruszyć równowagę sił; gdyby tak nie było, nie przedstawiałby dla ciebie aż takiej wartości. Czy wiesz, co się stanie?

Lorq ściągnął wargi.

- Powiem ci: to zrujnuje gospodarkę Kolonii Zewnętrznych. Trzeba będzie przenieść całą falę robotników. Przybędą ich całe tłumy. Imperium stanie na skraju wojny, tak blisko, jak za czasów stłumienia powstania na Wedze. Kiedy firma taka, jak Red Shift Limited w tej kulturze wpada w zastój, jest to równoznaczne zagładzie. Powinno to zlikwidować taką samą liczbę stanowisk pracy, dla tylu pracowników w Drako, co zniszczenie moich firm oznaczałoby dla Plejad. Czy to dla ciebie dobry początek przekonywania?

- Lorqu, jesteś niepoprawny!

- Czy odczuwasz ulgę wiedząc, że dokładnie to wszystko przemyślałem?

- Jestem zbulwersowany.

- A oto kolejny argument, którego możesz użyć, Prince: walczysz nie tylko o Drako, ale i o stabilność gospodarczą Kolonii Zewnętrznych. Jeśli wygram, jedna trzecia galaktyki posunie się do przodu, a dwie trzecie się cofną. Jeśli ty wygrasz, dwóm trzecim galaktyki uda się zachować obecny standard, a jedna trzecia się cofnie.

Prince skinął głową.

- Dobrze, a teraz zniszcz mnie swoją logiką.

- Muszę przetrwać.

Prince czekał. Zmarszczył brwi. Po chwili zmarszczenie zmieniło się w przesycony zdumieniem śmiech.

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

- Dlaczego miałbym ci tłumaczyć, że robotników można przenieść mimo trudności? Że nie będzie wojny, bo jest dość planet i dość pożywienia - jeśli tylko zadbamy o właściwą dystrybucję, Prince? A zwiększenie ilości ilirionu spowoduje powstanie wystarczającej liczby nowych inicjatyw, które wchłoną tych ludzi?

Brwi Prince'a powędrowały w górę.

- Aż tyle ilirionu?

Lorq pokiwał głową.

- Aż tyle.

Przy wielkim oknie Ruby zbierała brzydkie grudki szkła. Przyjrzała im się, jakby nie zdawała sobie sprawy z ich

rozmowy. Gdy jednak Prince wyciągnął rękę, natychmiast wręczyła mu szkło. Uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

- Zastanawiam się - rzekł Prince, przyglądając się kawałkom szkła - czy to zadziała. - Zaciśnął palec. - Czy nadal upierasz się, by ponownie wzniecać tę waśń między nami?

- Jesteś głupcem, Prince. Siły, które podsycają tę dawną wrogość, działały już wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Po cóż udawać, że te parametry wyznaczają nasze pole?

Pięść Prince'a zaczęła dygotać. Otworzył zaciśniętą dłoń. Jasne kryształy rozjaśniało wewnętrzne błękitne światło.

- Kwarc heptodynowy. Słyszałeś o nim? Niewielki nacisk na zanieczyszczone szkło często powoduje... powiedziałem, „niewielki”. Z geologicznego punktu widzenia to określenie względne.

- Znowu mi grozisz. Odejdź. Natychmiast. W przeciwnym razie będziesz musiał mnie zabić.

- Nie chcesz, żebym odszedł. Próbujemy toczyć tu walkę jeden na jeden, która rozstrzygnie, jak zostaną przyporządkowane poszczególne planety - Prince zważył kryształy na dłoni. - Mógłbym przeciągnąć któryś z nich dokładnie przez twoją czaszkę - obrócił dłoń; odłamki upadły na podłogę. - Nie jestem głupcem, Lorqu. Jestem żonglerem. Chcę, żeby wszystkie nasze planety nadal wirowały wokół mojej głowy - skłonił się i cofnął o krok. Jego stopa znów musnęła bestię.

Ulubieniec Sebastiana szarpnął się na łańcuchu. Błony rozdarty powietrze; zwierzę szarpało ramię swego pana...

- Spokój! Spokój, mówię...!

Łańcuch wyskoczył z dłoni Sebastiana. Zwierzę wzbilo się w górę, przeleciało tam i z powrotem pod sufitem. A potem zanurkowało w stronę Rubi.

Osloniła głowę ramionami. Prince skoczył w jej stronę, uskoczył przed skrzydłami. Jego odziana w rękawiczkę dłoń uderzyła.

Zwierzę pisnęło i odskoczyło, waląc skrzydłami. Dłoń Prince'a znów wystrzeliła w stronę czarnego ciała. Zadygotało w powietrzu i upadło.

Tyż krzyknęła i podbiegła do bestii, która machała niemrawo

skrzydłami, leżąc na plecach, i odciągnęła ją. Sebastian wstał ze stołka z zaciśniętymi pięściami, po czym upadł na kolana i zajął się rannym zwierzęciem.

Prince odwrócił czarną dłoń. Na meszku widniały wilgotne krople krwi.

- To stworzenie zaatakowało cię na Esclaros, tak?

Ruby wstała, nadal milcząca, i odsunęła kosmyk ciemnych włosów z ramienia. Miała białą sukienkę, obszytą czernią na skraj, przy kołnierzu i na mankietach. Dotknęła aksamitnego stanika, na który spadły krople krwi.

Prince obrzucił wzrokiem piszczące stworzenie między Tyÿ a Sebastianem.

- W takim razie jesteśmy kwita, Ruby - potarł dłonie, tę z ciała i tę czarną, zakrwawioną, i skrzywił się na widok plam krwi na palcach. - Lorqu, zadałeś mi pytanie; kiedy zamierzam spełnić groźbę? Jakoś w ciągu najbliższych sześciu minut. Ale musimy podjąć decyzję o losach pewnej gwiazdy. Dotarty do nas plotki, o których wspomniałeś Ruby. Woal ochronny, jakim otacza się Wielka Biała Czarownica Północy, twoja ciotka Cyana, jest najskuteczniejszy. Z ciebie opadł w chwili, gdy opuściłeś jej biuro. Podśluchiwaliliśmy jednak przez różne dziurki od klucza, i dotarty do nas wiadomości o słońcu, które ma przekształcić się w Novą. To słońce, czy też podobne gwiazdy, najwyraźniej pozostawały przez jakiś czas w ośrodku twoich zainteresowań - oderwał wzrok błękitnych oczu od zakrwawionej dłoni. - Ilirion. Nie widzę związku. Nieważne. Ludzie Aarona nad tym pracują.

Lorq poczuł, jak w jego udach i w krzyżu napięcie narasta jak ból.

- Przygotowujesz się do czegoś. No, dalej. Zrób to.

- Muszę wymyślić jak. Chyba gołą ręką... nie - uniósł ciemne brwi. Zaciśnął czarną pięść. - Nie, tą. Szanuję twoją próbę usprawiedliwienia się przede mną. A jak masz zamiar usprawiedliwić się przed nimi? - wskazał załogę gestem zakrwawionych palców.

- Ashton Clark by cię poparł, Prince. Sprawiedliwość także. Nie jestem tu dlatego, że doprowadziłem do tej sytuacji. I tylko

próbuję ją rozwiązać. Muszę z tobą walczyć, bo wierzę, że mogę wygrać. To jedyny powód. Znalazłeś się w zastoju. Ja jestem w ruchu. Wszystko jest w ruchu. Nie ma w tym żadnej etyki - Lorq spojrzął na bliźnięta. - Lynkeosie? Idasie?

Czarna twarz spojrziała w górę, biała - w dół.

- Czy wiecie, jakie ryzyko wiąże się z tą rywalizacją?

Jeden spojrzął na niego, drugi odwrócił wzrok; pokiwali głowami.

- Czy chcecie opuścić pokład „Roca”?

- Nie, kapitanie, my...

- ...to znaczy, nawet gdyby to wszystko...

- ...te wszystkie zmiany, na Tubmanie...

- ...w Koloniach Zewnętrznych, może...

- ...może Tobiasz by w tej sytuacji odszedł...

- ...i dołączył do nas.

Lorq zaśmiał się.

- Sądzę, że Prince zabrałby was ze sobą, gdybyście chcieli.

- Wytarzanych w smole i pierzu - rzekł Prince. - Wypłonionych i odczernionych. Żyjesz w swoim własnym mieście. Szlag by cię trafił, Lorqu.

Ruby wykonała krok do przodu.

- Wy dwaj - zwróciła się do bliźnięt - czy wy naprawdę wiecie, co się stanie, jeśli pomożecie kapitanowi Von Rayowi, a jemu się uda?

- On może wygrać... - Lynkeos w końcu odwrócił wzrok; srebrne rzęsy zamigotały.

Idas przysunął się bliżej do brata, jakby chciał go osłonić.

- ...albo nie.

- Co mówią o naszej solidarności kulturowej? - spytał Lorq. - Świat jest inny, niż ci się wydawało, Prince.

Ruby odwróciła się nagle.

- A czy dowody sugerują, że należy do ciebie? - nie czekając na odpowiedź, odwróciła się w stronę Złota. - Spójrz na to, Lorqu.

- Patrząc. Co tam widzisz, Ruby?

- Ty - ty i Prince - chcecie kontrolować ten wewnętrzny płomień, który chroni świat przed nocą. Tu wydostał się ogień. Obdarzył ten świat, to miasto bliźną, tak jak Prince obdarzył

blizną ciebie.

- Skoro nosisz taką bliznę - rzekł wolno Prince (a Lorq poczuł, jak mu sztywnieje szczeka; mięśnie napięły się na skroniach i na czole) - to może jesteś kimś o wiele większym ode mnie.

- By ją nosić, muszę cię nienawidzić.

Prince uśmiechnął się.

Lorq dostrzegł, że Mysz cofa się w kierunku framugi, trzymając ręce za sobą. Wargi odsłoniły białe zęby; biel otaczała obie źrenice.

- Nienawiść to nawyk. Lorqu, nienawidziliśmy się nawzajem od tak dawna. Chyba powinienem to wreszcie zakończyć - Prince rozluźnił palce. - Czy pamiętasz, jak to się wszystko zaczęło?

- Na São Orini? Pamiętam, że byliście zepsuci i złośliwi, gdy wtedy...

- My? - brwi Prince'a uniosły się. - Złośliwi? A ty byłeś tak bezczelnie okrutny. I nigdy ci tego nie wybaczyłem.

- Nabijania się z twojej ręki?

- A nabijałeś się? Dziwne, nie pamiętam. A jak zapewne wiesz, tego rodzaju zniewag łatwo nie zapominam. Nie. Mówię o tej barbarzyńskiej imprezie w dżungli, na którą nas zabrałeś. Bestie; a tych w jamie nawet nie mogliśmy dostrzec. Oni wszyscy pochyleni nad krawędzią, spoceni, krzyczący, pijani... bestialscy. A Aaron był jednym z nich. Pamiętam go aż do dziś; czoło pokryte potem, zmierzwione włosy, twarz ściągnięta w makabrycznym okrzyku, potrząsanie pięścią - Prince zacisnął aksamitne palce. - Tak, jego pięść. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem ojca w takim stanie. Przeraziło mnie to. I od tego czasu widzieliśmy go takim wielokrotnie, prawda, Ruby? - spojrzał na siostrę. - Kiedy doszło do fuzji z De Targo, a on wyszedł z sali konferencyjnej... albo po skandalu z Anti-Flaminą siedem lat temu... Aaron to czarujący, dobrze wychowany i do szpiku kości zepsuty człowiek. A ty byłeś pierwszą osobą, która pokazała mi to całe zło wypisane na jego twarzy. Nigdy ci tego nie wybaczę, Lorqu. Ten cały twój plan, wszystko jedno, czym jest, z tym absurdalnym słońcem: muszę cię powstrzymać. Muszę powstrzymać szaleństwo Von Raya -

Prince wykonał krok do przodu. - Jeśli Federacja Plejad upadnie, gdy ty upadniesz, przetrwa tylko Drako...

Sebastian skoczył w jego stronę.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie i w równym stopniu wszystkich zaskoczyło.

Prince upadł na jedno kolano; jego ręka opadła na kwarcowe odłamki; rozjarzyły się błękitnym światłem. Gdy Sebastian go zaatakował, Prince cisnął w powietrze jeden z kawałków: *bzzzz*. Kwarc wbił się w owłosione ramię z cyborgową wszczepką. Sebastian zawył, zatoczył się do tyłu. Dłoń Prince'a przesunęła się po jaskrawych, strzaskanych kryształach.

Bzzzz. Bzzzz. Bzzzz i bzzzz.

Krew spływała z dwóch miejsc na brzuchu Sebastiana i z uda. Lynkeos skoczył z brzegu sadzawki.

- Hej, nie możesz...

- ...tak, może! - Idas chwycił brata; białe palce próbowały bezskutecznie wyszarpnąć czarny pręt z piersi. Sebastian upadł.

Bzzzz.

Tyż krzyknęła i przypadła do niego, chwytając jego zakrwawioną twarz, kołyszając się nad nim.

...bzzzz, bzzzz.

Wygiął się w łuk, sapiąc. Zamigotały rany na udzie i policzku, i dwie na piersi.

Prince wstał.

- A teraz cię zabiję! - przeszedł nad stopą Sebastiana; obcasy wszczepieńca żłobiły dywan. - Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

Coś uniosło się z głębin pod trzewiami Lorqą, zacumowane pośród wczorajszych dni. Rozkosz wyostrzyła i rozjaśniła mu świadomość. Coś zatrzęsło się w nim. Z hamaka jego miednicy przepęzło do brzucha, podparło jego pierś i wilo się szaleńczo, po czym eksplodowało z jego twarzy. Lorq zawył. W ostrej peryferyjnej świadomości sprowadzonej przez narkotyk dostrzegł fletnię Myszy tam, gdzie została, na scenie. Porwał ją...

- Nie, kapitanie!

...gdy Prince skoczył. Lorq zanurkował z instrumentem pod jego piersią. Obrócił pokrętko natężenia.

Krawędź dłoni Prince'a uderzyła o framugę tam, gdzie jeszcze przed chwilą opierał się Mysz. Drzazgi poleciały na cztery czy pięć stóp w górę.

- Kapitanie, to moja...!

Mysz skoczył, a Lorq uderzył go dłonią na płask. Mysz zatoczył się do tyłu i wpadł do piaskowej sadzawki.

Lorq uchylił się i przetoczył po podłodze, by stanąć na wprost drzwi. Uśmiechnięty Prince odsunął się.

I wtedy Lorq uderzył w przycisk strojenia.

Błysk.

Coś odbiło się od kamizelki Prince'a; promień był intensywny. Prince zasłonił oczy dłonią i zaczął potrząsać głową, mrugając.

Lorq znów uderzył w pokrętko do strojenia.

Prince zaczął trzeć oczy, cofnął się i zawył.

Palce Lorq'a tańczyły po strunach projekcji dźwięku. Choć wiązka była kierunkowa, echo przetoczyło się przez pokój; w huku utoneły krzyki. Lorq czuł, jak głowa dygocze mu od huku, uderzył jednak płytkę dźwiękową ponownie. A potem jeszcze raz. Prince cofał się z każdym ruchem dłoni Lorq'a. Potknął się na stopie Sebastiana, ale nie upadł. Znów ruch ręki. Lorq czuł ból głowy. Część jego umysłu, nadal z dala od wściekłości, rozmyślała: chyba już ma uszkodzone ucho środkowe... Po czym wściekłość wspięła się wyżej w jego mózgu. I nie było już ani jednej części wolnej od wściekłości.

I znów.

Prince młócił rękami dookoła głowy. Jego pozbawiona rękawiczki dłoń uderzyła w jedną z podwieszonych półek. Statuetka upadła.

Rozszalały Lorq trzasnął w płytkę wężową.

Ostry zapach spalił mu nozdrza, popędził pod samo sklepienie jamy nosowej, aż oczy zaczęły mu łzawić.

Prince krzyczał i zataczał się. Dłoń w rękawiczce uderzyła w szklaną płytkę. Ściana pękła od podłogi do sufitu.

Ledwo widząc, z piekącymi oczami, Lorq poszedł za nim.

Prince uderzył w szkło obiema rękami. Tafia eksplodowała.

Kawałki uderzyły o podłogę i o skałę.

- Nie! - krzyczała Ruby. Zakrywała twarz rękami.

Prince pobiegł na zewnątrz.

Żar uderzył Lorq'a w twarz, ale postanowił biec za Prince'em.

Prince niepewnym krokiem brnął w stronę rozświetlonego Złota. Lorq pełził po nierównym zboczu.

I uderzył.

Światło trzasnęło Prince'a jak biczem. Musiał częściowo odzyskać wzrok, gdyż znów uniósł ręce do oczu. Upadł na jedno kolano.

Lorq zachwiał się. Skaleczył ramię na gorącej skale. Był mokry od potu, który spływał mu po czole, zatrzymywał się na brwiach, sączył po bliźnie. Przeszedł sześć kroków. Z każdym z nich tworzył światło jaśniejsze niż światło słońca w południe, dźwięk głośniejszy niż ryk lawy, zapach bardziej intensywny niż opary siarki drapał go w gardle. Jego wściekłość była bardziej rzeczywista i czerwiejsza niż Złoto.

- Szkodnik...! Diabeł...! Śmieć...!

Prince upadł w tej sekundzie, w której Lorq do niego dotarł. Nieosłonięta dłoń uderzyła o rozparzoną skałę. Uniósł głowę. Na twarzy i rękach miał rany od spadających kawałków szkła. Otwierał i zamykał usta jak ryba. Jego niewidzące oczy mrugały, zamykały się i znów otwierały.

Lorq cofnął stopę, wziął zamach w stronę dyszącej twarzy.

Cios nie dotarł do celu.

Lorq wciągnął do płuc gorący gaz. Oczy paliły go ogniem. Obrócił się i opuścił ramiona wzdłuż boków. Grunt nagle się przechylił. Czarna skorupa rozwarła się i żar znów uderzył. Lorq zataczał się między jamistymi rozpadlinami. Światła Taafite dygotały za niewyraźną zasłoną. Potrząsnął głową. Jego myśli krążyły wokół płonącej klatki z kości. Kaszlał; dźwięk dochodził jako odległe buczenie. I upuścił fletnię...

...wynurzyła się między postrzępionymi krawędziami.

Chłodne powietrze dotknęło jego twarzy i wsączyło się w jego płuca. Lorq wyprostował się. Patrzyła na niego. Wargi Ruby drżały, ale nie wydobywało się z nich ani jedno słowo. Lorq ruszył w jej stronę.

Podniosła rękę (pomyślał, że chce go uderzyć. Ale nie dbał o to), by dotknąć jego pobrużdżonej szyi.

Jej gardło dygotało.

Lorq patrzył na jej twarz, jej włosy, owinięte wokół srebrnego grzebienia. W blasku Złota jej skóra miała barwę aksamitnego jądra orzecha. Jej oczy podkreślone czarną kredką wyglądały na szerokie nad wystającymi kośćmi policzkowymi. Jej wielkość tkwiła jednak w nieznacznym pochyleniu podbródka, wyrazie miedzianych ust, zastygłych między przerażającym uśmiechem a rezygnacją z powodu czegoś nieopisanie smutnego; w krzywiźnie jej palców na jego szyi.

Jej twarz wyłoniła się tuż przed jego twarzą. Ciepłe wargi dotknęły jego ust, stały się wilgotne. Na tylnej części ramienia czuł nadal ciepło jej palców, chłód jej pierścionka. Przesunęła rękę.

Gdzieś za nimi krzyczał Prince.

Ruby szarpnęła się z prychnięciem. Paznokcie przeorały mu ramię. Minęła go i pobiegła po skale.

Lorq nawet nie spojrział na nią. Wyczerpanie nie pozwoliło mu zwolnić rytmu. Szedł po kawałkach strzaskanego szkła. Obrzucił załogę niechętnym spojrzeniem.

- Chodźcie, do licha! Zbieramy się stąd!

Z płataniny ciał wynurzyły się mięśnie jak łańcuchy. Za luźnymi sznurowadłami kamizelek, z każdym oddechem rude włosy podskakiwały na lśniącym brzuchu.

- Uciekajcie!

- Kapitanie, co się stało z moją...

Lorq już ruszył do drzwi.

Mysz patrzył dziko to na kapitana, to na płonące Złoto. Przebiegł przez pokój, uchylił się przed potrząskanym szkłem.

Lorq, w ogrodzie, właśnie zamykał bramę, gdy Mysz przemknął między bliźniętami; fletnię trzymał pod jedną pachą, sakwę pod drugą.

- Wracamy na pokład „Roca” - oświadczył kapitan. - I uciekamy z tej planety!

Tyż niosła na ramieniu ranne zwierzę, a drugim podpierała Sebastiana. Katin próbował jej pomóc, ale Sebastian był za

niski, by Katin mógł naprawdę podtrzymać słabego, połyskującego wszczępięca. W końcu Katin zatknął dłonie za pasek.

Mgła wiła się w świetle ulicznych lamp, gdy popędzili po kamieniach przez Miasto Strasznej Nocy.

Federacja Plejad / Kolonie Zewnętrzne (przelot na pokładzie „Roca”), 3172

- Paż kielichów.
- Królowa kielichów.
- Rydwan. Moja lewa jest. Dziewiątka buław.
- Rycerz buław.
- As buław. Lewę dziadek wygrywa.

Start przebiegł sprawnie. Teraz Lorq i Idas sterowali statkiem, a reszta załogi zasiadła we wspólnej sali.

Katin siedział na rampie i patrzył, jak Tyÿ i Sebastian grają w jakąś dwuręczną karcianą grę.

- Parsifal - też pożałowania godny głupiec - opuściwszy Małe Arkana, musi przedzierać się przez dwadzieścia jeden pozostałych kart Wielkich Arkanów. Przedstawiono go na skraj klifu. Biały kot drapie go po spodniach. Nie można określić, czy on zamierza odlecieć, czy spaść. W dalszej części serii mamy jednak wskazówkę w karcie o nazwie Pustelnik: stary człowiek z laską i latarnią, na tym samym klifie, patrzy smutno ze skały...

- O czym ty mówisz, do licha? - spytał Mysz. Gładził dłonią bliznę na polerowanym drewnie różanym. - Nie mów mi. Te przekłete karty tarota...

- Mówię o poszukiwaniu, Mysz. Zaczynam przypuszczać, że moja powieść może być czymś w rodzaju powieści o poszukiwaniach - znów uniósł rejestrator. - Weźmy na przykład archetyp Graala. Dziwnie niepokoi mnie, że żaden z pisarzy, którzy zajmowali się legendą Graala w jej całej rozciągłości, nie pożył na tyle długo, by dokończyć dzieła. Malory, Tennyson i Wagner, odpowiedzialni za najbardziej popularne wersje,

zniekształcili pierwotny materiał do tego stopnia, że struktura mitologiczna ich wersji jest nierozpoznawalna lub bezużyteczna - może dlatego uniknęli klątwy. Tymczasem wszystkie prawdziwe opowieści o Graalu, jak dwunastowieczne *Conte del Graal* Chretien de Troyes, trzynastowieczny cykl o Graalu Roberta de Borona, *Parzival* Wolframa von Eschenbacha czy *Faerie Queene* Spensera z szesnastego wieku są niedokończone z powodu śmierci ich autorów. Pod koniec dziewiętnastego wieku Amerykanin, Richard Hovey, rozpoczął tworzenie cyklu jedenastu sztuk o Graalu i umarł zanim skończył część piątą. I podobnie, przyjaciel Lewisa Carrolla, pozostawił nie dokończone dzieło *Origins of the Legend of the Holy Grail*. Podobnie było z cyklem wierszy Charlesa Williamsa *Taliesin Through Logres*. Zaś stulecie później...

- Zamknij się wreszcie! Przysięgam, Katinie, gdybym zaliczył takie grzebanie w mózgu jak ty, tobym zwariował!

Katin westchnął i wyłączył rejestrator.

- Och, Mysz, ja bym zwariował, gdybym robił tak mało, jak ty.

Mysz schował instrument do sakwy, skrzyżował na nim ręce i oparł podbródek na wierzchach dłoni.

- Och, Mysz, daj spokój. Widzisz? Przestałem paplać. Nie bądź ponurakiem. Czemu jesteś taki drażliwy?

- Moja fletnia...

- Jest zarysowana. Ale grałeś na niej z tuzin razy i sam powiedziałeś, że nadal brzmi pięknie.

- Nie chodzi mi o instrument - na czole Myszy pojawiły się zmarszczki. - To, co kapitan zrobił... - potrząsnął głową na samo wspomnienie.

- Aha.

- Zresztą nawet nie to - Mysz wyprostował się.

- W taki razie co?

Mysz znów potrząsnął głową.

- Kiedy pobiegłem po strzaskanym szkle, żeby złapać...

Katin pokiwał głową.

- Żar był nie do wytrzymania. Zrobiłem jeszcze trzy kroki i pomyślałem, że nie dam rady. I wtedy zobaczyłem, że kapitan ją upuścił na środku zbrocza. Zmrużyłem więc oczy i szedłem

dalej. Wydawało mi się, że stopy płoną, więc pewnie połowę drogi pokonałem skacząc. Tak czy inaczej, kiedy ją złapałem, podniosłem ją i... wtedy ich zobaczyłem.

- Prince'a i Ruby?

- Próbowała go ciągnąć w górę skały. Zatrzymał się, kiedy mnie zobaczył. A ja się bałem. - Uniósł wzrok; dotąd wpatrywał się w swoje dłonie. Zaciśnął palce. Paznokcie wpiły się w ciemne ciało. - Zwróciłem fletnię w jej stronę, światło, dźwięk i zapach naraz - to trudne! Kapitan nie wie, jak zmusić fletnię, żeby robiła to, czego chce. Ja tak. Ona była niewidoma, Katinie. I pewnie rozwalilem też jej oba bębunki uszne. Laser był ustawiony na tak skupioną wiązkę, że jej włosy zaczęły się palić, potem jej sukienka...

- Och, Mysz...

- Bałem się, Katinie! Po tym wszystkim z kapitanem i z nimi. Tylko że, Katinie... - szept utknął na wszelkich możliwych przeszkodach w gardle Myszy. - To nie jest dobrze, tak się bać..

- Królowa mieczy.

- Król mieczy.

- Kochankowie. Lewa moja. As mieczy...

- Tyë , przyjdź tu i zmień na chwilę Idasa - z głośnika rozległ się głos Von Raya.

- Tak jest, sir. Trójką mieczy dziadek gra. Ja Cesarzową. Lewa moja.

Złożyła karty i poszła do swojej komory projekcyjnej.

Sebastian przeciągnął się.

- Hej, Mysz?

ROZDZIAŁ 7

- Co?

Sebastian maszerował po błękitnej wykładzinie dywanie, ugniatając przedramię. Medmoduł statku naprawił jego złamany łokieć w czterdzieści pięć sekund; wyleczenie mniejszych ran zajęło mu jeszcze mniej czasu. (Mrugnęło kilkoma nietypowymi kontrolkami, gdy przedstawiono mu ciemne stworzenie z zapadniętym płucem i trzema pękniętymi chrząstkami żeber, ale Tyż grzebała w oprogramowaniu modułu tak długo, aż urządzenie z powodzeniem zaczęło pracę nad organizmem bestii). Stwór teraz dreptał za swoim panem, złowieszczy i zadowolony.

- Mysz, czemu nie każesz medmodułowi statku swojego gardła naprawić? - obrócił ręką. - Dobrą robotę robi.

- Nie mogę. Parę razy próbowali, kiedy byłem mały. Kiedy instalowali mi gniazdo - Mysz wzruszył ramionami.

Sebastian zmarszczył czoło.

- Poważnie zbyt teraz nie brzmi.

- Bo nie jest - odparł Mysz. - I nie przejmuję się tym. Po prostu nie mogą tego wyleczyć. Jakaś odpo-coś tam neurologiczna.

- Co to jest?

Mysz obrócił dłonie i spojrzał na Katina bezradnie.

- Odpowiedniość neurologiczna - twoje niepołączone struny głosowe muszą być neurologicznie odpowiednią wadą wrodzoną.

- Tak, tak właśnie powiedzieli.

- Są dwa rodzaje wad wrodzonych - wyjaśnił Katin. - W obu przypadkach jakaś część ciała, wewnętrzna lub zewnętrzna, ulega deformacji, atrofii albo przemieszczeniu.

- Moje struny głosowe są na swoim miejscu.

- Ale u podstawy mózgu jest niewielkie skupisko nerwów,

które - gdyby obejrzyć je w przekroju - wygląda mniej więcej jak szablon istoty ludzkiej. Jeśli szablon jest kompletny, mózg dysponuje wyposażeniem nerwowym do obsługi całego ciała. Szablon bardzo rzadko zawiera tę samą deformację, co ciało, jak w przypadku Myszy. Jeśli nawet dojdzie do naprawienia uszkodzenia fizycznego, brak połączeń nerwowych z mózgiem pozwalających na sterowanie fizycznie prawidłową częścią.

- Właśnie na tym musi polegać problem z ręką Prince'a - rzekł Mysz. - Gdyby stracił ją w wypadku albo coś w tym rodzaju, mogliby przeszczepić mu nową, podłączyć żyły, nerwy i wszystko inne i byłaby jak nowa.

- Ach - mruknął Sebastian.

Lynkeos kroczył po rampie. Białe palce masowały nadgarstki barwy kości słoniowej.

- Kapitan naprawdę funduje nam niezłą jazdę...

Idas zbliżył się do brzegu sadzawki.

- Do tej gwiazdy lecimy, gdzie ona jest...

- ...jej współrzędne są na skraju wewnętrznego ramienia...

- ...a więc w Koloniach Zewnętrznych...

- ...nawet daleko od Kolonii Dalekich.

- Długi to lot - rzekł Sebastian. - I kapitan sam lecieć chce.

- Kapitan ma dużo rzeczy na głowie - podsunął Katin.

Mysz przełożył pasek przez ramię.

- I dużo rzeczy, o których nie chce myśleć. Katinie, może partyjkę szachów?

- Wybierz sobie wieżę - rzekł Katin. - Będziemy grać uczciwie.

Zasiedli przy szachownicy.

Trzy partyjki później we wspólnej sali rozległ się głos kapitana.

- Wszyscy do komór projekcyjnych. Zbliżamy się do nietypowych prądów przecinających.

Mysz i Katin wstali z nadmuchiwanymi foteli. Katin skierował się do niewielkich drzwi za spiralnymi schodami. Mysz pobiegł po wykładzinie, pokonał trzy stopnie. Lustrzany panel ukrył się w ścianie. Przekroczył skrzynkę z narzędziami, płataninę kabli, trzy porzucone banki pamięci z cewek nadprzewodzących - teraz topiły się, plamiąc płyty solą tam, gdzie wyschła kałuża - i

usiadł na kanapie. Rozprostował kable, potrząsając nimi, i podłączył się.

Olga zamrugnęła błagalnie nad nim, pod nim i dookoła niego.

Prądy poprzeczne: jak czerwone i srebrne cekiny rzucane garściami. Kapitan manewrował w strumieniu.

- Musiałeś kiedyś startować w zawodach, kapitanie - zauważył Katin. - Jakim jachtem latałeś? Mieliśmy w szkole klub wyścigowy, który czarterował trzy jachty. Nawet myślałem, żeby się zgłosić na taki rejs na jeden semestr.

- Zamknij się i trzymaj mocno skrzydło.

Tu, daleko na galaktycznej spirali, gwiazd było niewiele. Przemieszczenia grawimetryczne były łagodniejsze. Lot w środku galaktyki, gdzie strumień jest bardziej skondensowany, wymagał pracy z tuzinem nakładających się częstotliwości. Tu kapitan musiał wybierać śladowe kosmyki fleksji jonowych.

- A swoją drogą, dokąd właściwie lecimy? - spytał Mysz.

Lorq wskazał współrzędne na matrycy statycznej, a Mysz odczytał je za pomocą matrycy ruchomej.

Gdzie była gwiazda?

Weźmy takie pojęcia, jak „oddalona”, „odizolowana”, „słaba” i nadajmy im jednoznaczny formę matematyczną. Przy takim wyrażeniu znikną.

Zanim jednak to się stanie, właśnie tak to wygląda.

- Moja gwiazda - Lorq odsunął skrzydła na bok, by mogli ją zobaczyć. - To właśnie moje słońce. To moja Nova, ze światłem liczącym sobie osiemset lat. Mysz, patrz uważnie, skręć w dół. Jeśli przez twoje niedbałe wiosłowanie miniemy tę gwiazdę choćby o sekundę...

- Ależ skąd, kapitanie!

- ...wcisnę ci karty Työ do przelyku, dłuższym bokiem. Cofnij.

Mysz skręcił, a noc popędziła nad jego głową.

- Kapitanowie spoza tych okolic - opowiadał Lorq, gdy prądy się uspokoiły - pojawiając się we fleksyjnym zamieszaniu środkowego pierścienia nie potrafią wykorzystać strumienia w tak skomplikowanych skupiskach jak Plejady, by się uratować.

Tracą wiązkę, wpadają w ruch wirowy i pakują się głową do przodu prosto w kłopoty. Połowę wypadków, o których słyszałem, spowodowali kapitanowie nie stąd. Z kilkoma z nich rozmawiałem. Mówili, że tu, na obrzeżach, to my zawsze pakowaliśmy statki w studnię grawitacji. „Na sznurku człowiek zawsze zasypia”, mówili - roześmiał się.

- Wiesz, kapitanie, sterujesz już od tak dawna - rzekł Katin. - Wygląda na to, że jest czysto, może trochę odpoczniesz?

- Poczulem coś przypominającego grzebanie palcami w eterze, zostanę więc na drugą wachtę. Ty i Mysz zostajecie podpięci. Reszta marionetek może odciąć sznurki.

Skrzydła zwinęły się i złożyły, aż wiązka światła osiągnęła grubość ołówka. Aż wreszcie światło zgasło.

- Och, kapitanie Von Ray, o coś...

- ...o coś chcieliśmy cię zapytać...

- ...jeszcze wcześniej. Czy masz może jeszcze trochę...

- ...czy powiesz nam, gdzie schowałeś...

- ...jeśli oczywiście, kapitanie, nie masz nic przeciwko...

- ...rozkosz?

Noc płynęła gładko przed ich oczami. Skrzydła popychały ich w stronę otworu w aksamitnej zasłonie.

- Musieli być niezłe naćpani w kopalniach na Tubmanie - powiedział po chwili Mysz. - Rozmyślałem o tym, Katinie. Gdy kapitan i ja przechadzaliśmy się nad Złotem w poszukiwaniu rozkoszy, byli tam jacyś ludzie, którzy próbowali nas zwerbować do tamtejszych kopalni. Wiesz, zacząłem sobie tak myśleć: wtyczka to wtyczka, a gniazdo to gniazdo, a jeśli znajde się na którymś końcu, nie powinno robić mi dużej różnicy, czy to skrzydło statku kosmicznego, sieć na akwalaty czy kombajn do wydobycia rudy na drugim. Może kiedyś tam polecę na jakiś czas.

- Oby cień Ashtona Clarka unosił się nad twoim prawym ramieniem i strzegł lewego.

- Dziękuję - i zapytał po chwili. - Katinie, dlaczego ludzie zawsze mówią „Ashton Clark”, kiedy ktoś zamierza zmienić

pracę? W Akademii mówili nam, że facet, który wynalazł wtyczki, nazywał się Gniasto czy jakoś tak.

- Gniasto - poprawił go Katin. - Cóż, to i tak nieszczęsny zbieg okoliczności. Ashton Clark był filozofem *cum* psychologiem z dwudziestego trzeciego wieku, i to dzięki jego pracom Vladimeer Gniasto wynalazł wtyczki neuronalne. Przypuszczam, że odpowiedź ma coś wspólnego z pracą. Praca, jaką znała ludzkość do czasów Clarka i Gniasto, bardzo różniła się od dzisiejszej, Mysz. Człowiek mógł wtedy udać się do biura, uruchomić komputer, który korelowałby duże ilości wielkich liczb pochodzących, powiedzmy, z raportów sprzedaży, podsumowując, powiedzmy, jak guziki albo coś równie archaicznego, co sprzedaje się w różnych częściach kraju. Praca tego człowieka ma zasadnicze znaczenie dla przemysłu guzikowego; został zatrudniony, opłacany i zwolniony przez przemysł guzikowy, a przez ten czas mógł tygodniami nie zobaczyć ani jednego guzika. Otrzymywał pewną kwotę pieniędzy za pracę z komputerem. Za te pieniądze jego partnerka kupowała jedzenie i ubrania dla niego i jego rodziny. Nie było jednak *bezpośredniego* połączenia między tym, gdzie pracował, a tym, co jedli i jak żyli przez resztę czasu. Nie płacili im guzikami. Gdy uprawa roli, myślistwo i rybołówstwo stawały się zajęciem coraz mniejszej liczby ludzi, rozdział między pracą ludzi a sposobem życia - co jedli, co nosili, gdzie spali - stawał się coraz większy dla coraz większej liczby ludzi. Ashton Clark zauważył, że dla ludzkości jest to bardzo szkodliwe psychicznie. Całe poczucie samokontroli i odpowiedzialności za samych siebie, jakie ludzkość nabyła podczas rewolucji neolitycznej, kiedy to człowiek nauczył się uprawiać zboża, udomawiać zwierzęta i mieszkać w jednym, wybranym miejscu, zostało poważnie zagrożone. Zagrożenie istniało od rewolucji przemysłowej i wielu ludzi zauważyło to jeszcze przed Ashtonem Clarkiem. Ashton Clark poszedł jednak dalej o jeden krok. Gdyby sytuacja społeczeństwa technicznego była taka, że nie byłoby żadnego bezpośredniego związku między pracą wykonywaną przez człowieka a jego *modus vivendi*, poza pieniędzmi, człowiek musi przynajmniej mieć

wrażenie, że coś bezpośrednio zmienia swoją pracą, kształtuje rzeczy, czyni je innymi, niż były dotąd, przemieszcza rzeczy z miejsca na miejsce. Musi wydatkować energię na swą pracę i widzieć zmiany na własne oczy. W przeciwnym razie będzie miał wrażenie, że jego życie nie ma sensu.

- Gdyby ludzkość żyła w ten sposób jeszcze przez jakieś sto lat, pewnie nikt nie usłyszałby o Ashtonie Clarku. Technika osiągnęła jednak poziom, na którym można było zrobić coś z tym, o czym mówił Ashton Clark. Gniasto wynalazł wtyczki i gniazda oraz obwody reakcji neuronalnej, czyli całą podstawową technologię, dzięki której można było sterować maszynami bezpośrednio za pomocą impulsów nerwowych, tych samych, jakie wprawiają w ruch nasze ręce i nogi. I tak zaczęła się rewolucja w sposobie świadczenia pracy. Wszystkie poważne prace w przemyśle zaczęły być dzielone na zadania, które mogły być „wykonane” bezpośrednio przez ludzi. Przedtem były fabryki, którymi zarządzał jeden człowiek, obojętny osobnik, który włączał wszystko rankiem, spał pół dnia, w porze obiadowej sprawdził kilka odczytów, a potem wszystko wyłączał zanim wyszedł. Ale potem człowiek szedł do fabryki, podłączał się i mógł przepychać surowce lewą nogą, kształtować tysiące precyzyjne obrabianych części jedną ręką, składać je drugą, a prawą wypychać gotowe produkty, po sprawdzeniu ich na własne oczy. I był o wiele bardziej zadowolonym pracownikiem. Z powodu samego charakteru pracy większość zadań można było przekształcić na prace wykonywane przez wszczepieńców, i to bardziej wydajnie niż dotąd. W tych rzadkich przypadkach, w których produkcja była nieznacznie mniej wydajna, Ashton Clark podkreślał korzyści psychologiczne dla społeczeństwa. Jak mawiano, Ashton Clark przywrócił człowieczeństwo ludziom pracy. W tym systemie większość endemicznych chorób psychicznych, wywoływanych przez poczucie wyobcowania w społeczeństwie, zanikło. Transformacja sprawiła, że wojna, wówczas mało prawdopodobna, stała się niemożliwością, a po początkowych niepokojach sieć gospodarcza zamieszkałych planet ustabilizowała się na ostatnie osiemset lat. Ashton Clark stał

się prorokiem ludzi pracy. Dlatego właśnie nawet dziś, gdy kobieta lub mężczyzna zamierza zmienić pracę, wysyłamy z nimi Ashtona Clarka, lub przynajmniej jego ducha.

Mysz spojrzał w gwiazdy.

- Pamiętam, że Cyganie czasem używali jego nazwiska jako przekleństwa - zastanowił się. - Bez wszczępek, nic dziwnego.

- Były dwa odłamy, które przeciwstawiły się ideom Clarka, szczególnie na Ziemi, która zawsze była trochę reakcyjna. Ale nie przetrwały zbyt długo.

- Tak - odparł Mysz. - Tylko osiemset lat. Nie wszyscy Cyganie są zdrajcami, jak ja - roześmiał się na wietrze.

- System Ashtona Clarka miał tylko jedną poważną wadę, którą jestem w stanie dostrzec. A ujawnienie się jej trochę trwało.

- Tak? Jaką?

- Coś, co najwyraźniej profesorowie opowiadali studentom od lat. Usłyszysz to na każdym zebraniu intelektualistów, na które się udasz, przynajmniej raz. Dziś brak nam solidnej bazy kulturowej. Właśnie to próbowała stworzyć Republika Węgi w roku 2800. Z powodu łatwości i satysfakcji, jaką praca przynosi teraz, i tego, że ludzie mogą pracować wszędzie, gdzie chcą, od kilkunastu pokoleń obserwujemy migrację ludzkości z planety na planetę; całkowicie poszatkowały one społeczeństwo. Istnieje wyłącznie krzykliwe, zwodnicze społeczeństwo międzyplanetarne, za którym nie stoi prawdziwa tradycja... - Katin zamilkł na chwilę. - Zanim się podpiąłem, wziąłem trochę kupionej przez kapitana rozkoszy. I kiedy rozmawiałem, liczyłem w myślach, od ilu ludzi to usłyszałem między Harvardem a Piekłem³. I wiecie co? Mylili się.

- Mylili?

- Tak. Wszyscy szukali naszej tradycji społecznej w niewłaściwym miejscu. *Istnieją* tradycje społeczne, które dojrzewały na przestrzeni wieków, a ich punkt kulminacyjny wypadł dopiero teraz, w powstaniu czegoś żywego i bardzo współczesnego. A wiecie, kto jest wcieleniem tej tradycji najbardziej ze wszystkich osób, które poznałem?

- Kapitan?

- Ty, Mysz.

- Że co?

- Pozbierałeś ozdobniki z kilkunastu społeczeństw, które na przestrzeni lat już nas opuściły, i w nieokreślony sposób je zawłaszczyłeś. Jesteś wytworem tych napięć, które ścierały się w czasach Clarka, a ty je rozwiązujesz, wykorzystując w grze na swojej fletni wzorce nieodłącznie obecne w...

- Och, daj spokój, Katinie.

- Szukałem dla mojej powieści tematu, który miałyby zarówno znaczenie historyczne, jak i ducha humanizmu. Ty nim jesteś, Mysz. Moja książka powinna być *twoją* biografią! Moja powieść powinna opowiadać historię twojego życia. Powinna opisywać, gdzie byłeś, co robiłeś, co widziałeś i co pokazałeś innym ludziom. To jest właśnie to, co ma znaczenie społeczne, historyczny rozmach, iskrę pomiędzy ogniwami, które rozświetlają głębinę sieci...

- Katinie, ty jesteś szalony!

- Nie, nie jestem. W końcu zrozumiałem, co...

- Hej, cisza! Utrzymywać skrzydła w naprężeniu!

- Przepraszam, kapitanie.

- Tak, kapitanie.

- Nie papać podczas lotu do gwiazd, chyba że potraficie to zrobić z zamkniętymi oczami.

Dwóch wszczepieńców posłusznie zaczęło się wpatrywać w ciemność. Mysz był zadumany, Katin - zadziorny.

- Zbliżamy się do jasnej i gorącej gwiazdy. To jedyny obiekt na niebie. Pamiętajcie o tym. Ma być dokładnie na wprost, nie pozwólcie jej zboczyć. O solidarności kulturowej możecie papać w wolnym czasie.

Nie było horyzontu, a mimo to gwiazda podniosła się.

W odległości dwudziestokrotnie większej niż odległość Ziemi od Słońca (czy Arki od jej słońca) nie docierało już wystarczająco dużo światła gwiazdy typu G, by w atmosferze podobnej do ziemskiej rozproszone światło stworzyło dzień. Przy takich odległościach najjaśniejszy obiekt na nocnym

niebie nadal wyglądał jak gwiazda, a nie słońce - jak bardzo jasna gwiazda.

Znajdowali się teraz w odległości dwóch miliardów mil, nieco powyżej trzynastu jednostek astronomicznych od niej.

Była najbardziej jaskrawą gwiazdą.

- Ślicznotka, nie?

- Nie, Mysz - odparł Lorq. - To tylko gwiazda.

- Skąd wiesz...

- ...że ma się przekształcić w Nową?

- Z powodu odkładania się pierwiastków ciężkich na jej powierzchni - wyjaśnił bliźniętom Lorq. - Występuje delikatne poczerwienienie w jej odcieniu, odpowiadające nieznacznemu obniżeniu temperatury powierzchni. Także aktywność plam słonecznych wzrosła.

- Z powierzchni jednej z jej planet określić tego nie dałoby się?

- Zgadza się. Poczerwienienie jest zbyt subtelne, by można było je wykryć okiem nieuzbrojonym. Na szczęście ta gwiazda nie ma planet. Jest trochę śmieci rozmiaru księżyca latających dość blisko, to pewnie nieudane planety.

- Księżyce? Księżyce! - zaprotestował Katin. - Nie ma księżyców bez planet. To mogą być planetoidy, ale nie księżyce!

Lorq zaśmiał się.

- Wspomniałem tylko o czymś rozmiaru księżyca.

- Aha.

Wszystkie skrzydła zostały zaprzęgnięte do zagnania „Roca” na orbitę gwiazdy, o promieniu dwóch miliardów kilometrów. Katin leżał w komorze projekcyjnej, niechętnie rezygnując z widoku gwiazdy na rzecz kontrolki komputera.

- A gdzie te stacje badawcze, które zostawił Instytut Alkański?

- Dryfują tak samo samotne jak my. Usłyszymy je we właściwym czasie. Teraz jednak nie potrzebujemy ich, a one nie potrzebują nas. Cyana ostrzegła, że przylatujemy. Naniosę je na ruchomą macierz. Dzięki temu będziecie mogli śledzić ich położenie i ruchy. To główna stacja załogowa. Jej odległość od gwiazdy jest pięćdziesięciokrotnie większa od naszej.

- Czy jesteśmy w strefie niebezpiecznej, gdyby doszło do

wybuchu?

- Kiedy Nova wybuchnie, pożre wszystko na niebie, w dużej objętości.

- Kiedy to się zacznie?

- Cyana przewiduje, że za kilka dni. Ale takie prognozy mogą się mylić o jakieś dwa tygodnie w obu kierunkach. Gdy się zacznie, będziemy mieli kilka minut na ucieczkę. Teraz znajdujemy się gdzieś w odległości dwóch i pół godziny świetlnej. - Uzyskiwany przez nich widok był przenoszony przez zakłócenia eteru, co zapewniało im synchroniczny widok słońca. - Zobaczymy, jak wybuch, w tej sekundzie, w której to się stanie.

- A ilirion? - spytał Sebastian. - Skąd go weźmiemy?

- To już moje zmartwienie - odparł Lorq. - Zdobędziemy go, gdy nadejdzie pora. A teraz możecie się odpiąć.

Nikt jednak nie śpieszył się do odpinania kabli. Skrzydła skurczyły się do pojedynczych nitek światła, które po chwili zamrugały i zgasły.

Katin i Mysz ociągali się najdłużej.

- Kapitanie? - odezwał się Katin po paru minutach. - Tak się tylko zastanawiałem... Czy ludzie z patrolu mówili coś szczególnego, kiedy zgłosiłeś... wypadek Dana?

Minęła prawie minuta, nim Lorq odpowiedział.

- Nie zgłosiłem go.

- Och - mruknął Katin. - Tak właśnie przypuszczałem.

Mysz trzykrotnie próbował wypowiedzieć słowo „ale” i nie udało mu się.

- Prince ma dostęp do wszystkich oficjalnych zapisów, jakie dostają patrole na Drako. A przynajmniej tak podejrzewam. Mam komputer skanujący wszystko, co dociera do Plejad. Oczywiście Prince zaprogramował swój tak, by śledził wszystko nawet luźno związane ze mną. Gdyby wytropił Dana, znalazłby Novą. Nie chcę, by mnie w ten sposób namierzył. Wolałbym, by nie wiedział, że Dan nie żyje. O ile wiem, wszyscy ludzie, którzy o tym wiedzą, są na pokładzie tego statku. I wolę, żeby tak zostało.

- Kapitanie!

- Co, Mysz?
- Coś się zbliża.
- Statek z dostawami do stacji? - spytał Katin.
- Jest za daleko. Węszą po śladach naszego elfiego pyłu.

Lorq milczał, gdy dziwny statek przesuwał się po macierzy współrzędnych.

- Odłączcie się i idźcie do wspólnej sali. Przyjdę tam.
- Ale, kapitanie... - Mysz zamilkł.
- To siedmioskrydłowy frachtowiec jak nasz, tylko jego dane identyfikacyjne sugerują, że pochodzi z Drako.
- Co on tu robi?
- Powiedziałem, że macie iść do wspólnej sali.

Katin odczytał nazwę statku, gdy jego wiązka identyfikacyjna mignęła na dole siatki: „Czarna Kakadu”?

- Chodź, Mysz. Kapitan mówi, żeby się odłączyć.

Odpięli się i dołączyli do pozostałych na skraju basenu.

Na szczycie spiralnych schodów otworzyły się drzwi. Lorq wyszedł na zaciemnione schody.

Mysz patrzył, jak Von Ray schodzi w dół i pomyślał: kapitan jest zmęczony.

Katin patrzył na Von Raya i jego odbicie w lustrzanej mozaice i myślał: jego ruchy zdradzają zmęczenie, ale to zmęczenie biegacza, nim złapie drugi oddech.

Gdy Lorq był w połowie drogi w dół, fantazje świetlne w złożonej ramie na oddalonej ścianie zgasły.

Ruszyli. Mysz wciągnął powietrze.

- A więc - oznajmiła Ruby - prawie remis. Czy to sprawiedliwe? Nadal nas wyprzedzasz. Nie wiemy, gdzie zamierzasz szukać nagrody. Ten wyścig to zatrzymuje się, to rusza - omiotła załogę spojrzeniem błękitnych oczu, zatrzymała wzrok na Myszy, utkwiała go w Lorqu. - Nigdy wcześniej nie przeżyłam takiego bólu, aż do tej nocy w Taafite. Może dotąd żyłam pod kloszem. Bez względu jednak na to, jakie są zasady, przystojny kapitanie - w jej głosie dało się wyczuć potępienie - nas oboje wychowano z myślą o grze.

- Ruby, chciałbym z tobą porozmawiać... - Lorq zawiesił głos.
- I z Prince'em. Osobiście.

- Nie sędę, by Prince chciał z tobą rozmawiać. Czas między tym, jak nas zostawiłeś na skraju Złota a znalezieniem się w medkapsule nie należy do *moich*... do naszych najlepszych wspomnień.

- Powiedz Prince'owi, że lecę na pokład „Czarnej Kakadu”. Mam już dość tego horroru, Ruby. Jest wiele rzeczy, których chcielibyście się ode mnie dowiedzieć. A ja chciałbym je wam przekazać.

Jej dłoń przesunęła się nerwowym ruchem do kosmyka włosów opadającego na ramię. Ciemny płaszcz kończył się wysokim kołnierzem.

- Dobrze - rzekła po chwili i znikła.

Lorq spojrział na swą załogę.

- Słyszeliście. Wracajcie do skrzydeł. Tyÿ, przyglądałem ci się, gdy byłaś podpięta. Widać, że masz większe doświadczenie niż pozostali. Przejmujesz gniazdo kapitana. Jeśli coś dziwnego się stanie - cokolwiek, bez względu na to, czy wrócę, czy nie, zabierajcie „Roca” i uciekajcie stąd, i to szybko.

Mysz i Katin wymienili spojrzenia, po czym popatrzyli na Tyÿ.

Lorq przeszedł po wykładzinie, wszedł na rampę. W połowie białego łuku zatrzymał się, spojrział na swoje odbicie. I splunął.

Zniknął, zanim drobne fale dotarły do brzegu.

Wymienili zdziwione spojrzenia i rozeszli się.

Na kanapie Katin przypiął się i przełączył wejście czuciowe na zewnątrz statku; odkrył, że pozostali są gotowi.

Patrzył, jak „Czarna Kakadu” dryfuje bliżej, by wahadłowiec mógł do niej przycumować.

- Mysz?

- Tak, Katinie?

- Martwię się.

- O kapitana?

- O nas.

„Czarna Kakadu”, waląc skrzydłami w ciemności, obróciła się wolno obok nich, by znaleźć się na tej samej orbicie.

- Dryfowaliśmy, Mysz, ty i ja, bliźniacy, Tyÿ i Sebastian - my

wszyscy, dobrzy ludzie, ale to bezcelowe. I ogarnięty obsesją człowiek porwał nas i zabrał na skraj nicości. I dochodzimy do wniosku, że jego obsesja nadała sens naszemu bezsensowi - czy może stworzyła bardziej znaczący chaos. Martwi mnie to, że jestem mu wdzięczny. Powinienem się buntować, próbować samodzielnie utrzymać porządek. Ale tak nie jest. Pragnę, by wygrał ten piekielny wyścig. Chcę, by wygrał, ale dopóki nie wygra ani nie przegra, nie potrafię tak naprawdę pragnąć niczego dla siebie.

Wahadłowiec przycumował do „Czarnej Kakadu” jak kula armatnia na filmie puszczonego wstecz. Nie musząc już utrzymać tej samej orbity, zaczęła oddalać się od nich, dryfując. Katin patrzył, jak ciemna bryła wiruje.

Kolonie Zewnętrzne (przelot na pokładzie „Czarnej Kakadu”), 3172

- Dzień dobry.
- Dobry wieczór.
- Według czasu Greenwich jest ranek, Ruby.
- A ja wyświadczam ci grzeczność, pozdrawiając cię zgodnie z czasem Arki. Tędy, proszę - przytrzymała połą czarnego płaszcza, by mógł przejść obok niej i zanurzyć się w czarnym korytarzu.
- Ruby?
- Tak? - jej głos rozległ się tuż za jego ramieniem.
- Jest coś, nad czym zawsze się zastanawiałem, gdy cię widziałem. Tyle już razy twoje czyny mówiły mi, że jesteś wspaniałą osobą. Tylko że cały ten blask ginie w cieniu Prince’a. Tyle lat temu, gdy rozmawialiśmy podczas przyjęcia nad Sekwaną, uderzyło mnie to, jakim wyzwaniem byłoby pokochanie kogoś takiego jak ty.
- Od Paryża dzielą nas całe światy, Lorqu.
- Prince tobą rządzi. To może małostkowe z mojej strony, ale potrafię ci to wybaczyć. W jego obecności zachowujesz się, jakbyś nie miała własnej woli. Z wyjątkiem sytuacji w Taafite,

pod światłem wyczerpanego słońca innej planety. Myślałaś, że Prince nie żyje. Wiem, że o tym pamiętasz. A ja od tego czasu myślę o czymś innym. Pocałowałaś mnie. Ale on zaczął krzyczeć i pobiegłaś do niego. Ruby, on próbuje zniszczyć całą Federację Plejad. To planety, które krążą wokół trzystu słońc, i wiele miliardów ludzi. To są moje światy. Nie dopuszczę do ich śmierci.

- A ty przewróciłbyś kolumnę Drako i zmusił Węża, by pełzał w pyłe, by tylko je uratować? Pozbawiłbyś Ziemię wsparcia ekonomicznego i pozwolił, by jej szczątki rozpierzchnęły się w ciemnościach? Wpędziłbyś planety Drako w epokę chaosu, zamieszek i niedostatku? Światy Drako to światy Prince'a. Czy naprawdę jesteś aż tak arogancki, by uważać, że on je kocha mniej niż ty kochasz swoje?

- A co ty kochasz, Ruby?

- Nie tylko ty masz tajemnice, Lorqu. Prince i ja mamy własne. Kiedy wynurzyłeś się pośród płonących skał, tak, myślałam, że Prince nie żyje. W ustach mam wydrążony ząb, wypełniony strychniną. Chciałam obdarzyć cię pocałunkiem zwycięstwa. I zrobiłabym to, gdyby Prince nie zaczął krzyczeć.

- Prince kocha Drako? - obrócił się, chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie.

Jej oddech utonął w jego piersi. Nie zamykając oczu. zderzyli się twarzami. Zgniół jej cienkie usta swoimi, tak pełnymi, aż jej wargi cofnęły się, a jej zęby i język uderzyły o zęby.

Zanurzyła palce w jego zmierzwionych włosach. Wydawała brzydkie odgłosy.

Przytrzymał ją, zaskoczony, oszołomiony, przerażony intensywnością jej pragnienia, by to wszystko zakończyć, tu, teraz. To nie był jednak koniec. Odepchnęła go, odskoczyła, szarpnęła się.

Rozluźnił chwyt; oddaliła się; miała szeroko otwarte oczy. Jej powieki skrzyły błękitne światło, aż szaleństwo znów je odsłoniło.

- Cóż...? - oddychał ciężko.

Ruby otuliła się mocno płaszczem.

- Jeśli broń zawiedzie mnie choć raz - jej głos brzmiał jeszcze

bardziej chrapliwie od głosu Myszy - pozbywam się jej. Poza tym, przystojny piracie, ty... - czyżby szorstkość gdzieś zanikła?
- *My* bylibyśmy... ale teraz mam inną broń.

Wspólna sala „Czarnej Kakadu” była mała i surowo urządzona. Dwóch wszczępieńców siedziało na ławkach. Kolejny stał na stopniach, obok drzwi do swojej komory projekcyjnej.

Odziani w białe uniformy mężczyźni o ostrych rysach przypominali Lorqowi inną załogę, z którą kiedyś pracował. Ich ramiona zdobiły szkarłatne emblematy Red Shift Ltd. Spojrzeli na Lorqę i Ruby. Jeden z nich cofnął się do swojej komory i płytowe drzwi zatrzasnęły się za nim. Pozostała dwójka wstała, gotowa do wyjścia.

- Czy Prince zejdzie na dół?

Ruby wskazała gestem stalowe schody.

- Spotka się z tobą w kajucie kapitańskiej.

Lorq zaczął wchodzić po schodach. Jego sandały stukały na perforowanych stopniach. Ruby szła za nim.

Lorq zastukał do zdobionych nitami drzwi.

Otworzyły się. Lorq wszedł do środka, a Ruby za nim; wtedy wykonana z tworzywa i metalu rękawica, na łączonym przegubami ramieniu, wysunęła się z sufitu i dwukrotnie uderzyła go w twarz.

Lorq zatoczył się na drzwi - od wewnątrz były pokryte skórą, z mosiężnymi nitami - i zatrzasnęły się.

- To - oznajmiło ciało - za zmasakrowanie mojej siostry.

Lorq potarł policzek i spojrzał na Ruby. Stała pod jaszczurką ścianą. Drapowane zasłony miały taki sam ciemny kolor wina jak jej płaszcz.

- Naprawdę sądzisz, że nie obserwuję wszystkiego, co się dzieje na tym statku? - spytało ciało. - Wy, barbarzyńcy z Plejad, jesteście tak nieokrzesani, jak ostrzegali Aaron.

W zbiorniku kłębiły się pęcherzyki powietrza, pieściły nagą stopę, otoczyły zwiroteczale łędwie, potoczyły się wzdłuż piersi - poczerniały żebra między zwęglonymi płatami skóry - i

przeplęły obok poparzonej, łysej głowy. Z pozbawionych warg ust wyzierały połamane zęby. Postać nie miała nosa. Rurki i druty wystawały z gnijących ran. Rury przeszywały brzuch, biodro i ramię. W zbiorniku wirowała ciecz, a jedno z ramion kołysało się tam i z powrotem; zwęglone palce zastygłe w pośmiertnym stężeniu jak pazury.

- Nikt ci nie powiedział, że gapienie się jest niegrzeczne? Gapisz się, wiesz?

Głos dochodził z głośnika na szklanej ścianie.

- Obawiam się, że na tej planecie ucierpiałem trochę bardziej niż Ruby.

Dwie ruchome kamery nad zbiornikiem zmieniły położenie, gdy Lorq wszedł do pomieszczenia.

- Jak na kogoś, kto jest właścicielem Red Shift Limited, twój manewr z osiągnięciem orbity nie był za bardzo...

To banalne stwierdzenie nie było w stanie zamaskować zdumienia Lorqa.

Przez ścianę zbiornika przechodziły kable służące do sterowania statkiem. Ze szkła zbudowano też część ścian pomieszczenia. Kable wiły się na czarnych i złotych płytkach, by zniknąć w miedzianej kratownicy zakrywającej czoło komputera.

Na ścianach, podłodze i suficie, ekrany zakłóceń eteru, oprawne w ozdobne ramy, pokazywały tę samą twarz nocy:

Na jej skraju widniała szara bryła „Roca”.

Na środku tkwiła gwiazda.

- Niestety - oznajmiło ciało - nigdy nie byłem tak wysportowany jak ty. Ale chciałeś ze mną rozmawiać. Co masz mi do powiedzenia?

Lorq znów spojrzał na Ruby.

- Większość powiedziałem już Ruby, Prince. Słyszałeś.

- Jakoś powątpiewam w to, byś ściągnął nas oboje tutaj, na skraj gwiazdnej katastrofy, tylko po to, żeby nam to powiedzieć. Ilirion, Lorqu Von Ray. Ani ty, ani ja nie zapomnieliśmy o celu, jaki cię tu przygnał. I nie odejdziesz stąd, dopóki nie powiesz mi, gdzie zamierzasz...

I wtedy gwiazda zmieniła się w Novą.

Nieuniknione jest właśnie tak nieoczekiwane.

W pierwszej sekundzie powiększone obrazy zmieniły się z iskierek w reflektory. A reflektory świeciły coraz jaśniej.

Ruby cofnęła się pod ścianę, zasłaniając ręką oczy.

- To za wcześnie! - krzychało ciało. - To o parę dni za wcześnie!

Lorq przemierzył pomieszczenie trzema krokami, wyszarpnął dwie wtyczki ze zbiornika i wpiął je do swoich nadgarstków. Trzecią wtyczkę zamocował w gnieździe kręgosłupa. Duch statku przepłynął przez niego. Zaczęły napływać dane czuciowe. Widok pomieszczenia został wyparty przez noc. A noc rozpałała się ogniem.

Walcząc o przejęcie kontroli od wszczepieńców, obrócił „Kakadu” i skierował ją w stronę świetlnego węzła. Statek skoczył do przodu.

Bliźniacze kamery obróciły się, śledząc go.

- Lorqu, co ty *wyprawiasz*? - krzyknęła Ruby.

- Powstrzymaj go! - wrzasnęło ciało. - Leci prosto w słońce!

Ruby skoczyła w stronę Lorqa i chwyciła go. Obrócili się, zachwiali. Widział równocześnie wnętrze pomieszczenia i słońce na zewnątrz, jak na zdjęciu po podwójnej ekspozycji. Złapała pętlę kabla, owinęła ją wokół jego szyi, zacisnęła i zaczęła go dusić. Osłona kabla zaczęła wpijać mu się w gardło. Oparł się za nią ręką i drugą wbił jej palce w twarz. Prychnęła i cofnęła głowę (jego ręka naciskała na samym środku światła). Jej włosy zsunęły się z głowy i opadły; peruka spadła z poczerniałej czaszki. Musiała niedawno skorzystać z medkapsuły, która ją połatała. Kosmetyczna plastiskóra, z której odtworzono jej twarz, rozdarła mu się pod palcami. Gumowata folia oderwała się od pokrytego wybroczynami i ranami policzka. Lorq nagle cofnął dłoń. Jej zmasakrowana twarz krzyczała do niego w ogniu, oderwał jej ręce od swojej szyi i odepchnął Ruby. Cofnęła się, potknęła o swój płaszcz, upadła. Odwrócił się dokładnie w chwili, gdy mechaniczne ramię zamierzyło się na niego z sufitu.

Chwycił je.

Było słabsze niż ludzkie.

Z łatwością utrzymywał je na długość ramienia; palce zaś chwyciły rozszalałą gwiazdę.

- Przestań! - zawył. Równocześnie wyłączył dane czuciowe na całym statku.

Ekran pokryła szarość.

Wszystkich sześciu wszczepieńców na statku zostało pozbawionych danych czuciowych.

Ognie w jego oczach zgasły.

- Co ty próbujesz zrobić, na litość boską, Lorqu?

- Zanurkować w piekle i łowić ilirion gołymi rękami!

- On jest szalony! - krzyknęło ciało. - Ruby, on jest szalony! On nas zabije, Ruby! Właśnie tego chce, zabić nas!

- Tak! Zabiję was! - Lorq odepchnął dłoń. Zacisnęła się na kablu zwisającym z jego nadgarstka i szarpnęła za wtyczkę. Lorq znów chwycił ramię. Statek podskoczył.

- Na miłość boską, Lorqu, wyciągnij nas stąd! - wrzeszczało ciało. - Wyciągnij nas stąd!

Statek znów szarpnął. Sztuczna grawitacja na chwilę zanikła, by zaraz powrócić; szkło trzasnęło, a potem pokryło się siatką pęknięć.

- Za późno - wyszeptał Lorq. - Wpadliśmy w wirowanie grawitacyjne!

- Po co to robisz?

- Tylko po to, żeby cię zabić, Prince - na twarzy Lorqa malowała się wściekłość, aż pojawił się uśmiech, który ją rozłupał. - Tylko tyle, Prince! Teraz chcę tylko tego.

- Nie chcę znów umierać! - wrzeszczało ciało. - Nie chcę się spalić w sekundzie jak owad w płomieniu!

- W sekundzie? - twarz Lorqa wykrzywiła się wokół blizny. - Och, nie! To będzie przebiegać wolno, o wiele wolniej niż przedtem. Co najmniej dziesięć, dwadzieścia minut. Już robi się ciepło, prawda? Ale jeszcze przez jakichś pięć minut będzie można wytrzymać - twarz Lorqa pociemniała w złotej poświacie. Ślina pokrywała jego wargi z każdą samogłoską. - Będziesz się gotował w tym akwarium jak ryba - przerwał, by potrzeć brzuch pod kamizelką. Rozejrzył się po pomieszczeniu.

- Co tu się może palić? Zasłony? Czy twoje biurko jest z

prawdziwego drewna? A te wszystkie papiery?

Mechaniczna ręka wyrwała się z uchwytu Lorqą i przeleciała przez pomieszczenie. Palce chwyciły dłoń Ruby.

- Nie! Ruby, powstrzymaj go! Nie pozwól, żeby nas zabił!

- Znajdujesz się w cieczy, Prince, więc zanim zginiesz, zobaczysz, jak się palą. Ruby, w miejscach, gdzie zostałaś poparzona, nie możesz się pocić, więc zginiesz pierwsza. A on będziesz patrzył przez chwilę, zanim jego własne płyny zaczną się gotować, guma rozpływać, plastik - topić...

- Nie! - dłoń puściła rękę Ruby, przeleciała przez pomieszczenie i uderzyła w czoło zbiornika. - Bandyta! Złodziej! Pirat! Morderca! Nie...!

Dłoń była słabsza niż jego ręka na Taafite.

Słabsze było też szkło.

Szkło pękło.

Odżywcze płyny ochlapały Lorqą; cofnął się w zalanych cieczą sandałach. Ciało w zbiorniku zwinęło się, zaplątane w rurki i druty.

Kamery kręciły się szaleńczo, jakby nie mogły złapać ostrości.

Dłoń waliła o mokre płytki.

Palce zamarły; Ruby nie przestawała krzyczeć. Rzuciła się na podłogę, podpełzła do wyszczerbionego skrajku szkła, chwyciła ciało, wzięła je w ramiona, pocałowała i znów krzyczała, i całowała, kołysząc się w przód i w tył. Jej płaszcz pociemniał, nasiąknięty cieczą.

Krzyk się urwał. Upuściła ciało, oparła się o ścianę zbiornika i dotknęła swojej szyi. Twarz jej płonęła pod oparzeniami i zrujnowanym makijażem. Osunęła się powoli po ścianie. Gdy opadła na podłogę, miała zamknięte oczy.

- Ruby...?

Nie miało znaczenia, czy pokaleczyła się, przechodząc przez rozbitą ścianę zbiornika. Pocałunek wystarczył. Od chwili, gdy doznała poważnych oparzeń, minęło niewiele czasu, musiała więc być uczulona - nawet po tym, czego dokonała medkapsuła. Obce białko z odżywczego płynu Prince'a dostało się do jej krwiobiegu i spowodowało potężną reakcję histaminową. Wstrząs anafilaktyczny pokonał ją w kilka sekund.

A Lorq śmiał się.

Doznał wrażenia, jakby ktoś przesuwiał głązy w jego piersi. Potem zaczął śmiać się na głos, a jego śmiech odbijał się od zalanych płynem ścian komory. Tryumf był śmiechu wart, straszliwy i jego własny.

Wziął głęboki oddech. Statek dygotał pod czubkami jego palców. Nadal ślepy, skierował „Czarną Kakadu” w stronę eksplodującego słońca.

Gdzieś na statku jeden z wszczepieńców płakał.

Kolonie Zewnętrzne (przelot na pokładzie „Roca”), 3172

- Gwiazda! - krzyknął Mysz. - Zmienia się w Novą!
- Stąd uciekamy! Już - krzyknęła na głównym kanale Tyÿ.
- Kapitan! - wrzasnął Katin. - Patrzcie na „Czarną Kakadu”!
- „Kakadu”, mój Boże, ona...
- ...na litość boską, ona leci w kierunku...
- ...pędzi prosto w stronę...
- ...słońca!
- Dobrze, wszyscy do skrzydeł, rozwijamy. Katinie, rozwiń skrzydło, powiedziałam!
- Mój Boże... - wysapał Katin. - Och, nie...
- Za jasno jest - zdecydowała Tyÿ. - Obwody czuciowe wyłączamy!
- „Roc” zaczął się oddalać.
- O mój Boże! Oni... oni naprawdę spadają! Jest taka jasna! Zginą! Spalą się jak... spadają! Och, Boże, musimy ich zatrzymać! Niech ktoś coś zrobi! Tam jest kapitan! Musimy coś zrobić!
- Katinie! - krzyknął Mysz. - Wyłącz dane czuciowe! Czyś ty oszalała?
- Oni spadają! Nie! To jak jasna dziura pośrodku wszystkiego! I oni w nią lecą! Och, nurkują. Spadają...
- Katinie! - zawył Mysz. - Nie patrz tam!
- To rośnie! Jest tak jasne... jasne... coraz jaśniejsze! Ledwo

ich widzę!

- Katinie! - Mysz przypomniał sobie nagle tę historię i zaczął krzyczeć: - Nie pamiętasz Dana? Wyłącz wejście czuciowe!

- Nie! Nie, muszę to zobaczyć! Rozdyma się! Trzęsie nocą, aż wszystko się rozpada! Czuję jej zapach, jak płonie, płonie w ciemnościach. Nie widzę ich już... nie, są!

- Katinie, przestań! - Mysz wił się obok Olgi. - Tyż, odetnij mu wejście!

- Nie mogę. Statkiem sterować muszę, przy silnej grawitacji! Katinie! Wejście czuciowe wyłącz, to rozkaz!

- W dół... w dół... znów ich straciłem! Już ich nie widzę! Światło robi się czerwone... nie mogę...

Mysz poczuł szarpnięcie statkiem, gdy skrzydło Katina nagle zaczęło szaleńczo walić.

Katin krzyczał.

- Nic nie widzę! - krzyk przeszedł w szloch. - Nic nie widzę!

- Mysz! - wrzasnęła Tyż. - Do licha, jedno skrzydło straciliśmy. Biegnij się wpiąć!

Mysz pobiegł w dół na oślep. Łzy przerażenia cisnęły mu się do oczu, gdy słuchał szlochów Katina.

„Roc” oddalał się od gwiazdy, a „Czarna Kakadu” leciała prosto na nią.

To była Nova.

Potomek piratów, toczący się na oślep w ogniu; nazwano mnie piratem, mordercą, złodziejem.

Jakoś to zniosę.

Za chwilę sięgnę po mą nagrodę i stanę się człowiekiem, który pchnie Drako na skraj przyszłości. Nie umniejsza tej zbrodni fakt, że czynię to, by ratować Plejady. Ci, którzy mają największą władzę, zawsze popełniają największe zbrodnie. Tu, na pokładzie „Czarnej Kakadu”, jestem płomieniem z dala od wieczności. Kiedyś powiedziałem jej, że nie stworzono nas po to, byśmy coś znaczyli. Ani po to, by nasza śmierć miała znaczenie. (To śmierć, której jedyny sens polega na tym, że zginęliśmy, by bronić chaosu. A oni zginęli...). Takie życie i

śmierć wyklucza znaczenie, nie obarcza winą mordercy, odbiera radość bohaterowi odnoszącemu społeczne korzyści. W jaki sposób inni zbrodniarze uzasadniają swe zbrodnie? Puste światy wypluwają puste dzieci, wychowane tylko po to, by bawić się lub walczyć. Czy to wystarczy, by wygrać? Dopadłem jedną trzecią kosmosu, by wypluć kolejny, a jeszcze jeden puścić, po jakimś czasie; nie czuję, bym popełnił grzech. W takim razie muszę być wolny i zły. Cóż, jestem wolny - oplakuję ją śmiechem. Mysz, Katinie, wy, którzy przemawiacie z głębin sieci, który z was jest bardziej ślepy przez to, że spojrzął, jak wygrywam w płomieniach tego słońca? Czuję, jak trawi mnie ogień. Jak ty, martwy Danie, chwycę się świtu i wieczora, ale wygram księżyc.

Kolonie Zewnętrzne, Nowa Brazylia II, 3172

Ciemność.

Cisza.

Nic.

I wtedy dygocze jakaś myśl:

Myślę... więc jestem... czy ja jestem Katinem Crawfordem? Zwalczył tę myśl. Ale myśl była nim, a on był myślą. Nie było tu niczego, gdzie można by rzucić kotwicę.

Migotanie.

Pobrzękiwanie.

Zapach kminku.

Coś się zaczęło.

Nie! Znów uczeplił się ciemności. Ucho umysłu przypomniało mu o kimś krzyżącym: „Nie pamiętasz Dana?”, a oko umysłu podsunęło ślaniającego się na nogach menela.

Jeszcze jeden dźwięk, zapach, błysk pod powiekami.

Walczył o nieświadomość w strumieniu przerażenia. Przerażenie przyspieszyło jednak bicie jego serca, a przyspieszony puls pociągnął go w górę, w górę, gdzie potęga umierającej gwiazdy rozpościerała się przed nim, czekając.

Zabito w nim sen.

Wstrzymał oddech i otworzył oczy...

Przed nim perliły się pastele. Wysokie dźwięki pobrzękiwały jeden za drugim. Potem kminek, mięta, sezam, anyż...

A za kolorami jakaś postać.

- Mysz? - wyszeptał Katin i zdziwił się, jak czysto brzmi jego głos.

Mysz zdjął rękę z fletni.

Kolory, zapachy i muzyka znikły.

- Obudziłeś się? - Mysz siedział na parapecie, jego ramiona i lewy bok były oświetlone miedzianym blaskiem. Niebo za nim było fioletowe.

Katin zamknął oczy, oparł głowę o poduszkę i uśmiechnął się. Jego uśmiech stawał się coraz szerszy, aż odsłonił usta i Katin nagle poczuł, że jest bliski łez.

- Tak - odprężył się i znów otworzył oczy.. - Obudziłem się - usiadł. - Gdzie jesteśmy? Czy to załogowa stacja Instytutu?

Za oknami rozciągał się jednak jakiś krajobraz.

Mysz zsunął się z parapetu.

- Księżyc planety zwanej Nowa Brazylia.

Katin wstał z hamaka i podszedł do okna. Za kopułą, utrzymującą atmosferę nad kilkoma niskimi budynkami, rozciągał się szary skalisty krajobraz, aż po bliski księżycowy horyzont. Wciągnął chłodne, pachnące ozonem powietrze, po czym spojrzał na Mysz.

- Co się stało, Mysz? Och, Mysz, myślałem, że się obudzę i nie...

- Danowi przydarzyło się to podczas lotu w kierunku słońca, a tobie, gdy już uciekaliśmy. Na wszystkich częstotliwościach doszło do przesunięcia ku czerwieni. To drugi koniec synchronicznego widma jonowego, które robi takie rzeczy jak ta, która przytrafiła się Danowi. Tyż w końcu zdołała wyłączyć wejście czuciowe z głównej konsoli sterującej. Wiesz, że naprawdę przez chwilę byłeś ślepy? Włożyliśmy cię do medkapsuły, gdy tylko oddaliliśmy się na bezpieczną odległość.

Katin zmarszczył czoło.

- W takim razie co my tu robimy? Co się potem stało?

- Trzymaliśmy się w pobliżu załogowych stacji i

obserwowaliśmy fajerwerki z bezpiecznej odległości. Szczyt nastąpił po jakichś trzech godzinach. Rozmawialiśmy z załogą Instytutu, kiedy nadszedł sygnał od kapitana, z pokładu „Czarnej Kakadu”. Popędziliśmy więc, zabraliśmy go i uwolniliśmy wszystkich wszczepieńców „Kakadu”.

- Zabraliście go? Chcesz powiedzieć, że udało mu się wydostać?

- Tak. Jest w drugim pokoju. Chce z tobą porozmawiać.

- Więc on nas nie zwodził, opowiadając o statkach, które przeleciały przez Nową na wylot i wynurzyły się po drugiej stronie?

Ruszyli w kierunku drzwi.

Na zewnątrz pomaszzerowali wzdłuż szklanej ściany, przez którą było widać kolejny potrzaskany księżyc. Katin zatracił się w przyjemnej kontemplacji rumowiska; Mysz przerwał mu:

- Tutaj.

Otworzyli drzwi.

Na twarz Lorq padła smuga światła.

- Kto tam?

- Kapitan? - spytał Katin.

- Co?

- Kapitan Von Ray?

- ...Katin? - palce zacisnęły się na podłokietniku krzesła. Żółte oczy patrzyły; poruszyły się, snów się poruszyły; patrzyły.

- Kapitanie, co...?

Katin zmarszczył czoło. Walczył z paniką, rozpaczliwie próbował się odprężyć.

- Powiedziałem Myszy, by cię tu przyprowadził, kiedy się obudzisz i dojdiesz do siebie. Widzę, że... czujesz się dobrze. Dobrze. - Na zmasakrowanej twarzy na sekundę pojawiło się cierpienie, po czym znikło. Ale przez chwilę tam było.

Katin wstrzymał oddech.

- Ty też próbowałeś patrzeć. Cieszę się. Zawsze przypuszczałem, że będziesz umiał zrozumieć.

- Wpadłeś... w słońce, kapitanie?

Lorq pokiwał głową.

- Ale jak się z niego wydostałeś?

Lorq przycisnął tył głowy do oparcia krzesła. Ciemna skóra, rude włosy, żółte, rozbiegane oczy - jedyne barwy w pomieszczeniu.

- Co? Musisz do mnie mówić głośniej. W przeciwnym razie... wydostałem się, mówisz? - zaśmiał się ostro. - Tajemnica wyszła już na jaw. Jak się wydostałem? - Na zniekształconej szczęce zadrżał jakiś mięsień. - Słońce... - Lorq uniósł dłoń z zakrzywionymi palcami, jakby podpierał jakąś wyobrażoną kulę - ...obraca się, jak planeta, jak niektóre księżyce. W przypadku obiektów o masie gwiazdy obrót oznacza, że na równiku występuje ogromna siła odśrodkowa. Pod koniec etapu odkładania się pierwiastków ciężkich na powierzchni, kiedy gwiazda zaczyna przekształcać się w Nową, zapada się ona do środka - palce zaczęły mu drżeć. - Z powodu obrotu materia na biegunach zapada się szybciej niż materia na równiku - znów zacisnął pęk na krześle. - W ciągu paru sekund Nova nie jest już sferą, lecz...

- Torusem!

Na twarzy Lorqa pojawiły się bruzdy. Głowa odskoczyła mu w bok, jakby chciał uniknąć ostrego światła. Potem blizna znów wygładziła się.

- Powiedziałeś „torusem”?

- Tak. Torus. Wtedy słońce zmienia się w pączek z dziurką na tyle dużą, że można by w niej zmieścić dwa Jowisze obok siebie.

- Przecież Instytut Alkański dokładnie bada Nove od ponad stu lat! Dlaczego *oni* o tym nie wiedzieli?

- Całe przemieszczenie materii odbywa się do środka słońca. Natomiast energia przemieszcza się na zewnątrz. Grawitacja spowoduje, że wszystko, co leci w stronę gwiazdy, przeleci przez nią jak przez lejek: przemieszczenie energii sprawia, że w środku jest chłodno jak na powierzchni jakiegoś czerwonego giganta - znacznie poniżej pięciuset stopni.

Choć w pokoju było chłodno, Katin zobaczył, że na czoło kapitana wystąpił pot.

- Topologiczne rozszerzenie torusa o takich rozmiarach - korona znajduje się tam, gdzie stacje załogowe Instytutu - jest

zblizone do sfery. Otwór jest duży, w porównaniu z kulą energii, ale niełatwo go znaleźć, jeśli się nie wie, gdzie on jest - albo trafi do niego przez przypadek - dłoń na krześle nagle wyprostowała się i zadrżała. - Ilirion...

- Masz... ilirion, prawda, kapitanie?

Lorq znów uniósł dłoń do twarzy i zwinął ją w pięść. Próbował skupić na niej wzrok. Usiłował chwycić ją drugą ręką, prawie mu się udało, spróbował ponownie, tym razem całkiem chybił, i znów: otwarte palce chwyciły zaciśnięte. Podwójna pięść drżała, jak dotknięta porażeniem.

- Siedem ton! Jedyne materiały na tyle gęste, by mógł przebywać w środku otworu, to pierwiastki o liczbie atomowej większej od trzystu - nie obiekt Schwarzhilda, który matematyka kwantowa przewidywała ponad tysiąc lat temu! To ilirion! Unosi się w przestrzeni i każdy może tam polecieć i trochę nabrać. Wystarczy polecieć statkiem, rozejrzeć się i zebrać go skrzydłami projektora. Gromadzi się na węzłach projektorów. Ilirion - prawie nie zanieczyszczony - rozłożył ręce. - Wystarczy... włączyć dane czuciowe i zobaczyć, gdzie jest - opuścił wzrok. - Była tam, a jej twarz... ruina pośrodku piekła. A ja wyciągałem siedem moich ramion w oślepiającym świetle, by łapać kawałki piekła, które unosiły się w przestrzeni... - znów uniósł głowę. - Na Nowej Brazylii jest kopalnia ilirionu... - na zewnątrz, za oknem, na niebie zwisała się wielka, cętkowana planeta. - Mają tu urządzenia do rozładunku transportów ilirionu. Powinieneś być widzieć ich miny, kiedy przywieźliśmy siedem ton, Mysz! - Znów roześmiał się głośno. - Zgadza się, Mysz? Powiedzieli mi, jak wyglądają, tak... Mysz?

- Zgadza się, kapitanie.

Lorq pokiwał głową i głęboko oddychał.

- Katin, Mysz, wasze zadanie zostało wykonane. Dostaliście papiery na odchodne. Statki często stąd odlatują. Nie powinniście mieć problemu z dostaniem się na pokład któregoś.

- Kapitanie - zaryzykował Katin - a co ty zamierzasz zrobić?

- Na Nowej Brazylii jest dom, gdzie przyjemnie spędziłem sporo czasu, gdy byłem małym chłopcem. Wrócę tam... i będę

czekał.

- Czy jest coś, co powinieneś zrobić, kapitanie? Spojrzałem i...

- Co? Mów głośniej.

- Powiedziałem, że czuję się dobrze, a spojrzałem...? - głos Katina łamał się.

- Spojrzałeś, gdy odlatywaliśmy. Ja spojrzałem, przeszukując środek. Zakłócenie neuronalne dotarło aż do mózgu. Neuroodpowiedniość - potrzęsnał głową. - Mysz, Katinie, niech Ashton Clark ma was w swojej opiece.

- Ale, kapitanie...

- Ashton Clark.

Katin spojrzał na Mysz, a potem znów z powrotem na kapitana. Mysz bawił się sznurkami sakwy. Po czym podniósł wzrok. Po chwili opuścili pozbawiony światła pokój.

Na zewnątrz znów spojrzeli na księżycowy krajobraz.

- Więc to tak - rozmyślał Katin. - Von Ray go ma, a Prince i Ruby nie.

- Oni nie żyją - odparł Mysz. - Kapitan powiedział, że ich zabił.

- Och - Katin znów spojrzał na krajobraz, po czym odezwał się po chwili: - Siedem ton ilirionu i równowaga zacznie się chwiać. Drako zachodzi. Plejady wschodzą. W Koloniach Zewnętrznych nastąpią zmiany. Niech będzie błogosławiony Ashton Clark, dzięki któremu przemieszczanie siły roboczej jest dziś tak łatwe. A jednak i tak będą problemy. Gdzie są Lynkeos i Idas?

- Już odlecieli. Dostali gwiazdogram od brata i odlecieli, żeby się z nim spotkać w Koloniach Zewnętrznych

- Tobiasz?

- Tak.

- Biedni bliźniacy. Biedne trojaczki. Kiedy ilirion zostanie uwolniony i zacznie się zmiana... - Katin pstryknął palcami. - Koniec z rozkoszą - spojrzał w niebo, prawie pozbawione gwiazd. - To historyczny moment, Mysz.

Mysz wydłubywał sobie woskwinę z ucha paznokciem małego palca. Kolczyk w jego uchu lśnił.

- Taaa. Też mi to przyszło do głowy.

- Co zamierzasz teraz robić?

Mysz wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę to nie wiem. Poprosiłem Tyż, żeby powróżyła mi z kart.

Katin uniósł brwi.

- Jest na dole z Sebastianem. Ich zwierzęta zaczęły szaleć w barze i o mało nie wystraszyły kogoś na śmierć. Trochę zdemolowały knajpę - Mysz roześmiał się chrapliwie. - Szkoda, że tego nie widziałeś. Kiedy skończą uspokajać właściciela, przyjdą mi powróżyć. Pewnie znajdę następną robotę jako wszczepienie. Teraz nie mam powodu, żeby myśleć o pracy w kopalniach - jego palce zacisnęły się na skórzanej sakwie pod pachą. - Tyle jest jeszcze do zobaczenia, do zagrania. Może gdzieś się powłóczymy razem, zaciągniemy na jakiś statek. Czasem jesteś piekielnie zabawny. Ale nie nienawidzę cię ani w połowie tak bardzo, jak nienawidzę większości ludzi. Co zamierzasz zrobić?

- Nie miałem czasu, żeby o tym pomyśleć - wsunął dłonie za pasek i opuścił głowę.

- Co robisz?

- Myślę.

- O czym?

- Że jestem na idealnym księżycu; właśnie skończyłem pracę, więc przez jakiś czas nie muszę się o nic martwić. Może powinienem usiąść i poważnie popracować nad powieścią? - Uniósł głowę. - Wiesz co, Mysz? Tak naprawdę to nie wiem, czy teraz *chcę* jeszcze pisać powieść.

- Co?

- Kiedy patrzyłem na tę Novą... no, potem, kiedy się obudziłem i pomyślałem, że spędzę resztę życia w okularach, z zatyczkami do uszu i nosa, powoli popadając w obłęd, i uświadomiłem sobie, ilu rzeczy nie widziałem, nie słyszałem, nie posmakowałem, nie powąchałem... jak mało wiem o tych podstawowych rzeczach, które ty masz dosłownie w zasięgu ręki. I wtedy kapitan...

- Do licha - mruknął Mysz, otrzepując pył z buta bosą stopą. -

Nie zamierzasz jej napisać, po tej całej pracy, jaką wykonałeś?

- Mysz, chciałbym. Ale nie mam tematu. Miałem pojechać gdzieś i znaleźć go. Teraz jestem tylko inteligentnym facetem, który ma dużo do powiedzenia o niczym.

- Spieprzyłeś sprawę - mruknął Mysz. - A co z kapitanem i „Rokiem”? Mówiłeś przecież, że chcesz pisać o mnie. Dobrze, pisz. I pisz też o sobie. Napisz o bliźniakach. Naprawdę uważasz, że cię pozwą? Byliby zachwyceni. Obaj! Chcę, żebyś ją napisał, Katinie. Może nie będę w stanie jej przeczytać, ale na pewno posłucham, jeśli mi poczytasz,

- Naprawdę?

- Pewnie. W końcu zaszedłeś już tak daleko. Jeśli przestaniesz, nie będziesz nigdy szczęśliwy.

- Mysz, kusisz. Przez lata nie chciałem zrobić nic innego - zaśmiał się Katin. - Nie, Mysz. Nadal jestem w większym stopniu myślicielem. Ostatnia podróż „Roca”? Jestem zbyt świadom archetypicznych wzorców, za którymi podąża. Teraz sam widzę, zmieniając ją w alegorię poszukiwania Graala. To jedyny sposób, w jaki mógłbym sobie z tym poradzić, ukrywając w niej wszelkie rodzaje mistycznego symbolizmu. Pamiętasz tych wszystkich pisarzy, którzy umarli zanim ukończyli dzieła o Graalu?

- Ech, Katinie, to jakieś bzdury. Musisz ją napisać!

- Bzdury jak tarot? Nie, Mysz. Będę obawiał się o moje życie, jeśli podejmę to wyzwanie - znów spojrzął na krajobraz. Księżyc, tak dobrze mu znany, sprawiał, że Katin czuł spokój, mimo nieznanego, jakie na niego czekało. - Chcę. Naprawdę chcę. Ale od początku zmagalibyśmy się z jakimś fatum, Mysz. Może bym mógł. Ale nie przypuszczam. Jedynym sposobem na zabezpieczenie się przed fatum jest zrezygnować, zanim napiszę ostatnie.

*Ateny, marzec 1966 r.
Nowy Jork, maj 1967 r.*

WYDAWNICTWO
SOLARIS